

Kobieta skakała zręcznie po dachach samochodów. Jej towarzysze przeszukiwali okoliczne domy w poszukiwaniu czegoś przydatnego. Ona zaś skierowała się w stronę pozostałości pięknego szklanego budynku. Szkło dawno już rozpadło się, pozostawiając tylko goły metalowy szkielet w kształcie lotosu. Kruchy budulec leżał wokół budynku, oblewając go swoim bladoniebieskim kolorem. Niektóre płytki odbijały nagle światło słoneczne, które docierało strumieniem z małej dziury znajdującej się w pylnym płaszczu okalającym niebo. Dzięki temu, surowy metalowy kwiat wyglądał jak umiejscowiony na środku spokojnego jeziora. Spomiędzy ciężkich belek konstrukcyjnych można było dostrzec poczerwiałe pnie wysuszonych drzew. Słońce nie świeciło tu od kilkuset lat, na tyle długo, że roślinność zdążyła się obrócić w proch. Pojawiło się dopiero niedawno, wraz z wyrwą w pyłe. Kobieta delikatnie stąpała po falach szklanego jeziora, starając się robić jak najmniej hałasu. Patrzyła z podziwem na czarny szkielet odznaczający się na tle burego przepelnionego pyłem powietrza. Przez głowę przelatywały jej wspomnienia synka, który czekał na nią w bazie. Zawsze mówiła mu, że każda odrębność jest piękna, a kiedy on pytał dlaczego, wtedy odpowiadała mu, że jest to oznaką, że ludzkość wciąż żyje. Teraz jednak skupiła się wyłącznie na swoim zadaniu.

Szybko pokonała ostatnie metry dzielące ją od wejścia budynku. Kiedy przeszła przez pozostałości drzwi, jej oczom ukazał się niesamowity widok. W środku lotosu znajdował się miniaturowy las, teraz wyschnięty i martwy. Bure pnie lizala czarna mgła, a doły drzew zanurzone były w owym zjawisku. Spomiędzy szczątków roślin dało się zauważyć ciemne sylwetki błędzące powoli w cieniu. Kobieta zatrzymała się i nadstawiła uszu. Zdawało jej się słyszeć cichy szloch jakiegoś malucha. Nie była pewna czy to sprawka omamów, ale była przekonana, że płacz dobiega z potoków mgły. Chciała zawrócić. Wiedziała, że taka ilość Indaerów oznacza pewną śmierć, jednak jej instynkt macierzyński wziął górę. Przez głowę przelewały jej obrazy małego synka i dźwięk jego płaczu. Wyciągnęła więc z torby przewieszanej przez ramię małą petardę i podpaliła ją zapalniczką. Lont petardki zaczął powoli dymić i syczeć, więc rzuciła go jak najdalej w przeciwny koniec budynku. Cofnęła się kilka kroków, a po chwili powietrze wypełnił wysoki pisk. Indaery przystanęły na chwilę, skierowały głowy w stronę piszczącej petardy i szybko podreptały w jej kierunku. Były powolne, widocznie znajdowały się w stanie hibernacji. Teraz jednak, idąc coraz szybciej, oddalały się od kobiety. Ta, nie słysząc już płaczu malca zagłuszonego przez petardę, wbiegła w mgłę przelewającą się pomiędzy drzewami. Błądziła chwilę, jednak nagle wyszła na małą polankę na środku martwego lasu. Jej oczom ukazał się mały chłopiec siedzący na pniu zwałonego drzewa. Podeszła do niego i zobaczyła, że białowłosy chłopczyk ściska kurczowo materiał w zziębniętych rączkach.

- Hej, jak się nazywasz? - spytała swoim najłagodniejszym tonem, lecz chłopczyk nie odpowiedział. Podniósł tylko głowę i pociągnął czerwonym nosem. Kobieta spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że są pokryte bielmem. Rozejrzała się po okolicy i przykryła chłopca swoją kurtką. Jego ciało pokryte było dziwnymi, czarnymi tatuażami, które tworzyły ze sobą niezrozumiałe, geometryczne znaki. Wzięła chłopca na ręce i skierowała się z nim w stronę powrotną. Petarda przestała już piszczeć więc rozbudzone Indaery zaraz ją usłyszą.

Kiedy wyszła z malcem przed budynek, zatrzymała się i wyjęła mu z rączek duży kawałek materiału. Płótno było delikatne, czarne i wyszywane złotą nicią. Przewracała w ręce ów materiał, a chłopczyk objął ją za szyję i przycisnął swój mokry policzek do jej twarzy.

„On”

Nagle kobieta poczuła duży ornament grubo wyszyty na materiale. Przewróciła szmatkę, a jej oczom ukazał się wielki znak przedstawiający krwawe oko. Symbol grupy fanatyków religijnych wierzących w ponowne zesłanie ślepego mesjasza na ziemię, który pogrzebie cały wszechświat.

*

Chłopak nerwowo naciskał przycisk z boku gogli. Tarcza urządzenia obracała się powoli, a coraz to nowy obraz ukazywał te same postaci czekające piętro niżej. W końcu zniecierpliwiony przełączył na termowizję, aby upewnić się, czy w pobliżu nie ma innych zagrożeń. Kiedy mechanizm przesunął okular na oko, widok wybuchnął mieszkanką ciepłych barw. Odsłonięta skóra mężczyzn znajdujących się poniżej mieniła się żółto-białym światłem. Otoczenie przybrało kolory znacznie ciemniejsze. Kątem oka dostrzegł czerń, jaką odznaczał się horyzont wiele kilometrów dalej. Chłopak rozejrzał się po szkieletach okolicznych budynków, ale nie ujrzał nic, co byłoby w stanie mu zagrozić. Nasunął więc kominiarkę na twarz, na głowę naciągnął głęboki czarny kaptur i poprawił pasek kołczanu, który nieznośnie uciskał mu klatkę piersiową. Pochylony odszedł od zniszczonej okiennicy i zarzucił sobie na ramię worek leżący pod ścianą. Pokoik był mały, część ścian załamała się, przemieniając się w stos gruzu. Gdzieś tam widział szczątki mebli, które przetrwały przez tak długi czas. Wyszedł na korytarz i skierował się w stronę wyjścia. Jednym uchem słyszał przekleństwa wypowiedziane przez czekających na niego mężczyzn. W drugim zaś trzeszczała mu cicho słuchawka, która sprawiała pozorne wrażenie działającej. Pochylił się pod zawaloną w połowie framugą i wyszedł na hol. O obecności schodów nie było mowy, z betonowych płyt wystawały tylko metalowe pręty. Jeden z nich odznaczał się ciekawym rdzawym kolorem. Chłopak przykucnął i zobaczył, że to zaschnięta krew. Uniósł pytająco brew i rozejrzał się zaniepokojony, lecz krew była stara, a osoba, którą ją zostawiła włóczyła się w okolicy pod postacią powszechnie znaną jako Indaer. Słowo to zostało przekształcone z angielskiego „invader” oznaczającego najeźdźcę. Mężczyzna, albowiem tak powinno się określać tego 20-letniego człowieka, zeskoczył zręcznie na parter. Starał się jak najmniej hałasować. Był sam, lecz w tym świecie nawet dusze mogły zabijać.

Wyprostował się i wyszedł dziarsko przed blok, starając się, aby przybysze go zauważyli. Kiedy podszedł do nich na tyle blisko, aby spojrzeć im w oczy, zdjął z ramienia brudny lniany worek i rzucił go obok siebie. Mężczyźni spojrzeli po sobie, a jeden wyjął zza pleców podobny pakunek.

- Możesz zdjąć to cacko. - powiedział większy mężczyzna zdenerwowanym głosem, wskazując na jego twarz. Chłopak nadal miał założone gogle, które zasłaniały mu oczy. Na prawym oku przymocowana była obrotowa tarcza, z trzema okularami, zaś lewe przykrywała prosta przeciwsłoneczna płytka. On wyłączywszy termowizję, spokojnie mierzył ich wzrokiem, lecz mężczyźni stojący naprzeciwko niego nie mogli uchwycić jego wzroku, co napawało ich niepokojem.

- Jak cię zwą? - powiedział osiłek basowym tonem, próbując sprawiać wrażenie groźnego.

- Panowie, sądzę, że moje imię nie ma w tym momencie żadnej wartości. - powiedział wesołym tonem, rozkładając bezradnie ręce. Opryszki spojrzały po sobie, a tej większy, któremu matka natura poskąpiła urody, wzruszył ramionami, widocznie nie mając ochoty na żarty.

- Masz? - spytał, a na jego łysej poranej bliznami głowie zaczęły rysować się naprężone

żyły.

- To zależy od sytuacji, w jakiej obecnie się znajdujemy. Oczywiście worek, który leży u moich stóp, jest tutaj fizycznie, lecz czy zawartość, której tak panowie oczekujecie, również? Jeżeli wy będziecie mieli to, na co się umawialiśmy to wręcz, wykorzystując moje niesamowite zdolności przewidywania przyszłości, wróżę wam, piękni panowie, że owa zawartość...

- Stul pysk! - przerwał mu niegrzecznie osiłek i zrobił krok do przodu. - Nie mam czasu na twoją paplaninę. - po brodzie spłynęła mu strużka śliny, a twarz wykrzywił brzydki wyraz gniewu, który pokazywał jego niekompletne uzębienie. Oraz, o dziwo różowy, kolczyk tkwiący na środku języka.

- Mam. - odparł lodowatym głosem chłopak. Przełączył okular na tryb, którego używa w walce. - Ale to zależy czy wy macie... - dodał po chwili.

- Oczywiście! - Na twarzy brzydala zagościł chytry uśmieszek. Jego towarzysz też się uśmiechnął, jednak w oczach malowała mu się niepewność. Osiłek po chwili cichego rechotu wyciągnął rękę po torbę.

- Hola, hola nie tak szybko. - Powiedział chłopak i kopnął torbę do tyłu. - Macie wszystko? - No jasne.

- Kłamie. - Chłopak usłyszał trzeszczący głos w słuchawce. - Nie, doprawdy nie domyśliłem się. - Odpowiedział cicho do małego mikrofoniku. Ugiął lekko nogi i sięgnął w stronę kołczanu. Brzydał jakby zorientował się, że jego niecny plan został rozpracowany, więc wyjął z kabury mały pistolet. Kiedy podnosił rękę, w jego czaszkę wbiła się strzała, która z chrupnięciem wyszła z tyłu głowy. Mężczyzna padł z jękiem na kolana i puścił broń. Naprzeciwko siebie stali chłopak i towarzysz osiłka, którego oczy były wypełnione zwierzęcym strachem. Chwycił pistolet i odwróciwszy się za siebie, rzucił się do ucieczki.

Uciekał slalomem, więc widocznie widział jak zwiększyć swoje szanse w starciu z łucznikiem. Chłopak westchnął głęboko i pobiegł za nim. Uciekinier był niski, nawet w porównaniu do łucznika, co sprawiało, że biegł z niewyobrażalną prędkością. Chłopak gonił go, lecz z czasem zaczęła mu doskwierać dawna rana w udzie. Przy każdym kroku prowizorycznie zszyta rana dawała znak, że jeszcze raz chce pokazać się światu w całej swojej okazałości. Towarzysz osiłka biegł coraz wolniej, widocznie nawet on nie miał zbyt dobrej kondycji. Skręcił więc gwałtownie w ciasną uliczkę między dwoma kamienicami, aby zgubić chłopaka. Kiedy zorientował się, że jest to ślepy zaułek, łucznik stał już na jego drodze, dysząc ze zmęczenia. Młodzik podniósł drżącymi dłońmi pistolet.

- Odłóż to, szkoda zachodu. - powiedział łucznik zachrypniętym głosem. - Puścimy cię wolno. - próbował podejść do chłopaka, lecz nagle na przeciwnym końcu zaułka zeskoczył z dachu jego towarzysz, który rozmawiał z nim przez słuchawkę. Podniósł się powoli w całej swej okazałości. Chłopak z pistoletem spojrzał na niego i zaczął się trząść. Towarzysz łucznika miał tyle samo lat co on, przypominał go i posturą, i tym, że miał zasłoniętą twarz, lecz różnica polegała na tej jednej rzeczy. Twarz Orthy, bo tak się nazywał, przysłonięta była w całości metalową maską. Pokryta dużymi, ciemnoszarymi, trójkątnymi płytkami, które swoim wyglądem przypominały łuski, w połączeniu z brunatno-czerwonymi szkiełkami przysłaniającymi oczy wyglądała isticznie demonicznie. Kiedy podeszło się na wyciągnięcie ręki, można było ujrzeć przedziwne runy i znaki wyryte na owych płytkach. Ortha nosił ją tylko wtedy, gdy „umierał”. Był to stan, w którym łączył się ze światem

zmarłych i patrzył na wszystko oczami duszy. Kiedy „umierał”, widział normalny świat żywych, jednak z tą różnicą, że wypełniały go dusze zmarłych, które pomagały mu na wszystkie możliwe sposoby. Jego oczy zaś, pokryte zazwyczaj bielmem, odzyskiwały wtedy wzrok. Tęczówki robiły się czerwone, źrenice kurczyły w pionowe kreski, a żyłki w oku zmieniały swą barwę na czarną. Był to okropny i przerażający widok, więc Ortha nosił maskę, aby uchronić przed nim swojego towarzysza. Albowiem kiedy Ortha patrzy na świat „martwymi ślepiami”, ten, który spojrzy mu w oczy, zobaczy straszne rzeczy, które na zawsze zmieniają jego życie. Maską nie przeszkadzała mu zbytnio, ponieważ w stanie, w którym się znajdował, nie ograniczał się do widzenia wyłącznie ze swojego ciała. Mógł zamienić się wzrokiem z każdą duszą znajdującą się w pobliżu albo całkowicie opuścić swoje ciało. Kiedy Ortha znajduje się w świecie umarłych, jest to jedyny moment, kiedy może ujrzeć świat. Jego ciało jest wtedy niezwykle wytrzymałe, nie czuje bólu, chociaż wydarzenia dziejące się w świecie żywych, dzieją się również w świecie umarłych.

Chłopak otoczony przez dwóch podejrzanym typów z czymś na twarzach wyglądał, jakby miał za chwilę oszaleć. Kiedy cofnął się pod ścianę, odruchowo spojrzął przed siebie prosto w otwarte drzwi bocznego wyjścia jednej z kamieniczek. Krzyknął przeraźliwie i wystrzelił pistoletem w ciemność. Mężczyźni spojrzeli po sobie, a łucznik próbował zobaczyć, co kryło się w ciemnym korytarzu. Nagle młodzik zaczął krzyczeć wniebogłosy. Szybkim ruchem włożył sobie pistolet w usta i strzelił. Krwawa maź rozbryznięła się na całej ścianie, a przez framugę drzwi zaczęła wylewać się czarna mgła. Ortha usłyszał zwierzęcy pisk, a dwie dusze stojące u jego boku spojrzały się na niego smutnie i podreptały w kierunku ulicy. Kiedy krzyk powtórzył się, Ortha rzucił się w kierunku przyjaciela, lecz gdy znajdował na wprost drzwi, czarna postać wyleciała z korytarza i przygwoździła go do ściany.

- Uciekaj! - zdążył tylko krzyknąć do łucznika, ponieważ Indaer zaczął okładać go szponami. Jego towarzysz rzucił się do ucieczki, a okolony czarną mgłą stworzył szarpał pazurami po jego masce, z której raz po raz sypały się iskry. Kiedy Ortha próbował przyłożyć ręce do twarzy stwora, ten wbił mu w przedramiona szpony i krzycząc przeraźliwie, pobiegł w ślad łucznika. Chłopak padł na kolana. Z małych otworów na przedramionach lała się krew, ale on nic nie czuł. Wiedział, że kiedy powróci do normalnego świata, będzie cierpiał przez wiele dni. Zawsze tak było. Umieranie pozwala mu widzieć prawdziwy świat, przenosić się i obcować z duszami zmarłych, lecz wszystko miało swoją cenę. Nagle podbiegła do niego dusza z szeroko otwartymi oczyma i wskazała na ulicę. Nie mogła go dotknąć. Dusze nie mogą wpływać na nic, co znajduje się w świecie żywych, a jego ciało nadal należało do tamtego świata. Wstał więc szybko i pobiegł za nią.

Kiedy pędził w kierunku miejsca, gdzie łucznik załatwiał interesy, zdawało mu się, że słyszy krzyki. Przyspieszył wtedy, ale nie mógł znaleźć ani łucznika, ani bestii. W końcu wypadł zza rogu i ujrzał Indaera trzymającego za gardło łucznika. Mężczyzna machał nogami, a z jego rozprutego boku gęsto wypływała krew. Nieopodal leżał łuk, a z Inianego worka wysunął się mały kanister z benzyną. Ortha staranował potwora, który puścił bladego i zwiotczącego łucznika. Tarzali się po betonie. Potwór, tnąc pazurami, gdzie się da, a Ortha bezradnie próbując się zasłonić. Łucznik natomiast podciągnął się do łuku. Wyjął ze zniszczonego kołczanu strzałę owiniętą zakrwawioną szmatką. Czuł, że słabnie coraz bardziej. Drżącymi rękami odkręcił zakrętkę kanistra, pod wpływem nagłej fali bólu rozlał

zawartość na beton. Ortha krzyczał coś, jednak słowa zlewały się w niezrozumiały bełkot. Chłopak położył strzałę w kałużę benzyny i sięgnął po łuk. Bok bolał go coraz bardziej, zaczynał tracić czucie w nogach, a jego palce zamieniły się w niezgrabne kamienie. W końcu chwycił łuk, wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalił strzałę. Z jękiem bólu naciągnął cięciwę i strzelił w kierunku potwora. Ten krzyknął tylko przeraźliwie, a kiedy strzała wbiła mu się w ramię, ogień objął go całego. Ortha natomiast odczłogał się od płonącego Indaera. Ten padł na ziemię i zaczął przemieniać się w czarny popiół, a Ortha krzyczał, trzymając się za głowę. Łucznik wiedział, że będzie cierpieć. Mężczyzna upominał go przed tym dawno temu, dlatego zawsze starali się omijać Indaery, jednak teraz nie było innego wyjścia. Albo stwór, albo Ortha. Chłopak ujrzał przez dziury w kurtce cierpiącego Orthy jak jego tatuaże splatają się ze sobą tysiącami czarnych żyłek. Wyglądało to magicznie. Czarne znamiona poruszały się jak żywe, łącząc się ze sobą. Jednak po chwili przestały. Powróciły do swojego pierwotnego wyglądu. Ortha przestał krzyzczeć, dyszał ciężko, a po jego policzkach spływały łzy. W tym momencie Indaer zamienił się w małą kupkę czarnego popiołu, z której wstawała na wpół spalona strzała.

Ortha podpełzł do swojego leżącego towarzysza. Rozejrzał się niespokojnie wokół siebie, lecz otaczały go tylko dusze. Wszystkie były do siebie podobne. Rozmyte zarysy twarzy, niewyraźne sylwetki. Tylko oczy, duże i otwarte. Błyszczały, trwając w wyrazie bólu i smutku, jaki przeżywały. Tylko te z otwartymi oczami go widziały, to one zostały skazane na wieczne męki pośród gruzów świata, w jakim dawniej żyły. Były jeszcze inne dusze, te, które można było spotkać w najdziwniejszych miejscach. Miały zamknięte oczy i błogość wypisaną na twarzy. Spacerowały sobie, pogrążone we własnych doskonałych światach, które były nagrodą za dobre życie na ziemi. Po śmierci dusza człowieka opuszczała jego fizyczne ciało i stawała przed bożym sądem. Najwyższy osądzał ją po jej doczesnym życiu i skazywał na wieczną radość albo na potępienie pośród wyniszczonej ziemi. Ci szczęśliwcy, którzy mogli pochwalić się dobrym życiem, zamykali oczy i wiedli wspaniałe życie w swoim osobistym idealnym świecie, lecz ci, których życie splamione zostało hańbą, nigdy nie zamykali powiek. Trwali w beznadziei, patrząc na świat, z którego ostały się tylko prochy. Nie mogli na nic wpłynąć, ich wola nie miała żadnego znaczenia. Męczenni wyrzutami sumienia starali się pomóc Orthcie, który jako byt stworzony przez Najwyższego miał zbawić albo zniszczyć ten świat. Raz na zawsze.

Łucznik trzymał się za bok i błędził wzrokiem po niebie. Z kącika ust spłynęła mu strużka krwi. Ortha przewiązał go bandażami oraz szmatami, nasmarował wszelkimi maściami, które miał przy sobie. Coś musiało mu pomóc. W końcu zamknął oczy i po chwili odpoczynku dźwignął swojego przyjaciela i zarzucił go sobie na ramię. Nie mógł opuścić teraz świata umarłych. Wiedział, że jeżeli zrobiłby to, fala bólu i zmęczenia uniemożliwiłaby mu jakiegokolwiek poruszanie się, a co dopiero możliwość walki. Szedł wiele kilometrów, uginając się pod ciężarem swojego towarzysza. Kierował się tam, gdzie wskazywały mu dusze. Nie wiedział, gdzie idzie, jednak ufał im ponieważ one pokładały w nim swoje odkupienie. A niczego tak bardzo nie pragnęły, jak tego. Po pewnym czasie nawet w świecie umarłych zaczęło doskwierać mu zmęczenie. Kilka razy upadł, jednak dusze ponaglały go, aby wstawał i szedł, gdzie mu każą. Kiedy Ortha minął zakręt na rogu gruzów wielkiego wieżowca, wyczuł ruch kilkaset metrów dalej. Przystanął i opuścił ciało. Zobaczył dwóch mężczyzn przeszukujących budynki. Nie wiedział, czy stanowią

„On”

zagrożenie, nie wyglądali na niebezpiecznych. Jeden z nich był wyraźnie starszy. Około czterdziestu lat, ale był też lepiej zbudowany od towarzyszącego mu rudego nastolatka. Zdając się na los, zamknął oczy i powrócił do świata żywych. Kiedy je ponownie otworzył, zobaczył tylko czerń wypełniającą cały świat. Poczul za to delikatny powiew wiatru muskający go w twarz i usłyszał kroki tej dwójki oddalanej o paręset metrów. Każdy jego mięsień zapłonął żywym ogniem. Serce zaczęło bić mu nierównomiernie. Stracił dech, kręciło mu się w głowie. Upadł ze zmęczenia, ale próbował się podnieść i ruszyć w kierunku mężczyzn. Kiedy chciał zrobić pierwszy krok, padł do przodu i stracił przytomność.

*

Ortha otworzył lekko oczy i zdumiał się, dlaczego widzi ciemność. Jednak zaraz przypomniał sobie, że jest ślepy i taki widok pozostanie z nim, aż do śmierci. Podniósł się na łokciu i poczuł tępy ból promieniujący w całym ciele. Ktoś przycisnął go dłonią do twardego stołu i powiedział oschłym głosem.

- Leżeć. - był to głos kobiety, bardzo melodyjny, jednak zdawało się w nim usłyszeć ton znużenia i smutku.

- Jak do psa. - powiedział ochryple Ortha. - Wypraszam sobie. - dodał, po czym gwałtownie usiadł. Musiał dowiedzieć się, w jakim stanie jest łucznik.

- Twój kolezka ma się dobrze. - powiedziała lekarka, jakby czytając mu w myślach. Ortha pokręcił głową, aby się rozbudzić. Chciał umrzeć, ale jego ciało zaprotestowało ogromną falą bólu. Stęknął cicho i zaczął ruszać dłońmi, aby coś poczuć.

- Ta torba, którą miałem przy sobie. Taka brudna, ciemna mniej więcej tej wielkości. - nakreślił rękoma w powietrzu bliżej nieokreślony kształt.

- Wiem, o którą chodzi, chociaż po twoim opisie mało kto mógłby się zorientować. - odpowiedziała kobieta szorstko.

- Dobrze, była w niej taka niebieska rękawiczka z przymocowanymi kablami. - zatrzymał się na chwilę, usłyszał, jak kobieta ciężko wydycha powietrze, jak tupie cicho nogą w zdenerwowaniu. Gdyby miał wzrok, to z pewnością zobaczyłby, jak wywraca oczami. - Daj mi tę rękawiczkę. - dokończył poddenerwowany.

- Żadnego proszę? Gramy w złego i dobrego glinę? Na twoim niekorzystnym miejscu wykazałabym się więcej uprzejmości. - syknęła powoli. Ortha miał dość tej jęzdy.

Pogrywała sobie z nim w kotka i myszkę. Chciała doprowadzić go do użycia przemocy. Czekala tylko, aż wybuchnie, ponieważ myślała, że jest słaby, że ma nad nim kontrolę, ale Ortha nie był człowiekiem. Siły wracały mu znacznie szybciej. Wcale nie był słaby.

- Hmm? - dodała po chwili i przechyliła wyczekująco głowę. Ortha słyszał, jak strzyknęły jej kości w szyi, więc szybko ocenił odległość dzielącą ją od niego. Zerwał się z metalowego blatu i jednym sprawnym ruchem chwycił kobietę za gardło. Nie miał nastroju na takie gry.

- Daj mi tę rękawiczkę. Proszę. - wydusił przez zaciśnięte zęby. Puścił kobietę, która gwałtownie wciągnęła powietrze. Podniosła się powoli, po czym poszła do sąsiedniego pokoju. Ortha stał jak posąg, rejestrując każdy dźwięk. W oddali słyszał paplaninę jakichś kobiet, krzątanie oraz... krzyki małych dzieci? W tych czasach decydowanie się na potomstwo było ostatecznością. Dzieciaki nie jedzą konserw, wybrzydzą, są niesforne oraz strasznie hałasują. Czyli robią wszystko, co prowadzi do niechybnej śmierci.

Pamiętał, jak matka łuczника przyniosła go do obozu. Krzyki stanowiły wtedy część kolejnych dni. Było to największe obozowisko ludzkie w lokalnym rozległym świecie. Jednak nawet tam dzieci rodziły się rzadko, a jeżeli już, były bardzo starannie przemyślaną decyzją. Na dodatek Ortha był ślepy, co skreślało go z listy mężczyzn zdolnych do walki. Był bezużyteczny. Jednak Najwyższy nie pozwolił, aby tym razem ludzie zabili jego syna. Białowłosey ostał się w obozie, jednak w wieku 12 lat musieli uciekać z niego, ponieważ ojciec łucznika, który go chronił, zmarł w wyniku odniesionych ran, a jego matka jako kobieta nie miała za dużo do gadania. Poza tym łucznik też nie był poważany w hierarchii obozu. Był niepoprawnym optymistą, odznaczał się wyjątkowym rozkojarzeniem i zainteresowaniem rzeczami najmniej istotnymi, co sprawiało, że nie chciał się uczyć walki i zarządzania grupą. Obaj sztuki przetrwania nauczyli się dopiero podczas 8-letniej wędrówki, kiedy to łucznik rozwijał swoje umiejętności, a Ortha kontemplował nad swoim przeznaczeniem. Matka łucznika nie powiedziała grupie nic o tajemniczym materiale z naszytym emblematem, więc nikt nie widział o tym, czym Ortha jest. Nawet on sam nie wiedział, czym dokładnie jest.

Wiedział, że został stworzony przez Najwyższego, który przelał w niego całą swoją moc. Podczas swojego żywota miał zdecydować nad losami ludzkości i za pomocą zamkniętej w nim mocy albo zniszczyć doczesny świat, albo ocalić go i dać mu jeszcze jedną szansę. Nie wiedział jeszcze, jaką decyzję ma podjąć, ale łucznik podczas ich wspólnych lat przy każdej okazji starał się pozytywnie wpłynąć na postanowienie Orthy. Zawsze był radosny i nawet w najgorszych sytuacjach potrafił dostrzec plusy. Był to wyjątkowy dar, jednak taka postawa w erze Indaerów prowadziła do niechybnej śmierci, o którą łucznik otarł się nie raz.

Ortha ponownie usłyszał śmiech dzieci i próbował zbliżyć się do jego źródła. Zawzięcie przeszedł kilka kroków do przodu, jednak wpadł na mały stolik, o który uderzył się boleśnie biodrem. Kiedy odruchowo złapał za blat mebla, w palec wbiła mu się jakaś igła. Wyciągnął ją szybko i rzucił w bok.

- Głupcze! Taki stary koń, a nie wie, że na leki trzeba uważać?! - usłyszał za sobą ostry głos lekarki, która szła z rękawiczką w jego kierunku. - Ile ty właściwie masz lat? Trzydzieści? - zapytała z przekąsem.

- Dwadzieścia. - odpowiedział zdezorientowany chłopak. - Chyba. - dodał po chwili zastanowienia.

- No proszę jakie ziółko nam się trafiło! Niech mi rękę utną, ale czuję, że będą z tobą kłopoty. - mówiąc to, rzuciła w niego rękawiczką. Specjalnie, najszybciej jak umiała, celując centralnie w twarz. Jednak Ortha usłyszał świst powietrza, odgłos zginanych ubrań, jaki wydobył się przy zamachu rękawiczką i złapał ją jedną ręką. Kable natomiast smagnęły go boleśnie po boku. Założył ją, zapiął rzepy, po czym przymocował kable z metalowymi końcówkami wzdłuż ramienia. Kiedy wszystko było gotowe, wymacał małe pokrętło i przekręcił je na maksymalną moc. Lekarka wyczekiwała na jakieś wybuchy, obłoki pary, cokolwiek, jednak nic się nie zdarzyło.

- To urządzenie rejestruje otoczenie i przesyła je impulsami elektrycznymi do mojego mózgu. - Wskazał na kable owinięte wokół przedramienia.

- Więc widzisz normalnie? - chłopak na dźwięk tych słów prychnął ze śmiechu.

- Oczywiście, że nie. Ta rękawiczka wysyła niewidzialne fale, które odbijają się od

przedmiotów i wracają potem do urzędzenia. Nie widzę kolorów, tekstur, a jedynie kształt. - Lepsze to niżli być całkowicie ślepym. - uśmiechnął się pod nosem.

- Czy to nie powinno być przypadkiem przychepione do czoła?

- Położenie nic nie zmienia, poza tym w takim czymś na czole wyglądałbym jak idiota. - obrócił głowę w stronę lekarki i spojrzał się na nią białymi oczami. - Może i jestem ślepy, ale lubię się dobrze prezentować. - wykrzywił kąciki ust w lekkim uśmiechu. - Czy możesz mnie zaprowadzić do mojego przyjaciela?

- Teraz o wiele bardziej podoba mi się ton twojego głosu. - odpowiedziała lekarka i pociągnęła Orthę za rękę. Chłopak poczuł lekkie szczypanie w ranach na przedramionach i odruchowo potarł je wolną ręką. Poczul pod koszulką fakturę bandaży. Zwolnił kroku i zaczął klepać się po całym ciele. Raz po raz ponownie wyczuwał warstwę bandaży. Lekarka przystanęła, a Ortha wpadł na nią.

- Te tatuaże... - popatrzył się na nią złękniiony. - Nikomu nie powiem. - Uśmiechnęła się szeroko. - Sama sobie kiedyś strzeliłam dziarę na łopatce. - rozmarzyła się. - Młody człowiek i głupi, wystarczyło kilka kieliszków, abym skończyła pod igłą jakiegoś pseudotatuatora. Ty chyba musiałeś całkowicie odlecieć, aby całe ciało ci wytatuowali. - chłopak zmarszczył brwi i przeanalizował każde jej słowo.

- Widziałeś mnie nago!? - pisnął i zasłonił swoje ubrane ciało rękoma.

- Nie... to znaczy tak. Nie wiem. - odpowiedziała szybko jakby w obronie. - Chociaż jestem lekarzem, mam prawo obejrzeć ciało poranionej osoby. - wydusiła, pytając jakby sama siebie, po czym spojrzała na Orthę, który wyglądał jakby był głęboko pogrążony w depresji.

- Ale miejsca intymne sobie oszczędziłam. - podniosła dłonie w geście niewinności. - Przrzekam. - dodała.

- Mniejsza z tym, prowadź. - wskazał ręką kierunek, w którym szli. Nie chciał, aby ktokolwiek widział jego tatuaże. Gdyby ktokolwiek je zobaczył, mógłby zostać skojarzony z wiecznymi dziećmi, czyli sektą, której naszyty emblemat znalazła matka łuczniaka. Ci ludzie co prawda wierzyli w Orthę jako ślepego mesjasza, jednak byli bardzo niebezpieczni i cieszyli się okropną sławą pośród wszystkich obozów. Tatuowali oni swe ciała, aby upodobnić się do Orthy, jednak ich znamiona nie układały się w żadną pieść. Były to tylko losowe znaki, które zdołali znaleźć spomiędzy kart dawnych ksiąg. Nie wiedzieli, co oznaczają, jednak były one dla nich symbolem mesjasza, a to liczyło się najbardziej. Powiązanie z tą grupą było bardzo źle widziane, a jej członkom, nawet tym zbiegłym, nigdy nie udzielano pomocy. Szedł więc za lekarką, a dzięki rękawiczce widział proste kształty i rozkład mijanych pomieszczeń. Znajdowali się w obskurnym budynku byłego uniwersytetu.

Mnogość sal dawała możliwość komfortowego rozmieszczenia wszystkich w osobnych pokojach, a przynajmniej w małych grupkach. Z tyłu budynku znajdowało się trochę zielonej przestrzeni, gdzie wszyscy przesiadywali. Ten mały obóz miał szczęście, ponieważ padała na niego odrobina światła słonecznego, któremu udało się przecisnąć przez gęste chmury pyłu. Było to zjawisko rzadkie, lecz obozy powstawały tylko w takich miejscach. Największy obóz, w którym wychowywali się Ortha i łuczniak, mieścił się pod jedną z największych wyrw w pyłnej kopule. To dawało im możliwości do uprawy jako takich roślin i względnie normalnego trybu życia. Jednak pył o niezwykle dużej gęstości nadal się poruszał i szczególnie małe wyrwy były ciągle narażone na „pochłonięcie” przez miliardy ton prochu, który okalał ziemię. Sam pył powstał w wyniku zderzenia się wielkich

asteroid, które rozpadły się w drobny mak. Stało się to w okolicy Ziemi, więc grawitacja przyciągnęła pył do planety, jednak ten nie opadł, tylko zamknął wszystkie kontynenty pod kopułą. Proch jest tak gęsty, że słońce nie przenika przez niego, jedynie w miejscach, gdzie tworzą się wyrwy. Tam warstwa jest cieńsza, co sprawia, że słońce choć trochę oświetla okolicę, która nie dostała się pod światło z wyrwy. Oba obozowiska, to, w którym urodził się łucznik i to, w którym znajduje się teraz Ortha leżą pod wyrwami. Okolica jest trochę oświetlona, przez słońce przenikające przez cieńszą warstwę pyłu. To dlatego niebo tam jest szarobure, jednak na horyzoncie okalającym miejsca obozowisk rozciąga się wielka plama czerni. Jest to miejsce, gdzie nie dociera żadne światło słoneczne, nie ma wyrw, a życie tam jest martwe, niemożliwe do podtrzymania. Same obozowiska nie znajdują się blisko siebie, ba, są wręcz oddalone o wiele kilometrów, jednak w tych czasach ludzie muszą przeszukiwać wszystkie szczątki budynków, więc ten dystans dla grupy poszukiwawczej nie ma większego znaczenia. Muszą znaleźć resztki jedzenia, bez względu na to, ile przejdą.

Konserwy stanowią główną podstawę diety teraźniejszego człowieka. Do tego mogą dojść liche warzywa, jednak ich uprawa jest pracochłonna ze względu na jałową glebę i zatrute powietrze. Na trzode chlewną pozwolić sobie mogą tylko najlepiej prosperujące obozowiska, jeżeli jakimś cudem uda im się znaleźć żywy okaz. To dlatego w tym świecie bardzo trudne jest posiadanie dziecka. Niemowlęta żywią się mlekiem matek, a te często mają nieodpowiednią dietę. Same sobie nie mogą dostarczyć wszystkich minerałów i witamin, a co dopiero takiemu maluchowi. Jeżeli chodzi o starsze dzieciaki, to jak wiadomo, są bardzo wybredne pod względem jedzenia, a konserwy wyprodukowane w czasie wielkiej gorączki mają za zadanie utrzymać przy życiu jak najdłuższym terminem ważności, a nie dobrze smakować. Poza tym dochodzą takie kwestie jak płacz albo hałaśliwość, które są w stanie zwabić rozbudzone Indaery z wielu kilometrów.

Czasy wielkiej gorączki obejmują moment od zderzenia się asteroid, przez okalanie ziemi pyłem po całkowity kataklizm, który powstał z ludzkiej desperacji. Pył przykrywał ziemię powoli, więc ludzie mieli czas, aby się przygotować. Zaczęła się masowa produkcja jedzenia zdolnego przetrzymać lata, masowe wydobycie wody i ogólne przygotowania. Jednak nie sądzono, że pył okryje całą ziemię. Kiedy prochowy płaszcz prawie w całości okalał ziemię, zaczął się prawdziwy szal. Ludzie uciekali do ostatnich oświetlonych miejsc, lecz te i tak były już przeludnione, więc zaczęto walczyć o nie siłą. Państwa wykupywały oświetlone działki dla ludzi wysoko postawionych, jednak dla hołoty nie znaczyły nic, papierki, na których wypisano teren danego państwa. W końcu zaczęto likwidować niechcianych gości. Armie mordowały niewinnych ludzi, aby zrobić tylko miejsce dla tych bogatszych. Część krajów sprzeciwiała się temu, więc i one zaczęły siłą wymuszać swoją wolę na agresywnych państwach. W końcu, kiedy pylny płaszcz zamknął się, zapanowała wojna. Kraje niszczyły siebie nawzajem, aby mieć jak najmniejszą konkurencję w drodze do miejsc oświetlanych przez wyrwy. W ten sposób ludzkość prawie się wyniszczyła. Po wojnie nuklearnej, która była ostatnią fazą wielkiej gorączki, nie zostało nic. Garska ludzi, którzy połączyli się ze sobą, tworząc obozowiska, przetrwała wiele lat. Jednak w tych czasach ludzie szybciej giną, niż rodzą się, a efekt ten potęgują hordy Indaerów, którym niestraszna jest ciemność. Przemierzają odległe tereny, ślepo idąc przed siebie. Jeśli usłyszą jakiś dźwięk, kierują się do jego źródła, jeżeli wyczuwają życie, idą do niego. Jednak jeżeli nie odbiorą żadnych bodźców, zapadają w stan hibernacji. Nie umierają. Czekają tylko na

moment, aż coś zbudzi je, aby mogły na nowo zacząć poszukiwania.

W końcu kobieta zatrzymała się gwałtownie przed drzwiami obłożonymi z białej farby. Zapukała lekko, a z wnętrza pomieszczenia dało się słyszeć słaby głos.

- Proszę. - był ciepły i spokojny, jednak słysząc było w nim nutę bólu. Lekarka podniosła rękę do klamki jednak Ortha przepchnął się ramieniem i z impetem wpadł do pokoju. Było to małe pomieszczenie sterylne czyste, z jednym przysłoniętym oknem. Pod ścianą, na łóżku przykryty stertą koców leżał łucznik, a na przeciwległej ścianie znajdował się mały stolczyk, na którym leżała kupka złożonych ubrań.

- Vourrin! - Ortha wydusił z siebie imię łuczniaka i przywarł do rogu materaca. - Jak się czujesz? Nic ci nie jest? Ta jędza nie chciała mi nic powiedzieć. - wskazał palcem na lekarkę opierającą się o framugę drzwi.

- Nie jędza, tylko Irin, tak gwoli ścisłości. - podeszła powoli do łóżka i przechyliła pytająco głowę. - Bóle ustały? Dostałeś najsilniejsze środki, jakie mieliśmy, możesz czuć się otępiały i zmęczony.

- Tak, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Sądzę, że nie muszę już leżeć tutaj. - odpowiedział spokojnie Vourrin. - Wiesz Ortha, w całym tym zdarzeniu widzę jeden wielki plus.

- Taki, że prawie zginąłeś? Faktycznie, tylko pozazdrościć... - odparł Ortha z przekąsem. Obaj mężczyźni prychnęli śmiechem, a Irin uśmiechnęła się blado, jakby nie miała nastroju do żartów.

- Poprawiła mi się kondycja! - powiedział radośnie łucznik i klasnął rękoma z zachwytem.

- Z takim podejściem nawet samobójstwo będzie jednym wielkim pozytywem... - w głosie Orthy dało się słyszeć ironię.

- Poza tym miło jest znowu spotkać jakichś ludzi. - przerwał mu łucznik. Nagle do pokoju weszło dwóch mężczyzn, którzy uratowali chłopaków. Starszy ubrany był w skórzaną kurtkę i czarną koszulkę, pod materiałem rysowały mu się brzegi kamizelki kuloodpornej, a przez pierś przewieszane miał pasy na amunicję oraz brunatną torbę. Tupął ciężkimi butami, a zanim szedł chłopak młodszy nawet od Orthy i Vourrina. Ruda grzywa zdobiła jego głowę i błyszczała się słonecznym blaskiem, a piegowata twarz świdrowała wszystko przenikliwie. Na jego twarzy nie było śladu zarostu ani brody, która otulała szczękę starszego. Podeszli do lekarki, a straszy szepnął jej coś na ucho.

Młodszy chłopak patrzył się bez skrępowania na Orthę, który czuł na sobie jego wzrok. Podniósł się powoli i stanął naprzeciwko rudzielca, którego oczy znajdowały się na linii obojczyków chłopaka. Rudy zmrużył przez chwilę oczy widocznie zaskoczony wzrostem białowłosego. Ortha przewyższał wszystkich obecnych. Był bardzo wysoki i umięśniony. Musiał być zwinny, a to uniemożliwiałaby mu nadmierna muskulatura. Patrzył ślepych oczyma prosto w oczy rudego. Mimo bielma na źrenicach zdawało się, jakby wszystko dokładnie widział. Mógł zobaczyć przynajmniej część dzięki rękawiczce. W końcu podniósł pytająco jedną brew, a rudzielec prychnął zdenerwowany i przepchnąwszy się obok lekarki i swojego towarzysza, wyszedł z pokoju.

- Wybacz mu, młody jest, dojrzewa, buntuje się, wiesz jak to jest... Jesteście w podobnym wieku. - Straszy zbliżył się do Orthy i uściśnął mu mocno rękę. Chłopak usłyszał, jak strzelają mu kości paliczeków, ale odwzajemnił uścisk z jak największą siłą. - Mars, miło mi. - To przyjemność móc ciebie poznać Marsie i nie nie wiem, jak to jest przeżywać

młodzieńczy bunt. Nie mogliśmy sobie pozwolić na szczeniacką samowolę. - powiedział chłodno.

- Ehh... Poddaje się. - Mars uniósł ręce w geście kapitulacji. - Rudy to Bardas. Czy ty ...? - zamilkł i spojrzał chłopakowi w oczy.

- Tak, to znaczy dzięki temu... - podniósł rękę owiniętą kablami. - jestem w stanie widzieć kształty otoczenia.

- Wiesz, moja matka zawsze powtarzała mi, że oczy są zwierciadłem duszy. Najwyraźniej, chłopie, nie posiadasz tej jednej rzeczy. - Zaśmiał się, ale lekarka stojąca koło niego wyglądała na śmiertelnie poważną. Białowłosy uśmiechnął się gorzko. Gdyby tylko wiedział, ile jest w tym prawdy - pomyślał Ortha.

- No nic, widzę, że towarzystwo nie ma poczucia humoru. Młody ubieraj się, pierwsza dama chce z wami pogadać. - wychylił się zza Orthy i powiedział do łucznika. - Chodź. - dodał, obracając się w stronę lekarki. Ton jego głosu był znacznie bardziej oschły. Jakby ten wesoły człowiek momentalnie zniknął.

Vourrin wstał i podszedł do ubrań. Przewrócił stosik i wyciągnął spod spodu maskę Orthy. Rzucił mu ją, a ten złapawszy, przykrył nią sobie twarz i umarł. Kiedy otworzył oczy, zobaczył normalny, kolorowy świat. Techniczny widok zaczął go męczyć. Wszystko wyglądało jak ulepione z gliny. Czerń wylewająca się zewsząd i tylko niebieskie poświaty odkreślające jeden przedmiot od drugiego. Ortha spojrzał się na łucznika. Przez jego lewy bark ciągnęły się trzy wąskie linie. Dochodziły do miejsca, w którym znajdowało się serce i urywały się gwałtownie. Vourrin w wielu miejscach był posiniaczony i obwiązany bandażami, spod materiału na prawym boku wystawała linia grubo szytych szwów. Ortha opuścił ciało i szybko przewędrował przez pobliskie pokoje. W pewnym momencie usłyszał jęki jakby rannych ludzi. Skierował się w ich kierunku, aż odnalazł serię pokoi, w których mieściły się szpitalne łóżka pełne rannych i dogorywających. Leżeli na zakrwawionych pościelach wśród jęku i agonii. Pomiedzy nimi pełno było dusz. Patrzyły się na nich przerażone, a w ich oczach malował się żal i chęć pomocy. Nagle chłopak poczuł popchnięcie. Wrócił do swojego ciała i zobaczył Vourrina wyczekującego na niego.

- Nie podoba mi się to wszystko. - jego głos był przytłumiony przez maskę. - Mają tu sale z jakimiś chorymi ludźmi.

- Wiem. Irin mówiła, że ta pierwsza dama każe im wszystkich ratować. Nie ważne, w jakim są stanie, mają ich tu przynieść i leczyć.

- To bez sensu, w ten sposób zużywają tylko leki na ludzi, którzy są już praktycznie martwi. Poza tym ta lekarka. Zionie od niej alkoholem. To nie są dobrzy ludzie. Ten stary wyglądał, jakby coś brał, nie wspominając o chłopaku. - powiedział Ortha.

- Co, nie podoba ci się, że ktoś ma tupet z tobą zadzierać? - popchnął go lekko.

- Tacy jak on wystawiają nie tylko siebie, ale i całą grupę na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że mają tupet zaczepiać takich jak ja. - powiedział ostro Ortha.

- Gadanie. Jesteśmy tacy sami jak oni. Ile razy zabijaliśmy innych, aby mieć jakiś łup na handel? Ile razy oszukiwaliśmy innych, aby uzyskać coś do jedzenia? - Vourrin podnosił głos. - Oni nam pomagają.

- A co, jeśli przestaną?

- Wtedy zrobimy to, co zawsze. Pozbędziemy się ich. Poza tym rudym i starym nie ma tu żadnych mężczyzn. Kobiety, bachory, ludzie przykuci do łóżka, ich jest od groma, a reszty

nie widać. Nawet dzieci to w całości dziewczynki. - Vourrin zamyślił się.

- Wiem, co oni robią z facetami. - powiedział tajemniczo Ortha.

- Co?

- Zjadają ich. - wybuchnęli śmiechem.

- Wiesz, bardzo bym chciał, aby to nie okazało się prawdą. - łucznik potarł pięściami oczy, po czym ruszył w stronę holu. - Chodźmy już, bo jeszcze skończymy jako kolacja.

Wyszli przez ogromne dwuskrzydłowe drzwi na dziedziniec. Siedzące tam kobiety zajmowały się dziećmi i chorymi na wózkach. Rzeczywiście, były to same dziewczynki.

Niektóre miały wstążki wplecione we włosy, jednak większość ubrana była w identyczne, bure sukienki. Na widok Orthy noszącego maskę kilka z nich krzyknęło i zaczęło płakać.

Oburzone matki, przerwały swoje czynności i patrzyły się z mordem w oczach na chłopaka.

O dziwo większość z nich była otyła. Kobiety miały sporą nadwagę. Ich nalane twarze miały niezdrowy kolor, jednak wynikający ze złej diety i znikomego ruchu, nie z braku jedzenia.

Jedna z nich próbowała się podnieść, jednak zachwiała się i upadła powtórnie na krzesło z ciężkim westchnieniem. Kiedy reszta zobaczyła, że nie mają reprezentantki,

wszystkie zaczęły ujadać jak wściekłe psy. Syczały coś o swoich dzieciach, bezstresowym dzieciństwie, wyrodnym ojczach i o tym, jakimi przebrzydłymi stworzeniami są mężczyźni.

- Teraz wiem, czemu nie ma tu żadnych mężczyzn. - szepnął Vourrin – Nikt by z nimi nie wytrzymał. - Zaśmiali się cicho, a rozzłoszczone matki odebrały to jako obelgę. Zaczęły jeszcze bardziej ujadać.

- Cicho tam! Wieloryby powinny pływać w oceanie! - krzyknął łucznik, a grubaski niesione furią zaczęły wykrzykiwać obelgi. Chłopak stał i uśmiechał się prześmiewczo, podczas gdy

niektóre z nich próbowały wstać o własnych siłach. Jednak opadały ponownie na krzesła, a twarze zalewała im czerwień. Nagle do Vourrina podbiegła mała dziewczynka. Miała łzy w oczach i mruzczała coś pod nosem. W ręczce trzymała duży patyk, którym chciała uderzyć

chłopaka. Ten jednak podniósł szybko nogę, a kiedy dziecko nie trafiło, kopnął je z całej siły. Dziewczynka przetoczyła się po trawie i zaczęła wrzeszczeć, a do niej dołączyła reszta

hołoty. Ortha patrzył z obrzydzeniem na osmarkane twarze małych dzieci i czerwone ze złości oblicza matek, które aż ociekały tłuszczem. Nie rozumiał, jak można uważać dzieci

za szczęście. Toć to istne przekleństwo!

Stali tak, patrząc to na siebie, to na cyrk, który rozgrywał się przed ich oczyma. Nagle wszystko umilkło. Chłopacy obrócili się za siebie i zobaczyli pulchną panią w

średnim wieku. Ubrana była w garnitur ciasno opinający jej biust i biodra. Na pole marynarki miała wpięty kotylion, taki jaki wygrywa się w różnych ważniejszych

konkursach. Przez pierś przewieszony miała karabin maszynowy. U jej boku stała lekarka

oraz dwóch towarzyszy. Wszyscy wyglądali na zmęczonych, tylko pulchna pani emanowała wręcz sztuczną uprzejmością. Podeszła do chłopaków i ceremonialnie wskazała im dłońią

jedną z ławek. Kiedy schodzili ze schodków, Vourrin przesłał wściekłym matkom buziaka.

Na ten widok wzburzyły się jeszcze bardziej i zaczęły mruzczyć coś pod nosem. Rozsiedli się na ławce, czekając, aż uprzejma pani zacznie mówić. Tymczasem rudy poszturchał

starszego towarzysza łokciem i obaj weszli do budynku.

- Moi najmilsi! Mam zaszczyt przedstawić wam naszych dwóch nowych członków. - wskazała dłońią na chłopaków, a wśród zebranych dało się słyszeć buczenie i ciche przekleństwa. - Mam nadzieję, że okażecie im dużo sympatii. - ton jej głosu był tak słodki,

że przyprawiał o mdłości. Kobieta specjalnie mówiła powoli i niezwykle emocjonalnie. „Jak do idiotów” pomyślał Ortha. - Jednak nasi nowi towarzysze nie znają jeszcze wszystkich zasad panujących w naszej małej społeczności. Otóż, jak pewnie zauważyliście chłopcy, nas kobiet jest o wiele więcej. Cóż, nie uznajemy tutaj samczej dominacji, na jaką byliśmy skazane wcześniej. Tutaj rządzi matczyzna miłość. Dlatego też dbamy o nasze dzieciaczki, aby urosły silne i zdrowe. Z tego powodu, wy mężczyźni z racji braku instynktu macierzyńskiego jesteście pozbawieni możliwości wpływania na losy naszej małej społeczności. Nie wiecie, jak to jest prawdziwe kochać, więc nie jesteście w stanie poświęcić całych siebie. Nigdy nie odczujecie bólu związanego z dojrzewaniem waszych dzieci. Nigdy... - otarła wierzchem dłoni wyimaginowaną łzę. Ton jej głosu był płaczący. Teatralnie udawała wzruszenie i troskę. - nigdy nie poznacie, co to jest prawdziwa miłość. - Oczywiście, dostrzegamy jaki świat zewnętrzny jest niebezpieczny i chcemy uchronić nasze dzieci od demoralizacji szerzącej się na zewnątrz. Dlatego też obowiązuje dla was system kar i nagród. Każda para rąk jest potrzebna do pomocy przy chorych. Dostaniecie listę codziennych obowiązków, które musicie wykonywać, ponadto, jako tak zwani „dzicy”, będziecie uczyć się od naszych wspaniałych matek umiejętności, które cechują prawdziwie kochającą osobę. Nie ma żadnych sprzeciwów, skarg i lamentów. Doceńcie dobro matczynej miłości, a będziecie wiedli życie wolne od przemocy i karygodnych czynów. Jednak nie osiadajcie na laurach. My, jako słabiej zbudowane, drobniejsze... - wskazała ręką na rząd otyłych matek pyszniących się usłyszonym komplementem. - nie możemy parać się zajęciem tak haniebnym, jak zdobywanie jedzenia. Przynajmniej w tej kwestii możecie powrócić do swojego zdziczałego środowiska. Jednakże nie zbieramy wszystkiego, co popadnie. Nie jesteśmy w końcu śmieciożercami...

- Nie, wcale tego nie widać. - powiedział Ortha z przekazem do Vourrina.

- Proszę mi nie przerywać! - krzyknęła pierwsza dama. - Jak już wspominałam... Staramy się jadać różnorodne posiłki, więc w waszym interesie jest zapewnienie nam jak najbardziej zróżnicowanego pożywienia...- Ortha patrzył się znudzony na otoczenie, dusze stały i patrzyły się na pierwszą damę równie zdziwione, jak on sam. Nagle wyczuł ruch. Podniósł się gwałtownie, a wszyscy zwrócili głowy w jego stronę. Pierwsza dama również przestała mówić i spojrzała zdziwiona na Orthę. - Młody człowieku, czy coś się stało...- z holu wybiegł rudzielec i pędził w kierunku Orthy i Vourrina. Popchnął pierwszą damę, a następnie zeskoczył ze schodków. Dopadłwszy Orthy, zaczął ciągnąć go i Vourrina w stronę krzaków. Ci opierali się z początku, jednak po chwili pobiegli za chłopakiem, który złękniiony mówił coś szybko do nich.

- Ruchy, nie ma czasu! Tam za drzewami jest stary basen! Schowajcie się tam, potem wyjaśnię! - krzyczał przez zaciśnięte gardło. Tymczasem pierwsza dama wyraźnie zrozumiała, co się święci. Pисnęła tylko cicho i podreptała do budynku. Mężczyźni pędzili przed siebie. Ortha za pomocą dusz zlokalizował stary teren basenu i zręcznie zeskoczył do kilkumetrowego zagłębienia. Z Vourrinem było gorzej. Potknął się o betonową płytę i spadając na reszki basenowych płytek, uderzył boleśnie zszytym bokiem. Ortha widząc to, przypadł do niego i zakrył mu usta ręką, kiedy ten w spazmie bólu wygiął się i zaczął krzyczeć. Na materiale koszulki pojawiła się krwawa plama.

Siedzieli tak na dnie opróżnionego basenu, czekając, aż coś się wydarzy. Z oddali słyhać było przemieszane męskie i damskie krzyki. Ortha opuścił swoje ciało i przyglądał

się temu wszystkiemu z bliska, zakrywając dłonią usta Vourrina, który oddychając szybko, miał łzy w oczach. Przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi przeszła grupa mężczyzn. Za nimi biegła pierwsza dama, gadając coś, jednak oni zdawali się nie zwracać na jej słowa żadnej uwagi. Mężczyzna stojący na czele grupy poprawił bluzę i przeczesał palcami tłuste włosy. - No jak tam panienki? Nie przygotowałyście żadnych podarków? Nie? - skrzyżował ręce na piersi. - Czuję się zawiedziony. No cóż, sami sobie coś weźmiemy! - na dźwięk tych słów reszta mężczyzn wróciła do budynku. Ortha poznawał mężczyznę, który mówił. Był to przyjaciel ojca łucznika. Kiedy jeszcze mieszkali w tamtym obozie, zajmował on jedną z najniższych pozycji w hierarchii. Ojciec Vourrina jako dowódca całego obozowiska pomagał mu czasami, kiedy ten był szykanowany. Jednak wyglądał wtedy zupełnie inaczej.

Był żylasty, chudy i małowówny. Człowiek, który stał paręnaście metrów od niego wyglądał jak urodzony samiec alfa. Opryszkowaty uśmiech, luźna postawa i grupa podwładnych mu mężczyzn. Nie mógł jednak być przywódca obozu. Ten nigdy nie opuszczał schronienia na zwykłe poszukiwawcze wyprawy. Ortha czuł, że w jego dawnym domu wiele się zmieniło i to na gorsze. Nagle Vourrin zaczął mu się wyrывać. Ortha nadal obserwował sytuację na dziecincu, więc przycisnął mocniej rękę zasłaniającą usta łucznika i potrząsnął nim lekko. Chłopak uspokoił się na chwilę, lecz białowłosey wiedział, że jest z nim źle. Dowódca grupy zszedł powoli ze schodów i skierował się w stronę matek siedzących na krzesłach. Wyglądały na przerażone. Ortha poczuł się dziwnie, widząc ich obecny spokój w porównaniu do wściekłości, kiedy z nimi się droczyli.

- Nie macie prezentu? Niedobrze, niedobrze... - mruzczał do siebie, jakby prowadząc monolog. Mężczyzna podchodził po kolei do każdej i patrzył jej w oczy. Kobiety wyglądały na przerażone i nie piśnieły nawet jednego słowa. Nagle z budynku rozległ się płacz dziecka. Wyszli z niego wszyscy mężczyźni. Niektórzy mieli torby wypchane jedzeniem, inni ubraniami albo lekami, jednak jeden z nich ciągnął za rękę małego chłopca, którego Ortha wcześniej nie widział.

- Tu cię mamy! - wykrzyknął radośnie głównodowodzący mężczyzna. - No proszę, jednak potraficie mnie jeszcze czymś zaskoczyć! Że my cię wcześniej nie znaleźliśmy... - podszedł do chłopca i uszczypnął go w policzek. - Przynajmniej nauczysz się czegoś pożytecznego u nas zamiast dziergania sweterków tutaj. Mam rację?! - zwrócił się z tym pytaniem do matek.

- Czy ktoś chciałby wyrazić sprzeciw dotyczący przyszłości tego młodego człowieka?! - jedna z matek podniosła się gwałtownie, z jej oczu popłynęły łzy, lecz mężczyzna równie szybko wyciągnął rewolwer i ją zastrzelił. Pierwsza dama stojąca za grupą krzyknęła, ale lekarka zakryła jej usta ręką. Mars wbiegł na dziedziniec i popchnął dowódcę.

- Nie tak się umawialiśmy! - krzyczał. - Zabierajcie jedzenie i jazda stąd!

- No proszę, obrońca uciśnionych się znalazł. - dowódca przechylił głowę. - Nie wyrывaj się tak, bo będziecie mieli jedno ciało więcej do sprzątnięcia. Idziemy! Skoro tak tu nas nie chcą, nie mamy nic do gadania. - machnął ręką i cała grupa skierowała się do głównego wyjścia. Reszta stała oniemiała przez dłuższą chwilę. Ortha w końcu puścił łucznika, a ten jęknął tylko głośno i usiadł, trzymając się za bok. Ortha chwycił się krawędzi basenu i podciągnął do góry, jednak z łucznikiem był większy problem. Wyciągnął tylko ręce, a Ortha wciągnął go z trudem.

- Grubasie. - powiedział tylko i skierował się na dziedziniec. Z martwego ciała kobiety wypłynęła już duża kałuża krwi, która powiększała się z każdą chwilą. Pierwsza dama stała

zszokowana, Mars zakrył oczy dłonią, rudy patrzył się na całą sytuację znudzony, a twarz Irin mówiła, że to nie był pierwszy taki przypadek. W końcu weszła do budynku i wróciła z dużym czarnym pledem. Przykryła materiałem ciało zmarłej, jednak spod przykrycia wciąż widać było krąg krwi. Rudy podszedł do Orthy.

- Widziałeś, jaka zadyma? Dobrze, że przytrzymałeś tego swoje przyjaciela, bo wszystko by się wydało.

- Często przychodzą?

- Kiedyś przychodzili rzadko, od jakiegoś czasu nawiedzają nas coraz częściej i zabierają wszystko, co im się spodoba. Jedzenie, leki, dzieci. Kobiety też zabierali, ale przestali.

- Wcale im się nie dziwię. - powiedział Ortha rozbawiony.

- Myślisz geniuszu, że one chcą być takie grube? - mówił teraz szeptem, aby reszta go nie usłyszała. - Kiedy były chude, potrafili zabrać nawet połowę grupy. Wiesz tania siła robocza i inne bzdety. No, ale otyłych kobiet nikt nie chce. Więcej jedzą, rodzą słabe dzieci i do tego są nieatrakcyjne dla oka. Tylko ślepy mógłby sypiać z taką kobietą. - chłopak patrzył oburzony w ziemię, jednak Ortha zmarszczył brwi. Bardas momentalnie zrozumiał jaki błąd popełnił. - To znaczy ślepy, głuchy i małomówny. Wiesz, tak aby w ogóle nie wiedział co się z nim dzieje. - poprawił się szybko.

- Czemu zatem nie powalczycie? Znacnie okolicę lepiej od nich. Moglibyście przygotować zasadzkę. - spytał Ortha.

- Teoretycznie tak, ale skoro one się tak spały, to kto ma walczyć? Ja z Marsem sami wszystkich nie obronimy, poza tym pierwsza dama zabiera nam ciągle broń i ma chęć jeszcze mówić, że te ważące sto kilogramów wieloryby są za delikatne, aby ruszyć dupską.

- Możemy wam pomóc. - Ortha poprawił maskę.

- Jasne, ślepiec i jego koleżka, któremu przy każdym szybszym ruchu rozpruwa się bok. Zespół idealny. Uważaj, bo jeszcze się poddadzą, jak nas zobaczą. - zaśmiał się, a Ortha dołączył do niego. W tym momencie podeszła do nich pierwsza dama.

- Moi drodzy panowie, przepraszam was za to, co musieliście oglądać. Niestety ci szubrawcy zabrali nam znaczącą część zapasów, więc jesteście zmuszeni wyruszyć na poszukiwania. Poczekacie kilka dni, aby złodzieje mogli się oddalić i wyruszyście o świcie.

- Jakieś specjalne zamówienia? - powiedział Ortha sarkastycznie.

- Niestety, będę musiała zaakceptować każdą formę pożywienia. Obecna sytuacja jest trudna, więc nie będziemy wybrzydzać. Jednak jeżeli moglibyście się postarać o bezglutenową...

- Idziemy. - powiedział Ortha i zwrócili się w stronę budynku.

Następne dni przebiegały spokojnie. Ranę Vourrina zszyto i zakazano mu wszelkiej aktywności fizycznej. Pierwsza dama postanowiła dać im obejrzyć sprzęt, jednak nadal przeciwna była noszeniu go po budynku uczelni. Dopiero ostatniego dnia dała im z pewną dozą niepewności kilka karabinów i pistoletów. Vourrin odzyskał łuk, a Ortha dostał długi nóż myśliwski. Wyruszyli o świcie. Mars niósł w wojskowym plecaku trochę jedzenia i wodę, a pas na piersi wypełnił zapasowymi nabojami. Nie rozmawiali dużo, jedynymi słowami była reakcja rudego, kiedy Vourrin założył gogle i przykrył sobie twarz, a Ortha założył maskę.

- Wyglądacie jak dziwacy. - powiedział prześmiewczo, lecz kiedy oddalił się od chłopaków, szepnął do Marsa. - My też musimy sobie takie sprawić.

Wydawali sobie proste polecenia, aby ograniczyć hałas do minimum. Ortha kierując się pomocą dusz, znalazł kilka koców i konserw. Jednak wszystko wydawało się wyczyszczone. Widocznie grupa mężczyzn z dawnego obozowiska łuczniaka pokusiła się również o przeszukanie okolicznych ruin. Znajdowali się kilka kilometrów od obozowiska. Temperatura tutaj spadła, było znacznie bardziej ciemno i ponuro. Zaczynali opuszczać strefę oświetloną przez wyrwę i wchodzić na teren pustki. Było tam bardzo zimno z racji braku słońca, a na każdym kroku można było spotkać Indaery. Jednak Ortha i Vourrin czuli się tam jak w domu. Podczas ich 8-letniej wędrówki, główną część spędzili właśnie w pustce. Zajmowali się poszukiwaniem skarbów ocalałych podczas wielkiej gorączki, po czym sprzedawali je różnym ludziom. Czasami nawet szukali jakiejś rzeczy na specjalne życzenie, o ile otrzymali stosowne wskazówki.

Teraz jednak szli obok wielkiego gmachu dawnego szpitala. Ortha chciał ominąć to miejsce, ponieważ często właśnie w takich lokacjach pełno jest Indaerów, jednak reszta uparła się na przeszukanie gmachu, z racji wątpliwych zapasów leków. Weszli więc do wielkiego betonowego budynku i rozpoczęli poszukiwania. Ortha zachowywał się niepewnie, dusze, które go otaczały, cały czas odradzały mu na migi, dalszą wędrówkę. Nie wiedział dlaczego, jednak czuł, że coś wisi w powietrzu. Przeszukiwali piętro po piętrze.

Szli po szkielecie schodów, kiedy nagle usłyszeli gromki śmiech. Wszyscy zatrzymali się gwałtownie. Zaczęli nasłuchiwać. W oddali zdało się słyszeć rozmowę. Weszli na piętro wyżej i zaczęli przeszukiwać pobliskie pokoje. W końcu znaleźli źródło śmiechu. Za drzwiami na końcu korytarza prowadzącymi do sali konferencyjnej stacjonowali mężczyźni z grupy, która napadła ich obozowisko. Widocznie zrobili przerwę w poszukiwaniach i postanowili odpocząć kilka dni. Mars dał reszcie znak, aby poszli na drugi koniec piętra. Cała grupa weszła do małej salki. Od zwilgotniałych ścian odchodziła farba, która kiedyś tworzyła malunki różnych wesołych zwierząt. Pod ścianami stały małe metalowe łóżeczka, które przykrywała warstwa pyłu i brudu. Na jednym prętów wisiała tabliczka informująca o stanie 8-letniego pacjenta. Ortha rozejrzał się po pokoju, nawet dusze nie chciały tu wejść. Stały przed drzwiami i patrzyły się tępym wzrokiem na jego ruchy. Vourrin otworzył wszystkie małe szafeczki. Znalazł kilka fiolek leków, jedną czystą strzykawkę i starego rozprutego misia. Zabawka była różowa, nie miała jednego oczka. Na brzuszku pluszaka widniał napis nakreślony dziecięcym pismem. Ortha usiadł w kącie pokoju i skulił się. Chciał zobaczyć, ilu jest przeciwników, a widzenie przez ściany nie należało do łatwych umiejętności.

- A temu co jest? - zapytał rudy i wskazał na Orthę siedzącego beczynn timer. - Rozkleił się? - zadrwił.

- Zostaw go. - powiedział Vourrin i rzucił mu pluszaka z wypisanym imieniem Bard. - Może to twój? Wiekiem prawie nie odbiegasz. - Bardas posłał mu zabójcze spojrzenie.

- Panowie, skupcie się. - Mars spojrzał przelotnie na Orthę. - Mamy dwie opcje albo pójdziemy stąd i wrócimy do obozu z prawie niczym, albo... - powiedział śmiertelnie poważnie. - pozbędziemy się problemu i zgarniemy dodatkowe bonusy.

- Jak dla mnie opcja jest jedna... - zaczął Bardas – ale skąd mamy wiedzieć, kiedy będzie odpowiedni moment? - dodał.

- No właśnie tutaj tkwi haczyk. - rzekł smutno Mars. - Nie wiemy, kiedy będą, najmniej przygotowani.

- Ja jestem za tym, by iść stąd, póki możemy. - wydusił Vourrin. - Ci ludzie są od nas lepiej uzbrojeni, są mniej zmęczeni i na pewno przewyższają nas liczebnością. - spojrzeli się na niego zdziwieni. - Owszem, możemy walczyć, jednak jestem pewny, że nie obejdzie się bez ran. Jeżeli zdobędziemy te leki, to i tak wykorzystamy je na ich leczenie, abyśmy mogli wrócić do domu.

- Masz rację, każda opcja jest ryzykowna.

- Zawsze możemy poczekać, aż sobie pójdą, a potem pozbyć się ich na otwartym terenie. - zaproponował Bardas.

- Tak, szczególnie, gdy będziemy jeszcze bardziej zmęczeni. - powiedział opryskliwie Vourrin.

- To co w takim razie robimy? Ortha? - Mars spojrzął się w stronę chłopaka, który podniósł się powoli.

- Idziemy na nich. Właśnie położyli się spać. - powiedział poważnym tonem i zaczął kierować się w stronę korytarza.

- Skąd ty to..., a zresztą, nieważne. - powiedział Mars i wyszedł z Bardasem z pokoju.

- Chwila! To jest bardzo nieprzemyślane posunięcie! - zaprotestował Vourrin, jednak Ortha podszedł do niego i uderzył go w zszyty bok. Ten zgiął się w pół z bólu, a wtedy chłopak zasłonił mu dłońmi oczy. Łuczniczka zwiotczała i zwałiłby się na ziemię, lecz białowłosego podtrzymał. Po chwili wrócił do pionu, lecz wyglądał zupełnie inaczej. Jego skóra przybrała ziemisty odcień, a żyły widoczne pod skórą stały się czarne. Paznokcie wydłużyły się, a ich końce stały się ostro zakończone.

- Idziemy. - powiedział przemieniony Vourrin, a jego głos był zachrypnięty i suchy. Ortha tak bardzo nie lubił tej sztuczki. Stosował ją niezwykle rzadko. To, co stało teraz przed nim nie było Vourrinem, a duszą, którą przywołał kiedyś Ortha. Oboje dołączyli do Bardasa i Marsa. Ortha raz po raz wracał do sali konferencyjnej, aby upewnić się, czy mężczyźni nadal śpią. Kiedy podeszli już do drzwi, przemieniony Vourrin otworzył z ręcznym zamkiem i nacisnął klamkę. Wpadli do sali, trzymając śpiących na muszkach. Podchodzili do nich i każdemu przebijali czaszkę nożem. Było to okropne zajęcie, jednak bez niego nie mogli się obejść. Nagle usłyszeli strzał. Z rogu w całości pochłoniętego przez cień wypadł mężczyzna i zaczął krzyżeć coś niezrozumiale. Kiedy zobaczył, co stało się z jego towarzyszami, zaczął strzelać bez opanowania. Mężczyźni rozbiegli się po sali w celu uniknięcia trafienia. Mars wpadł za długi stół i wychyliwszy się zza niego, postrzelił agresywnego mężczyznę w brzuch. Ten padł i odruchowo złapał się ręką za ranę. Przez palce zaczęła mu przelewać się krew. Kałuża pod nim rosła coraz szybciej i szybciej, a on sam dysząc ciężko, zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku. W pewnym momencie chwycił za swój pistolet i zaczął strzelać w drzwi bocznego pomieszczenia. Kule z łatwością przelatowały przez spróchniałe drewno. Nagle ze zza drzwi wydobył się ogłuszający pisk. Ortha w sekundzie zrozumiał, co kryje się za nimi. Wszyscy rzucili się do ucieczki, a rozwścieczone Indaery zaczęły walić o skrzydła drzwi, aby wydostać się z zamknięcia.

Kiedy wszyscy biegli korytarzem, usłyszeli trzask łamanego drewna i pisk stworów. Przyspieszyli, gnani strachem, i skierowali się w stronę klatki schodowej. Skakali po kilka schodków, aby jak najszybciej wydostać się z budynku. Indaery doganiały ich. Nagle schody zalała fala czarnej mgły, a pisk był tak głośny, że nie dało się usłyszeć nic innego. Skakali teraz jak najdalej, o mało nie łamiąc sobie karku. Nagle Bardas, który biegł jako

ostatni, przewrócił się i potoczył po schodach. Omiotła go czarna mgła, a sylwetki wychudzonych ludzi chwyciły go za nogi. Krzyczał przeraźliwie i próbował kopać stwory, jednak te coraz bardziej odciągały go od grupy. Mężczyźni chwycili ręce rudego i zaczęli przeciągać chłopaka w swoją stronę. Ten krzyczał niemilosiernie, rozrywany z dwóch stron. Jednak monstra pomimo swoich nikłych postur okazały się o wiele silniejsze i to w ich kierunku był wciągany chłopak. Nagle Vourrin puścił go i padł do tyłu. Wyjął z kieszeni granat i wyciągając zawleczkę, rzucił go w Indaery. Po chwili potwory załała fala ognia. Krzyczały przeraźliwie, paląc się żywcem. Ortha również krzyczał. Upadł na ziemię i otulając ramionami głowę, wrzeszczał w agonii. Ogień zaczął rozprzestrzeniać się i spływać po schodkach. Mars rzucił się w stronę rudego, aby odciągnąć go od płomieni. Jednak kiedy chwycił go, ogień liźnął mu nogawki poszarpanych spodni i zaczął palić nogi. Przemieniony Vourrin zarzucił sobie na kark cierpiącego Orthę i wszyscy popędzili na parter. Kiedy wypadli z budynku, Bardas rozpaczliwie próbował zdusić ogień na nogach, który zaczął pisać się w górę. Mars wyciągnął szybko butelkę wody i wylał zawartość na spodnie chłopaka. Wydobył się cichy syk, a w powietrze wzbiła się strużka dymu.

Wszyscy stali przez kilka chwil oniemieli. Przemieniony Vourrin położył dyszącego Orthę na ziemi i wbiegł ponownie do budynku. Mars podniósł rękę, aby go zatrzymać, jednak opuścił ją po chwili zrezygnowany. Podwinął natomiast koszulkę i wyjął ze spodni pasek. Podeszedł do Bardasa i zacisnął mu pasek na jednej z nóg. Dolne kończyny chłopaka były w opłakanym stanie. Skóra w miejscach, gdzie nie była spalona, odznaczała się białym kolorem, była delikatna jak pergamin i zaczynała pokrywać się wielkimi bąblami. Krańce mięsa wystającego z rozprutych mięśni były zwęglone. Indaery, zamiast objąć nogę rudego ręką, wbijały mu w nie swoje szpony i podczas ciągnięcia rozcinały nimi wszystko. Nogi chłopaka były poszatkowane, długie głębokie bruzdy odsłaniały znajdujące się wewnątrz ścięgna, a w jednym miejscu można było dotrzeć kość. Ogień przypalił tkanki, więc krew nie lała się zbyt szybko, lecz ryzyko krwotoku było ogromne. Jednak widać było, że chłopak przeżywa ogromne katusze. Po policzkach spływały mu łzy, a w usta wsadził sobie rękę, aby powstrzymać krzyk. Nagle pojawił się Vourrin. Trzymał w rękach torby wypełnione rzeczami, które im zabrano z obozowiska. Rzucił je na ziemię i wyciągnął pasek ze spodni, aby Mars mógł związać drugą nogę chłopaka. Podeszedł do Orthy i ściągnął gogle. Ten leżał na boku i patrzył się w dal wyczerpany. Obrócił się w stronę Vourrina i od razu tego pożałował. Oczy Vourrina zupełnie się zmieniły. W rogach oczu widać było czarne żyłki, tęczęwka zupełnie zniknęła, огоłocając wąską, gadzią źrenicę. Żyłki przybrały ciemny odcień również na twarzy. Pojawiły się w kącikach ust, na skroniach, powiekach oraz na szyi.

- Załóż te gogle, wyglądasz obrzydliwie. - powiedział Ortha ze wstrętem.

- Ale panie, twój przyjaciel na pewno nie chciałby, abyś nazywał go obrzydliwcem. - Stwór, albowiem tak powinno się nazywać to, czym stał się Vourrin, przechylił głowę i spojrzał się drwiąco na Orthę.

- Nie jesteś moim przyjacielem, nie nazywaj mnie panem. I załóż te cholerne gogle! - powiedział ostrzej. - Tak bardzo żałuję, że cię przywołałem.

- Cóż... - stwór wywrócił oczami. - Jednak to zrobiłeś, bo inaczej twój koleżka dołączyłby do mnie. - Uśmiechnął się pod maską.

- Że też nie mogło trafić na cichszą duszę. - powiedział Ortha bardziej do siebie niż do

stwora.

- Ale tylko ja byłem na tyle silny, aby opętać twojego przyjaciela, uzdrawiając go. - przypomniał mu stwór. Ortha podniósł się i zaczął iść w stronę Marsa.

- Jeszcze go nie opętałeś, zawarliśmy inną umowę. - powiedział surowo białowłosy.

- Jeszcze. - rzekł Vourrin rozbawiony. - Ale koniec jest bliski. - dodał. Ortha wrócił na ziemię i zdjął maskę. Zalała go fala zmęczenia. Czuł zakwasy i zawroty głowy. Pochylił się do przodu, aby złapać dech i po chwili był gotowy do powrotu. Zrzucił na ramiona część toreb, a resztę wziął Vourrin. Mars natomiast podniósł omdlałego Bardasa. Wszyscy wyruszyli w drogę powrotną. Kilkanaście metrów przed bazą, Mars puścił się biegiem. Kiedy reszta dotarła do budynku, Irin już operowała Bardasa.

Ortha zaprowadził Vourrina do ich pokoju. Kiedy znajdowali się w środku, Vourrin zorientowawszy się, co chce zrobić, Ortha próbował go uderzyć jednak ten przyparł go do ściany i zasłonił mu oczy rękoma. Chłopak zwałił się na ziemię, a Ortha tym razem nie miał siły go przed tym uchronić. Ukucnął kogoś niego i zdjął mu gogle. Czarne żyłki zniknęły, tęczęwki znów pojawiły się, a źrenice wróciły do normalnego kształtu. Białowłosy uśmiechnął się pod nosem. To znowu był jego przyjaciel. Ortha zdjął kurtkę, buty i inne niepotrzebne rzeczy. Rzucił się na łóżko i zasnął jak kamień. Obudził się kilka godzin później. Wstał obolały z łóżka i potknął się o leżącego Vourrina. Westchnął ciężko i chwycił przyjaciela pod pachy, a następnie rzucił go na łóżko. Założył maskę i bluzę, a po chwili wyszedł z pokoju. Kiedy umarł, nie zauważył żadnych dusz. Wszystko było opustoszałe i takie ciche. Nagle wpadła na niego mała dziewczynka, która, kiedy spojrzała na niego, krzyknęła i pobiegła w inną stronę. Szedł korytarzami, próbując dotrzeć do prowizorycznego gabinetu lekarki. Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, zastał ją i Marsa siedzących pod ścianą. Koło kobiety leżała pusta butelka mocnego alkoholu, a Mars trzymał kolejną. Oboje wyglądali na zmęczonych. Irin miała podkrążone oczy oraz bluzkę pobrudzoną krwią.

- Co z nim? - spytał spokojnym tonem.

- Stan jest bardzo ciężki. Wdało się zakażenie. - Irin westchnęła. - Przynajmniej żyje.

- Do czasu. - dopowiedział ochryplym głosem Mars.

- Jak to? Przecież dostaliście całą torbę leków. - zapytał Ortha. Zdziwił się, że stan Bardasa jest aż tak zły. Skoro lekarka zszyła bok Vourrina mogła to samo zrobić z nogami chłopaka.

- Tak to. - Mars pociągnął łyk alkoholu. - Jedna z kobiet dostała zatoru płucnego. Pierwsza dama powiedziała, że to jej mamy podać potrzebne leki, nie Bardasowi.

- Nie mogliście jej powstrzymać?

- Przystawiła mi lufę do skroni. - Irin pociągnęła nosem. - Musiałam zostawić rudego i zająć się tym worem tłuszczu! - rzuciła pustą butelką o ścianę, która rozprysnęła się na milion kawałeczków. - W dodatku reszta tych wielorybów była oburzona, że nie zajęłam się nią wcześniej! - podnosiła coraz bardziej głos.

- Ciszej! - syknął Mars. - Nie chcę, aby wygłaszała mi swoje referaty o posłuszeństwie. - Mam jej serdecznie dość. To wszystko przez nią. - burknął mężczyzna.

- To znaczy? - Ortha ukucnął koło brodacza, a ten wyciągnął w jego stronę rękę z alkoholem. Chłopak odmówił mu gestem dłoni.

- Ci mężczyźni, wiesz już pewnie, że przychodzili do nas po zapasy. Jednak umówiliśmy się, że będziemy zostawiać odpowiednią ilość z dala od obozu, a oni nie będą nas

nawiedzać. W tej okolicy było dość dużo różnych rzeczy, więc dla świętego spokoju mogliśmy zgodzić się na taki układ. Zawsze zostawialiśmy wystarczającą ilość, więc byli zadowoleni i zgodnie z umową nie przeszukiwali okolicy, lecz pewnego razu pierwsza dama ubzdurała sobie, że nie będzie poddawać się samczemu jarzmu, więc zakazała nam przynosić zapasy na wskazane miejsce. W dodatku jeszcze ten chłopczyk, nawet ja nie wiedziałem, że on jest. Musiała go gdzieś ukrywać. Wracając, przestaliśmy przynosić jedzenie, a tamci zorientowali się, co jest grane. No i od kilku miesięcy przychodzą bezpośrednio do obozu. Pierwsza dama nie daje nam dostępu do broni, więc nawet jeżeli chciałbym coś zrobić, to nie jestem w stanie.

- Czemu nie uciekniecie? - zapytał.

- Chłopie, ja już nie jestem pierwszej młodości. Może i nie szykuję się jeszcze do grobu, ale nie mam tylu lat co wy, jestem wolniejszy, szybciej się męczę i zmysły już nie te. Poza tym mimo wszystko w grupie jest bezpiecznej, i jakkolwiek by te wstrętne baby przeklinać, to coś tam robią. Piorą, przygotowują posiłki i zajmują się prostymi sprawami. Wolę już to niż szlajanie się z Bardasem i przymieranie głodem w brudzie i smrodzie.

- A ty? - spojrzał się w stronę Irin. - Co jest takiego ważnego, co trzyma cię w tym miejscu?

- Nie wiem, może czysta pościel. - spuściła wzrok. - Jestem lekarzem, muszę trzymać się w grupie. Nie umiem walczyć, a jedynie pić. Jeżeli ktoś będzie mnie ochraniał, mogę zaoferować mu opiekę medyczną w miarę możliwości. Nic więcej.

- Co robimy? - Ortha spytał zrezygnowany. Humory wszystkich były ponure. Nikomu nic się nie chciało. Nagle dusza stojąca koło niego poruszyła się gwałtownie i podreptała w stronę sali pooperacyjnej. Ortha podniósł się i poszedł za nią. Spojrzał się jeszcze przez ramię na Irinę i zapytał.

- Do Bardasa w tamtą stronę? - wskazał palcem kierunek, w którym szła dusza.

- Tak. - odpowiedziała zamyślona. Chłopak upewniony co do kierunku poszedł za duszą i po chwili wszedł do małego pomieszczenia. Większą część pokoju zajmowało łóżko, na którym leżał rudy. Spał niespokojnie, a świszczący oddech wydobywał się z jego płuc. Łydki miał zabandażowane i przykryte kocem. Ortha rozejrzał się po pomieszczeniu. Pokoik wypełniony był duszami, które patrzyły się smutno na Bardasa. Więc i on spojrzał. Chłopak czuł, że rudemu nie pozostało wiele czasu. Umrze w ciągu najbliższych kilku dni. Martwił się jednak o to, czy podczas zgonu nie zamieni się w Indaera. To z powodu braku dostępu do broni byłoby katastrofalne w skutkach. Chłopak poruszył się lekko i powoli otworzył oczy. Spojrzał na Orthę, a ten uśmiechnął się lekko. Rudy miał przekrwione oczy, w ich kącikach zbierała mu się ropa.

- Jak się czujesz? - zapytał cicho białowłosa.

- Kiedy umrę? - jego głos był ochryply i cichy. Zapadła cisza.

- Niedługo. - odpowiedział mu Ortha. Nie zamierzał go oszukiwać. Chłopak odwrócił głowę od Orthy. Zapadła cisza.

- Wiesz, lubiłem tę twoją bezpośredniość. Nie używasz niepotrzebnych słów, mówisz prawdę, nie osładzając jej. Nawet gdy jest okrutna. - powiedział, przez zaciśnięte gardło. - Użyteczna cecha. - dodał.

- Bardas, kiedy już będziesz odchodził z tego świata... - chłopak obrócił się w jego stronę i spojrzał się na niego zwilgotniałymi oczyma. - nie wierz, temu co spotkasz. Nic nie przywróci ci życia. Nie wątp w to. - dokończył cicho.

„On”

Kiedy człowiek umiera, tak naprawdę ginie tylko jego fizyczna postać. Dusza, w której zawarta jest samoświadomość, intelekt, charakter czy upodobania, wstępuje do świata zmarłych, gdzie staje przed sądem Najwyższego. Zgodnie z osądem albo zamyka oczy, albo ma je otwarte. Jednak ciało jest połączone z duszą. Przez krótki moment, tuż przed zgonem, kiedy śmierć jest nieodwracalna, dusza znajduje się już w świecie umarłych, chociaż ciało teoretycznie żyje przez te ostatnie sekundy. Właśnie w tym momencie dusze zmarłych mogą zawrzeć pakt z człowiekiem. Polega on na tym, że przywrócą go do życia w zamian za podzielenie się ciałem. Jednak nic nie jest tak proste, jak się wydaje. Człowiek składa się z dwóch części. Fizycznej, czyli ciała oraz pierwotnego zachowania, instynktu. Tak jak zwierzęta. W drugiej połowie jest wypełniony duszą. Kiedy umiera, instynkt się zatracą, ale połączony jest z jego duszą znajdującą się w świecie umarłych. Duchy po zawarciu paktu nie mogą przywrócić do życia ciała jako normalnego człowieka, ponieważ dusza nie została osądzona, czeka ona na śmierć ciała, aby następnie stanąć przed sądem. Jednak pakt musi zostać dokonany. Ożywiają ciało, przemieniając je w zdziczałe Indaery. Kieruje nimi instynkt, pierwotna chęć przetrwania. Nie myślą, nie mają uczuć wyższych, zachowują się jak zwierzęta. Lecz co się dzieje z duszą zmarłego? Otóż kiedy jej ciało ożywa, opętuje je duch, z którym człowiek zawarł pakt. Jednak żadna istota nie jest w stanie zwrócić duszy ciału. Ta nie może stanąć przed sądem, ponieważ jej fizyczne ciało nadal żyje w postaci Indaera. Linia łącząca ją z ciałem nie została zerwana poprzez śmierć, nie może stanąć przed Najwyższym ani wrócić do ciała. Takie osoby błakają się po świecie zmarłych, patrząc na świat poprzez szpary, między palcami. Jak dzieci, które zgubiły drogę. Dusza nie przebędzie dalszej drogi, jeżeli jej ciało ożywione przez ducha nie umrze. Tymczasem ożywione ciało staje się Indaerem. Składa się ono w całości ze zwierzęcego instynktu, w końcu ta ludzka część błądzi w świecie umarłych więc dla tej „człowieczej” duszy, z którą podpisano pakt, nie ma „miejsca”. Duch, który opętał ciało, musi znaleźć kogoś, aby mu pomógł. Nie chodzi tu o zabicie, lecz o przysłonięcie oczu. Indaery nie mają powiek, więc nie mogą tak jak osądzone duszę przemierzać krainy szczęścia z zamkniętymi oczami. Ktoś musi im je przysłonić dłońmi. Kiedy ktoś już to zrobi, będzie to uznane jak zamknięcie oczu u duszy. Ciało rozsypie się w proch, zrywając połączenie z duszą, która stanie przed sądem. Sam duch jako mały element ożywiający tylko ciało zostaje potraktowany jak zwierzę. Albowiem tym właśnie jest. Zamieni się w pierwotną energię, z której wszystko jest zbudowane. Jest to energia samego boga. Taka, jaką został wypełniony Ortha.

Ten chłopak jest bardzo szczególnym przypadkiem. Został stworzony na podobieństwo ludzi, ale nim nie jest. Obdarzony przez boga fizyczną postacią może być uznany za jednego z nich, jednak nie posiada duszy. Nie kieruje się przyziemnymi zachciankami, ocenia wszystko takim, jakie jest, a nie przez pryzmat ludzkich upodobań. Po śmierci nie umrze, nie zostanie osądzony, ponieważ jego zadanie jest inne. Zamiast duszy Najwyższy przelał mu swoją całą moc. To dlatego Ortha jest ślepy. Tak jak powiedział kiedyś Mars „Oczy są zwierciadłem duszy.” W oczach Orthy nie można nic zobaczyć poza bielmem, ponieważ miejsce duszy wypełnia mu pierwotna energia boga. Zostanie ona uwolniona, kiedy Ortha zdecyduje, co robi ze światem. Podczas swojego życia ma osądzić, czy ludzkości należy się druga szansa, czy śmierć. Zgodnie ze swoją decyzją wykorzysta on moc, aby zmienić świat.

- Postaram się. - powiedział z płaczem w głosie.

„On”

- Ty i Mars, jak się poznaliście? - zapytał Ortha, chcąc odciągnąć myśli chłopaka od śmierci.
 - Zwykła historia: zabił mi matkę i tyle. - powiedział znudzony.
 - To chyba nie taka zwykła... Dołączyłeś do mordercy swojej matki? - zapytał rozbawiony.
 - To była kobieta typu: zostaw, bo zepsujesz, nieudaczniku, tak żałuję, że cię urodziłam, nie obchodzi mnie twoje życie. - wzruszył ramionami. - Mars pozbył się jej, kiedy chciała mnie udusić jakąś linką. - Ortha spojrzął się na niego spod zmarszczonych brwi. - Nie patrz się tak na mnie, ślepcu, miałem jedenaście lat, nie mogłem się obronić.
 - Tęsknisz za nią? - zapytał.
 - I to nie wiesz jak bardzo, ale dobrze jej tak. - Bardas prychnął zniesmaczony. - Należało się suce. No, ale dalej to normalnie. Chodziliśmy, gdzie popadnie, aż Marsa trafił szlag i znaleźli nas mężczyźni z tego obozowiska. Resztę naszego marnego żywota możesz sobie dopowiedzieć.
 - Mężczyźni?
 - No mężczyźni, nie kosmici. Było ich tu kilku, lecz uciekli, a ja z Marsem zostaliśmy, bo on nie był w stanie uciekać. - przewrócił oczami. - Teraz pewnie łążą gdzieś jako te cholerne Indaery. - zamilkł i spojrzął się na Orthę.
 - Moja matka, kiedy żyła, opowiedziała mi o wiecznych dzieciach. - Ortha poruszył się niespokojnie. - Czyli oni mają rację... - Ortha bił się z myślami. Mógł zaprzeczać, wymyślić historyjkę o jakimś tragicznym zdarzeniu, ale po co? Chłopak i tak umrze za kilka dni. Nawet jeżeli rozpowiedziałby wszystkim o tym, kim on jest, mała część uwierzyłaby mu, a nawet jeśli to nikt nie stanowił dla niego zagrożenia. - Co za popaprane czasy, że bogowie łążą między ludźmi. - prychnął. - Nie możesz niczego zrobić?
 - Na przykład czego? - zapytał zrezygowany.
 - No nie wiem, zniszczyć Indaery na przykład.
 - Świat tak nie działa, Bardasie. - powiedział spokojnym tonem. - Za kilka dni sam się o tym przekonasz.
 - Gadasz, jak byś był moim ojcem. - rzekł oburzony. - A wcale nie jesteś dużo starszy.
 - No, nie jestem. - zamyślił się.
 - Musisz pogadać z Iriną.
 - Czemu?
 - Ma tatuaże. Podobne do twoich. - powiedział znużony i ziewnął.
 - Skąd to wiesz? - na twarz rudego wylał się rumieniec, a on sam odwrócił wzrok.
 - Podglądałeś ją?! - ton głosu Orthy wyrażał bardziej podziw niż oburzenie.
 - Nie, no co ty. - zaśmiał się. Białowłosey wstał z krzesła.
 - Pójdę już, musisz odpoczywać. - powiedział. - W międzyczasie pogadam o tym z Iriną.
 - Ortha?
 - Tak?
 - Zobaczymy się jeszcze?
 - Nie wiem. - powiedział i wyszedł z pokoju. Bardas zapadł w niespokojny sen.
- Chłopak szedł korytarzem do miejsca, gdzie ostatnio siedzieli lekarka i Mars.
- Nagle zza rogu wypadła na niego Irina i wciągnęła za sobą do pobliskiego pokoju.
- Dlaczego mu powiedziałaś?! - wydusiła przez zaciśnięte zęby.
 - O czym?! - zmarszczył brwi.
 - No o tym. - wskazała na jego oczy.

- Podśluchiwałaś! - krzyknął.
- Wcale nie... - zaczęła.
- To nie było pytanie! - powiedział stanowczo. - Od kiedy jesteś w sekcie?! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś!
- To nie tak jak myślisz. - chłopak skrzyżował ręce na piersi, a Irina oparła się o pobliski stół.
- Słucham zatem. - powiedział lodowato.
- Kiedyś należałam do wiecznych dzieci. - zerknęła na niego, po czym szybko spuściła wzrok. - Ale uciekłam od nich, ponieważ uważałam te wszystkie wierzenia za wierutne kłamstwo i bajania. Wędrowałam trochę, ale moja sytuacja się pogarszała. W pewnym momencie znaleźli mnie ludzie pierwszej damy. Byłam bardzo chora, a oni nie mieli wtedy lekarza, więc pierwsza dama postanowiła mnie obejrzeć. Oczywiście byłam nieprzytomna, więc o tym nie wiedziałam. Kiedy było już po wszystkim, pewnego razu podeszła do mnie i zapytała, czy jestem członkinią wiecznych dzieci. Przytaknęłam, ponieważ wiedziałam, że widziała moje tatuaże. Nie była zła, nie krzyczała ani też nie wypędziła mnie z obozu. Ton jej głosu był pełen miłości i współczucia. Powiedziała, że każdy popełnia błędy i pozwoliła mi zostać w zamian za moją pomoc medyczną. Zaczęła traktować mnie jak normalnego człowieka. Jeżeli bym stąd uciekła... Jak myślisz, ilu ludzi postąpiłoby tak jak ona? - spojrzała się na niego smutno. - Tak jak mówiłam, sądziłam, że legendy o tobie to tylko brednie, więc moja przeszłość była dla mnie zakończonym rozdziałem. Lecz ty stoisz przede mną i wysłuchujesz moich żali. Legendy okazały się prawdą.
- Czyli z Marsem zostanieie tu już na zawsze? Tak chcecie skończyć? - zapytał. - Wśród szukan i absurdalnego rygoru?
- Nie, to trzeba zmienić. Bardas umiera, więc Marsa nie będzie tu trzymać po jego śmierci. Ja tymczasem muszę cię zaprowadzić do wiecznych dzieci.
- Wiesz, gdzie oni się znajdują?
- O ile się nie przenieśli, to tak. Kiedy jeszcze należałam do nich, byliśmy w posiadaniu starego sztyletu. To jego potrzebujesz? - Chłopak pokiwał głową. - Jeżeli chodzi o Bardasa, myślisz, że zamieni się w Indaera?
- Nawet ja tego nie wiem. Chłopak ma charakterek, jednak w obliczu śmierci wszystko wydaje się inne.
- Musimy być przygotowani, musimy mieć broń. - mówiła jakby do siebie.
- Jedyne do broni ma pierwsza dama. - powiedział Ortha. - Lecz ona na pewno się na to nie zgodzi.
- Nie zamierzam nawet jej prosić. - powiedziała oschle lekarka. - Nie odejdę bez Marsa, ale on nie zostawi tutaj Bardasa. Nawet jeśli jego zgon jest pewny. Jeżeli mamy czekać tu do śmierci rudego, musimy być przygotowani. W razie wypadku.
- Już nie jesteś taka miłosierna dla pierwszej damy? - zakpił chłopak.
- Przestań. Zawdzięczam jej życie, ale czasy się zmieniają. Ona jest chora, Ortha, sama tego nie widzi, ale wiesz, jak się zachowuje. Skoro moje przypuszczenia okazały się prawdą, muszę wrócić do wiecznych dzieci. Będzie stawiać opór, nie chce, aby ktoś opuszczał jej grupę. To zrozumiałe, w taki sposób zmniejsza się szanse na przeżycie, jednak ja mam ważniejszy cel i nie zamierzam tu gnić z litości dla niej. Muszę zacząć żyć swoim życiem i zaryzykować. W końcu muszę ci pomóc. - spojrzała na białowłosego.

„On”

- Nie potrzebuję twojej pomocy. - powiedział speszony.
- Dobrze wiesz, że do rytuału potrzebujesz dwóch artefaktów. Całunu i sztyletu, który, jak wiemy, znajduje się w posiadaniu wiecznych dzieci. Więc rób, co chcesz, ale bez mojej pomocy jednej z tych rzeczy nie dostaniesz.
- Muszę powiedzieć o tym Vourrinowi. Potem ustalimy szczegóły.
- Ja powiadomię Marsa, pomijając niektóre szczegóły. - mrugnęła porozumiewawczo do Orthy. Po chwili oboje wyszli z pokoju i rozeszli się w swoją stronę. Kiedy Ortha wszedł do pokoju, Vourrin siedział zgarbiony na łóżku. Chłopak przetarł oczy ręką i rozciągnął obolałe mięśnie.
- Co mi się stało? - zapytał.
- Dostałeś jakichś bólów i zemdlałeś. - Ortha poruszył się niespokojnie. - Pamiętasz coś?
- Nie, tylko to, że bok zaczął mnie boleć, a potem nic. Obudziłem się dopiero tutaj. - Vourrin potrząsnął głową i wstał z łóżka. - Co się działo?
- W szpitalu znaleźliśmy tę grupę mężczyzn, którzy nas naszli. - Ortha przesunął się, kiedy chłopak przechodził koło niego, aby wziąć leki. - Wszyscy byli martwi, zabraliśmy im więc to, co było nasze i chcieliśmy wracać, jednak zaatakowały nas Indaery. Mars spróbował je spalić granatem zapalającym, ale poranił tym samym Bardasa.
- Może pójde go zobaczyć? - powiedział i skierował się w stronę drzwi.
- Nie. - Ortha szybko zagroził mu drogę. - Jest w bardzo złym stanie, nie możemy mu przeszkadzać.
- Skąd to wiesz? Byłeś u niego? - zapytał.
- Tak... - powiedział powoli. - Ale on jest już prawie martwy.
- Co? - zapytał Vourrin z niedowierzaniem. - Prawie martwy?
- Pierwsza dama zakazała Irin go leczyć, więc w rany wdało się zakażenie, które ogarnęło całe ciało. - odpowiedział pokrótce.
- Jak to, przecież ona chce wszystkim pomagać. - wydusił. - To niemożliwe.
- Czasami ludzie okazują się innymi, niż wydawali się z pozoru. - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jest to bardzo powszechne zjawisko. - Vourrin próbował się przepchnąć koło Orthy, jednak ten zasłonił mu drogę ramieniem.
- Planujemy ucieczkę. - powiedział szybko. - Pozbędziemy się pierwszej damy, zabierzemy broń i wyniesiemy się stąd.
- Musimy ją zabić? Nie możemy zostawić jej w tym kółeczku adoracji? To nieetyczne. - oburzył się.
- Będzie stawiać opór... - zaczął Ortha.
- To zwiążmy ją do cholery i zamknijmy w pokoju! - podniósł głos. - Mam już tego dość, Ortha. Śmierć nie jest jedynym wyborem. - chodził po pokoju w tą i z powrotem. - Takim zachowaniem nie różnimy się niczym od tych, które łażą na dworze, mordując każdą napotkana istotę. Gdzie w tym sens?
- Powinienem się raczej spytać gdzie, twój optymizm? - rzekł opryskliwie Ortha.
- Powiedz ci, jakie są dobre strony tej sytuacji? Już za życia przygotowujemy się do roli Indaera. Nabieramy doświadczenia. - zaśmiał się.
- To tak nie działa...
- Wiem, jak to do cholery działa! - spojrzał się spode łba na Orthę. - Przepraszam, niektórzy z nas przygotowują się. - rozłożył ręce, a białowłosa wsadził ręce do kieszeni. - Nie wiem,

co zrobicie, nie wiem, co planujecie, ale bądźcie pewni. Ja nie zabiję tej kobiety. Mogę uciec, ale nie będę uczestniczyć w procederze zabicia osoby, która daje innym schronienie.

- Co ty bredzisz?! Widziałeś, jak ona się zachowuje? Ona nie jest normalna! - krzyknął Ortha.

- Powiedział ślepy bóg o białych włosach. - przedrzeźniał się Vourrin. - W tych czasach normalni ludzie gryzą piach. Jeżeli będziemy zabijać wszystkie osoby niestanowiące dużego zagrożenia, to równie dobrze już dzisiaj możemy poderżnąć sobie gardła, bo rasa ludzka nie przetrwa. - śmiał się.

- Masz gorączkę, bredzisz. - Ortha próbował się do niego zbliżyć, jednak chłopak odskoczył jak poparzony.

- Czuję się świetnie. - przyłożył wierzch dłoni do skroni. - A czoło mam lodowate jak twoje serce. - Orthę zatkało, stał niedowierzając, a Vourrin przepchnął się koło niego, wyszedł z pokoju i zatrzasnął drzwi. „Niedobrze, bardzo niedobrze” pomyślał. Musiał powiedzieć o tym reszcie, poza tym nie wiedział, co może strzelić do głowy Vourrinowi. Obrócił się gwałtownie i podszedł do drzwi. Szarpnął klamkę i o mały włos wpadłby na duszę stojącą za drzwiami. Upadł do tyłu przestraszony, a dusza odwróciła się od niego i podreptała w sobie znanym kierunku. Chłopak na czworaka podpełzł do framugi i rozejrzał się po korytarzu. Nie było widać żywej duszy. Wstał i nerwowo poszedł znaleźć Irin. Znalazł ją siedzącą na zewnątrz uczelni w towarzystwie Marsa. Mężczyzna wyglądał na załamanego. Po policzkach płynęły mu łzy, a Irina siedziała z nogą założoną na nogę.

- Powiedziałaś mu? - zapytał.

- Powiedziała. - odpowiedział Mars. Irin spojrzała się na niego, taksując go wzrokiem.

- Naprawdę nie ma dla niego nadziei? - zapytał. Ortha pokiwał przecząco głową.

- Ej to chyba ja tu jestem lekarzem. - powiedziała surowo Irin. - I to ja powinnam osądzać czy pacjent ma jakieś szanse albo nie.

- To bez znaczenia. - wydusił smutno Mars.

- Mamy problem. - przerwał mu chłopak.

- To znaczy? - zapytała Irin.

- Vourrin wcale nie chce zabijać pierwszej damy. - mówił szeptem, aby nikt inny go nie usłyszał. - powiedział, że poprzez zabijanie stajemy się tacy sami jak Indaery... - wzruszył ramionami.

- Jej inaczej się nie da pozbyć. - powiedział Mars. - Jeśli byśmy próbowali, to narobi takiego hałasu, że zaraz zleci się reszta bab, a im na pewno dała jakąś broń.

- Trzeba to załatwić po cichu. Najlepiej w nocy. - dodał Ortha.

- Po całym zdarzeniu musimy gdzieś schować ciało. Potrzebujemy czasu, aby przygotować się do wyjścia. Nie wyrobimy się w nocy. - Irin zaczęła nerwowo machać nogą.

- A co ze stadem wielorybów? - zapytała.

- Zostawimy im trochę jedzenia. Kiedy przyjdzie grupa z tamtego obozu, na pewno coś z nimi zrobią. - odpowiedział Mars.

- Zabiją je. - powiedziała pytająco Irin.

- Nie obchodzi mnie to. - mruknął mężczyzna.

- Do tej akcji potrzeba kilku ludzi. - zaczął Mars.

- Ja odpadam. - przerwała mu Irina.

- Ktoś musi stać na czatach, a reszta musi zająć się brudną robotą. - spojrzał się wymownie

na Orthę.

- Będiesz stać na czatach. - westchnął. - Ja pozbędę się problemu.
- A co z Vourrinem? On też jest nam potrzebny, w razie gdyby coś nie wypaliło.
- Zajmę się nim. - powiedział Ortha.

Reszta dnia była wyjątkowo nudna. Ortha nie mógł się na niczym skupić, chodził bez celu, błędnym wzrokiem szukając łuczника. Znalazł go dopiero w przydzielonym im pokoju. Wreszcie ten spojrzął się na niego bez słowa i wrócił do swoich zajęć. Rozrzucił ubrania na dwie małe kupki. Stał bez koszulki, a Ortha patrzył na trzy linie przecinające bark. Gdyby tylko mógł się ich pozbyć. Wciągnął ze świstem powietrze, a łucznik odwrócił się do niego. Czarne włosy lekko kręciły się na końcówkach, a jego szczękę przykrywał zarost. Nagle Ortha zobaczył srebrny łańcuszek zawieszony na jego szyi. Na końcu błyskotki wisiała mała figurka mężczyzny przybitego do krzyża. Łucznik spostrzegł, na co patrzy się białowłosa i uśmiechnął się złośliwie.

- Co? Zazdrosny? - spytał z rozbawieniem.
- Nie wiem, czy to takie atrakcyjne cierpieć przybitym za zbrodnie innych ludzi. - wymamrotał. - Nie ma czego zazdrościć. - dodał.
- A ty siebie jak wyobrażasz? - spytał. - W końcu masz taką samą rangę jak on.
- Wśród powodzi kwiatków i fanfar. - Ortha zamyślił się, a łucznik prychnął ze śmiechu. Po chwili jednak przybrał surowy wyraz twarzy.
- Słuchaj, postawmy sprawę jasno. Ucieknę z wami, ale nie zabiję tej kobiety.
- Spoko. - odpowiedział beztrosko.
- Spoko? I tylko tyle? - Vourrin nie dowierzał w usłyszane słowa. - Żadnych antymoralnych kazań? Nic?
- A co chciałeś jeszcze usłyszeć?
- No... Nie wiem. - powiedział w zamyśleniu.
- To twoja decyzja, nie zamierzam w nią ingerować. - Ortha położył się na ziemi i wyciągnął spod łóżka torbę. Zaczął wrzucać do niej wszystkie swoje rzeczy. - Zaczynj się pakować, zrobimy to tej nocy. - Odwrócił się do łuczника, a promienie zachodzącego słońca odbiły się od jego maski. Łucznik poczuł się nieswojo i wzdrygnął się na ten widok.
- Potem. - odpowiedział pod nosem.

Po kilku minutach usłyszeli wołanie pierwszej damy na posiłek. Ortha wrócił na ziemię, zdjął maskę i poszli leniwie w stronę sali przerobionej na prowizoryczną jadalnię. Kiedy weszli do sali, wszyscy na nich czekali. Usiedli na krzesłach i czekali, aż kobiety wniosą talerze z jedzeniem. Kiedy Ortha powąchał potrawę, spojrzął się z przerażeniem na parującą przed nim breję. Masa miała zielonkawy kolor, a jej składników nie dało się zbyt odróżnić. Wszystko to było utopione w powodzi sosu z proszku. Kiedy wymacał krawędzie zastawy, zaczął mieszać widelcem w potrawce i czekał na zbawienie. W końcu nadziei ostatni ocalały kawałek poźółkłej marchewki i czekał, aż ta zsunie się ze sztućca, po czym wpadnie z pluskiem do miski. Robił tak kilkakrotnie, aż w końcu Vourrin uderzył go łokciem.

- Co ty wyprawiasz? - szepnął.
- Nie chce tego jeść. - wymamrotał.
- Zachowujesz się gorzej od bachorów. - powiedział i wskazał ruchem głowy na rząd dziewczynek po drugiej stronie stołu, które z bólem w oczach pochłaniały kolejne porcje

jedzenia.

- Ale one nie są mesjaszami, bogami. - wymamrotał tak cicho, że Vourrin musiał się przysunąć, aby go usłyszeć, po czym aż odtworzył usta z niedowierzania.

- Chłopie, ile ty masz lat? - zapytał z rozbawieniem. - Dwanaście? - Ortha nie odpowiedział.

- Jeżeli ty masz decydować o losach tego świata, to już teraz mogę wbić sobie ten widelec w szyję. - mruknął z przekąsem. Białowłosa kopnął go pod stołem tak mocno, że łucznik podskoczył na krześle. Pierwsza dama zatrzymała rękę z widelcem wędrująca do ust i spojrzała się na chłopaków.

- Moi drodzy, czy wszystko w porządku? - zapytała. Odpowiedział jej tylko cichy rechot.

- W najlepszym, proszę pani. - odpowiedział Vourrin i obaj próbowali powstrzymać się od śmiechu. Zaczęli szeptać coś do siebie, po czym Ortha wybuchnął gromkim śmiechem.

Wszyscy przerwali jedzenie i wpatrywali się w mężczyzn. Lekarka spuściła wzrok i mamrotała pod nosem przekleństwa, Mars siedział koło niej, uśmiechając się głupio. Nagle Ortha złapał się za brzuch i gwałtownie pochylił do przodu. Stare plastikowe krzesło zatrzęszczało pod jego ciężarem i złamało się. Chłopak lecąc do tyłu, rozpaczliwie próbował złapać się krawca stołu, jednak chwycił się obrusu i zrzucił na siebie talerz z breją. Siedział na ziemi, ogarniając, co się przed chwilą stało, a Vourrin uderzył pięścią w stół i popłakał się ze śmiechu. Pierwsza dama wykrzywiła swoją pulchną twarz w grymasie złości i odsunęła się od stołu. Podreptała w stronę Orthy, a echo pukania jej obcasów rozbrzmiewało w całej sali. Podeszła do niego, chwyciła go za ramię i zaczęła ciągnąć w stronę drzwi. Chłopak próbował wstać, jednak kobieta okazała się znacznie silniejsza. Strzelał tylko oczami dezorientowany w poszukiwaniu pomocy.

- Na to sobie nie możemy pozwolić. - mówiła zdenerwowana. - Panują tu pewne zasady, a obowiązkiem wszystkich jest przestrzegać ich. Jednak ty, młody człowieku, załamałeś je i zaburzyłeś rytm naszego spokojnego posiłku. W takim wypadku nie będzie ci dane dokończyć, a na dodatek pójdiesz do siebie i przemyślisz swoje zachowanie. - wypchnęła go za drzwi, które zatrzęsnęła z hukiem. - Kwestię kary przemyślę potem. - powiedziała do siebie. Kiedy przechodziła obok Vourrina, spojrzała się na niego ganiącym wzrokiem i wróciła do posiłku. W powietrzu wisiała atmosfera napięcia i niezręczności. Łucznik raz po raz prychał ze śmiechu, jednak szybko opanowywał się wracał i do posiłku. Pierwsza dama rozpoczęła wykład o zasadach, kulturze osobistej i przetrwaniu człowieka jako cywilizowanej istoty. Nagle lekarka odsunęła z szuraniem krzesłem, po czym pośpiesznie poszła w stronę drzwi.

- A gdzie to się wybiera? - spytała oburzona kobieta.

- Zaniósę jedzenie Bardasowi. - powiedziała szybko.

- Ale... - zaczęła pierwsza dama, lecz Irin przerwała jej trzaśnięciem drzwi. - Czy ona niosła jakiś talerz? - zapytała, ale odpowiedziała jej tylko cisza.

Ortha otarł strugę potrawki spływającej mu po czole. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Stał na środku korytarza, mierząc wszystko ślepych oczami. Nagle poczuł kilka ukłuc w przedramieniu. Wymacał kable rękawiczki i szarpnął nimi, aby usunąć zwarcie. Prąd popieścił go kilkakrotnie. Chłopak syknął cicho i zdjął urządzenie. Obrisy otoczenia rozmyły się, a potem całkowicie znikły. Błądząc w ciemności, Ortha był całkowicie bezradny. Chciał umrzeć, jednak jego maska znajdowała się za daleko. Gdyby ktoś go zobaczył... Jednak lekceważąc wszystkie przeszkody, przeniósł się do świata zmarłych, a

jego oczy znowu przybrały krwawą barwę. Rozejrzał się po otoczeniu, aż nagle usłyszał odgłos kroków za sobą. Głos lekarki pytał się, gdzie jest albo czy w ogóle tu jest. Ręce Irin chwyciły go za bark, a on kurczowo zacisnął powieki. Odwróciła go twarzą w swoją stronę.

- Otwórz oczy. - powiedziała. Zauważyła w kącikach oczu Orthy małe czarne żyłki, dostrzegła je również na szyi i w kącikach ust.

- Nie. - zaprotestował. - Czekał. - dopowiedział po chwili. Ortha wrócił na ziemię niezadowolony, że tak krótko dane mu było zobaczyć normalny świat.

- Już? - zapytała.

- Czego chcesz? - Rozchylił powieki, odsłaniając źrenice pokryte bielmem.

- Nie mogliście się powstrzymać z tym cyrkiem? - syknęła. - Cały śmierdzisz, opóźnisz całą akcję. - popchnęła go lekko. - Nie mamy czasu na takie zabawy.

- Mam siedzieć i patrzeć się w ścianę? - zapytał z przekąsem. - Daj spokój, wszystko jest w porządku. - Na policzek kapnęła mu duża kropla sosu.

- Musisz się umyć. - powiedziała z obrzydzeniem. Złapała go za nadgarstek i pociągnęła w stronę łazienki. Kiedy weszli już do pokoju obłożonego kafelkami, Ortha poczuł nieprzyjemny chłód i usłyszał plusk przelewanej wody. Irina polewała go co chwilę lodowatą wodą, a białowłosy miotał się w przemoczonych spodniach próbując ochronić się przed chłodem. W końcu lekarka rzuciła mu szorstki ręcznik, a Ortha pośpiesznie się nim otulił.

- Cholerni mężczyźni. - mruknęła i złożyła szmatkę. - Ortha odwrócił się w jej stronę i uniósł jedną brew. - To był jedyny ręcznik w całym obozie. - odpowiedziała.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a okolice ogarniał mrok. Z kątów zaczęły wypełzać cienie pochłaniające ściany i podłogi. Irin poinformowała Orthę o szczegółach akcji. O wyznaczonej godzinie do ich pokoju miał zapukać Mars, więc Ortha miał absolutny zakaz picia czegoś mocniejszego niż woda. Potem mieli przenieść się do części uczelni, w której rezyduje pierwsza dama i załatwić sprawę. To znaczy Ortha razem z Vourrinem mieli to zrobić, ponieważ Mars obstawiał tyły. Kiedy białowłosy wszedł do pokoju Vourrin leżał rozwalony na łóżku i majstrował coś przy jego rękawicy.

- Nie działa. - powiedział Ortha. Jego słowa zawisły w powietrzu, a łucznik obrócił głowę w jego stronę i mruknął kilkakrotnie zdumiony.

- Nie zauważyłem. - powiedział jak do ułomnego. - To przecież normalne, że ona pieści prądem prawda? - spytał jakby sam siebie. - W takim razie nie będę cię naprawiał, bo jeszcze coś zepsuję. - powiedział do rękawiczki, którą podniósł na wprost twarzy.

- Komiczne. - mruknął Ortha. Kiedy przechodził koło Vourrina ten podniósł na niego wzrok i wciągnął głęboko powietrze.

- Cóż to za wysublimowana kwiatowa woń? Powiedz towarzyszu czy jakaś niewiasta zdobyła twoje względy? - zapytał z ironią w głosie, a Ortha spojrzał na niego z mordem w oczach. Łucznik zaśmiał się pod nosem i wrócił do swojej roboty. Było już całkowicie ciemno, więc Vourrin zapalił małe łojowe świece. Knot podpalił się z sykiem, a po chwili w powietrzu dało się wyczuć nieprzyjemny zapach spalenizny. Mężczyźni nie mieli co robić po ciemku, więc przebrali się w wygodniejsze ubrania i poszli spać.

- Stresujesz się? - spytał szeptem Vourrin.

- Niby czym? - odpowiedział przez długi koniec pokoju Ortha, po czym przewrócił się na drugi bok.

- No wiesz...
- Oczywiście, że nie. - nakrył głowę kocem. - Gadasz, jakby zabijanie było ci kompletnie obce. - wymamrotał spod przykrycia.
- Wiesz, suma sumarum przynajmniej skończy się era tej ohydnej brei. - łucznik uśmiechnął się pod nosem. Jednak Ortha mu nie odpowiedział. Zrezygnowany poszedł spać. Kilka godzin później białowłosa usłyszał ciche pukanie do drzwi. Umarł i otworzył oczy. Zrzucił z siebie koc i wstał z łóżka, kątem oka dostrzegł swoje odbicie w małym lusterku. Jego oczy świeciły się dzikim czerwonym blaskiem, przypominając mu koszmary, które miewał w dzieciństwie. Wzdrygnął się i odwrócił od swojego odbicia. Założył maskę i po cichu podszedł do łóżka Vourrina. Kiedy znajdował się przy krawędzi materaca, chłopak poruszył się niespokojnie i gwałtownie otworzył oczy. Spojrzał się przerażony na stojącego nad nim Orthę, jednak ten błyskawicznie zakrył mu oczy. Łucznik szarpnął się i złapał przedramiona chłopaka, jednak po chwili zwiotczał. Białowłosa odsłonił mu oczy, które ponownie były pokryte czarnymi żyłkami.
- Świetny refleks. - rzekł ochryple stwór. - Twój kolezka na pewno się nie zorientuje.
- Cicho bądź. - odsunął się, aby zrobić mu miejsce. Przemieniony Vourrin wstał i przeciągnął się.
- Jak ja dawno nie byłem w ludzkim ciele. - wymamrotał.
- Zakładaj gogle i idziemy. - powiedział Ortha, który podszedł do swojego łóżka i spod materaca wyciągnął długi nóż myśliwski. Stał błysnęła w świetle świeczki.
- Co, nie chcesz na mnie patrzeć? - stwór wyszczerzył kły.
- Nie chcę, aby Mars zorientował się, co jest grane. - wysyczał Ortha. - Poza tym tak, nie chcę na ciebie patrzeć.
- Tylu już poinformowałeś o swoim jestestwie, że jedna osoba więcej nie robi zbytnej różnicy. - wzruszył ramionami i założył gogle. Po chwili wyszli z pokoju, a na rogu czekał na nich Mars.
- No proszę, masz na niego większy wpływ, niż mi się wydawało. - szepnął.
- Idziemy czy nie? Zaraz będzie świtać. - wycedził. Cały budynek jest pusty, nikt niepotrzebny nie pałęta się po korytarzach. - odrzekł Mars. Ortha rozejrzał się po holu i nie było w nim żywej duszy. Przeszli w ciszy większą część budynku. Porozumiewali się na migi, tak jak robili to już wcześniej. W pewnym momencie weszli na wyższe piętro budynku, a Mars zatrzymał się gwałtownie. Wskazał ręką rozciągający się przed nimi hol, który przypominał o swoim dawnym kunsztownym wykonaniu. Na podłodze leżały w większości połamane, lecz bardzo ładne, kremowe kafelki, a na ścianach można było dostrzec minimalistyczne zdobienia.
- To ostatnie drzwi po lewej. - powiedział, a Ortha ruszył we wskazanym kierunku. Zatrzymał się na chwilę, ponieważ na piętrze poniżej wyczuł ruch, jednak gdy tylko przeniósł się tam, zobaczył dwie dusze przechodzące z pokoju do pokoju.
- Ty nie idziesz? - zapytał przemieniony Vourrin, a Mars zdziwił się na dźwięk tych słów.
- On stoi na czatach. - wyjaśnił białowłosa. Po chwili Mars wyciągnął zza pasa mały nóż i podał go łucznikowi. Ten przyjął go chętnie z drapieźnym błyskiem w oku. Przeszli korytarz, stąpając na palcach. Kiedy byli pod właściwymi drzwiami, Ortha zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nie usłyszał żadnych niepokojących dźwięków, jednak do jego uszu nie dotarł odgłos oddechu pierwszej damy. Już miał zatrzymać Vourrina, lecz ten

zniecierpliwiony otworzył zamek wytrychem i wpadł do środka. Białowłosy wsunął się za nim i cicho zamknął drzwi. W pokoju było okropnie ciemno. Mrok obejmował większość pokoju, a przez przysłonięte okno wpadała niska poświata księżyca. Kiedy Vourrin obrócił się w stronę Orthy, mała dioda gogli zaświeciła się zielonym światłem. Sam Ortha doskonale widział w ciemności, jednak nie mógł tego powiedzieć o łuczniku, który bez noktowizji był całkowicie ślepy. Zaczęli iść z dwóch stron w kierunku wielkiego, bogato zdobionego łóżka. „Skąd ona je wytrzasnęła?” pomyślał Ortha. Nagle jedna z desek odezwała się głośnym skrzyknięciem. Vourrin natychmiast cofnął nogę i spojrzał nerwowo w stronę towarzysza. Z ciemności wyłonił się materac i leżący na nim kształt. Spod koca wysuwały się niczym węże jasne włosy pierwszej damy. Jednak coś było nie tak. Ortha nie słyszał oddechu kobiety. Podszedł szybko do krawędzi łóżka i zrzucił z niego koc. Pod narzutą leżała sterta poduszek przypominająca swoim kształtem ludzkie ciało. Na krańcu najbardziej wysuniętej poduszki leżały obcięte kosmyki włosów. Ujrawszy stos poduszek, Vourrin wbił w jedną z nich nóż.

- Cholera! - wykrzyknął targany złością. Ortha obrócił gwałtownie głowę w stronę drzwi.

- Słyszałeś? - zapytał białowłosy.

- A to wiedźma! - powiedział i obaj wybiegli do holu. Słysząc było odgłosy szamotaniny i ciche przekleństwa. Kiedy dotarli do klatki schodowej, zobaczyli pierwszą damę, która ciągnęła za sobą obezwładnionego Marsa. Przyciskała do jego skroni lufę karabinu maszynowego.

- Nie ruszajcie się, bo strzele! - krzyczała. - Wszystko wiem! Zwyrrodnialcy, chcecie zabić matkę, która dbała o was i traktowała jak własne dzieci! - krzyczała.

- Skąd się dowiedziałeś głupia jędo?! - warknął Vourrin.

- Ściany mają uszy... - powiedziała i zaczęła rechotać.

- Jezu, jak w jakimś kiepskim filmie kryminalnym. - jęknął Mars. Kobieta szarpnęła nim i przycisnęła mocniej lufę karabinu.

- Zostaw go, odejdziemy w spokoju. - Ortha próbował załagodzić sytuację.

- I czego jeszcze?! Nie daruję wam! Dzisiejszej nocy poleje się krew! - krzyknęła i zaczęła ciągnąć Marsa w głąb korytarza. Chłopcy schodzili powoli po schodach, aby kobieta w szale nie pociągnęła za spust broni.

- Zamknij oczy. - powiedział Ortha do Marsa.

- Co? - spytał niedowierzając. Vourrin spojrzał się przelotnie na Orthę.

- Po prostu zrób to. - dodał. Mars zacisnął posłusznie powieki, a Ortha gwałtownie ściągnął maskę. Mrugnął i spojrzał się głęboko w oczy pierwszej damy. Kobieta zamarła. Opuściła broń i stała, wpatrując się w czerwone oczy Orthy. Vourrin podbiegł do kobiety, starając się unikać wzroku białowłosego i wytrącił karabin z jej ręki. Ta puściła go bezwładnie, a Mars upadł na kolana, kurczowo zaciskając powieki. Łucznik chwycił go za ramię i odsunął na bok. Tymczasem Ortha szedł powoli w stronę kobiety, nie tracąc z nią kontaktu wzrokowego. W jej oczach zobaczył ból, tragedie sprzed lat i nienawiść, jaką wywołała strata dziecka. Zobaczył jej dawne życie jako uległej matki, ofiary przemocy domowej. Zarówno fizycznej i psychicznej. Zobaczył próbę samobójczą i niemoc, jaką ona wywołała. Ta kobieta przeszła tak wiele. Poświęciła całe swoje dawne życie dla niewdzięczników, tracąc przez to zmysły. Lecz teraz obezwładniona chorobą nadal robi to, licząc na własne odkupienie. Gdyby był człowiekiem, to zrobiłoby mu się jej żal. Po jej policzku spłynęła

łza. Nie było to oznaką jakiegś wewnętrznej przemiany, lecz rzeczy, które zobaczyła w oczach Orthy. Zwykle słowa nie mogły ich opisać, jednak wywierały one niszczący wpływ na zdrowie człowieka, który uchwycił wzrok mesjasza. Z kącika jej ust wypłynęła mała kropelka krwi. To samo stało się z nosem. Ortha miał chęć jak najbardziej zwiększyć jej cierpienie, jednak nagle Vourrin zaszedł ją od tyłu i wbił nóż między żebra. Kobieta opadła na ziemię, z rany zaczęła lać się krew. Żyła jeszcze kilka minut, kiedy to posoka wypływała na kafelki. Nie próbowała nawet walczyć. Kiedy jej ciałem wstrząsnął ostatni przedśmiertny spazm, przemieniony łucznik ukucnął koło niej i zamknął jej oczy.

- Chciałem się pobawić. - odparł beztrosko Ortha. - Sprawianie jej cierpienia było świetną rozrywką. - uśmiechnął się, a Vourrin spojrzął się na niego oburzony.

- Zachowaj swoje zabawy dla siebie. - Ortha zamknął oczy, a chłopak odwrócił się do Marsa. - Już. - powiedział. Mars gwałtownie rozchylił powieki.

- Co tu się dzieje? Jaka znowu zabawa? - spytał zdeorientowany.

- Nieważne. - mruknęli obaj równocześnie. Po kilku minutach uporali się z ciałem kobiety. Mars ukrył je w okolicznych ruinach, a Ortha z Vourrinem starli krew. Kiedy było po wszystkim, wrócili do swoich pokoi. Ortha czuł się zmęczony, chciało mu się spać, ale nie mógł zasnąć. Kiedy weszli do pokoju, stwór zdjął buty i przebrał się w ubrania, w których Vourrin spał wcześniej. Położył się na łóżku i czekał, aż Ortha go odmieni.

- Nie będzie żadnej bójki? Nic? - zapytał rozgoryczony i podszedł do krawędzi łóżka.

- Jeszcze przyjdzie na to pora. - burknął przemieniony łucznik. - Pospiesz się, zaczynam tracić świadomość. Widocznie twój przyjaciel nie za bardzo lubi, kiedy zabieram mu ciało. - dodał opryskliwie. Ortha przykrył mu oczy dłońmi i odsunął się szybko. Czarne żyłki w oczach łuczniaka zniknęły, a chłopak pogrążony we śnie zaczął miarowo oddychać. Więc i Ortha położył się wykończony.

Zbudziły go stłumione krzyki. Nie były one oznaką paniki albo mordy, a jedynie zażartej dyskusji. Ortha westchnął i otworzył oczy. Przywitała go ciemność. W pokoju nie było łuczniaka, a przynajmniej go nie słyszał. Wstał i poklepał dłońmi po pobliskim krześle, aby znaleźć rękawicę. Kiedy znalazła już urządzenie, podpiął je, a prąd kopnął go leciutko. Widocznie łucznik w pełni jeszcze jej nie naprawił. Kiedy obrysy otoczenia stały się już ostre i wyraźne, Ortha wstał i narzucił na grzbiet jakąś kurtkę. Dla pewności nałożył swoją metalową maskę i przeniósł się do świata umarłych. Wyszedł z pokoju i poszedł w stronę podwórka. Po drodze zaglądał do mijanych pokoi, jednak wszystkie były puste. Nie słyszał już krzyków. Niesiony lękiem przyspieszył kroku. Kiedy znalazł się na klatce schodowej, spojrzął przez okna wychodzące na zielony teren uczelni i odetchnął z ulgą. Poniżej znajdował się Mars otoczony wianuszkami kobiet. Białowłose pobiegł truchtem do niego. Kiedy przechodził przez dwuskrzydłowe drzwi, usłyszał pomruk niezadowolenia. Mars odwrócił się w jego stronę, a twarz rozpromieniła mu się.

- Właśnie zamierzałem iść po ciebie. - wstał, aby go przywitać. - Pokazywałem naszym paniom list pożegnalny pierwszej damy. - powiedział.

- Co? - Ortha spytał zdumiony. Mars wyciągnął w jego stronę zapisaną kartkę, jednak po chwili cofnął ją, zorientowawszy się, że chłopak nie przeczyta, co jest na niej napisane.

- Znalazłem ją dzisiaj rano w pokoju pierwszej damy. Widocznie spakowała swoje rzeczy i uciekła.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - spytał Ortha. Odgrywanie teatrzyku bardzo mu się

spodobało.

- Nie wiem, ten list tego nie wyjaśnia... - Mars jeszcze raz zaczął czytać treść listu.
- Panowie. - jednak z kobiet wstała powoli. - My naprawdę nie jesteśmy tak głupie, aby nabrać się na waszą opowieść. - Marsiem wstrząsnął dreszcz. Powinien poćwiczyć kiedyś grę aktorską. - Zostawmy ten temat w spokoju, ale powiedzcie, gdzie schowaliście ciało.
- To on je wyniósł! - Ortha szybko wskazał palcem na Marsa.
- Ty mały...! - mężczyzna powiedział w złości.
- Spokojnie, myślę, że ta mała zmiana wyjdzie nam wszystkim na dobre. - kobieta powiedziała spokojnie, a reszta przytaknęła jej słowom. - Tylko proszę was o jedno. Przynieście jej ciało z powrotem, abyśmy mogły pochować je z godnością. Przynajmniej to możemy dla niej zrobić. - dodała patrząc w oczy Marsa.
- Niech wam będzie. Zajmę się tym. - powiedział I zwrócił się w stronę budynku.
- Mars! - krzyknął za nim Ortha.
- Tak?
- Widziałeś gdzieś Vourrina? - Mężczyzna zatrzymał się i zastanowił przez chwilę.
- Niestety nie. A ,zapomniałbym.- odpowiedział i rzucił mu pistolet. Ortha spojrzął się przez ramię na kobiety i szybkim krokiem wrócił do budynku. Chodził po korytarzach, zaglądał do pustych pokoi. W końcu natrafił na salę, w której leżał Bardas. Otworzył lekko drzwi i wychylił się zza nich. W środku salki leżało łóżko z rudym, a obok niego siedziała na małym stołku Irin. Czytała książkę, podczas gdy Bardas niespokojnie spał. Dostrzegła go kątem oka i na palcach wyszła z pokoju.
- Co z nim? - szepnął.
- Zgon nastąpi w ciągu kilkunastu godzin. - odpowiedziała smutno.
- Nic się nie poprawiło?
- Zakażenie ogarnęło już cały układ krwionośny i przedostało się do płuc. - wzięła oddech. -
- Jeżeli nie dostanie krwotoku wewnętrznego, to udusi się własną krwią.
- Czyli już jutro wychodzimy? - spytał.
- Chyba tak, jesteś gotowy?
- Owszem, ale nie wiem, co z Vourrinem. Nie mogę go nigdzie znaleźć. - dodał.
- Wiesz, widziałam go kilkanaście minut temu na schodach. Chyba szedł do waszego pokoju. - odpowiedziała cicho.
- Dzięki, pójdę się z nim zobaczyć. - kiwnął głową na pożegnanie i potruczał w stronę schodów. Kiedy wszedł do pokoju, Vourrin odwrócił się gwałtownie w jego stronę.
- Co jest? Szukam cię cały ranek. - powiedział Ortha. - Musimy się szykować, jutro już opuszczamy to miejsce.
- Wczoraj w nocy załatwiliście pierwszą damę, prawda? - zapytał łucznik.
- Tak, I co? - Ortha nie wiedział, o co mu chodzi.
- Byłem tam z wami?
- Oczywiście, że nie. Nie rozumiem...- zaczął białowłosy.
- W nocy obudziłem się nagle, a ty stałaś nade mną. Potem pamiętam wszystko przez mgłę. Zupełnie jakbym uczestniczył w tym wszystkim. - Vourrin osunął się pod ścianę. - Coś się dzieje ze mną dziwnego, Ortha. Tracę świadomość, przez głowę przelewają mi się wydarzenia, w których nie brałem udziału, a wszystkie są ukryte jak za grubą zasłoną. Kiedy chcę się skupić na jednej myśli, umyka mi ona gwałtownie i nic zupełnie nie

pamiętam. Poza tym - spojrzał się złęczony na Orthę. - wydaje mi się, że ciągle gdzieś z tyłu czaszki coś siedzi i szepcze do mnie. Okropne rzeczy. Nie wiem, co się ze mną dzieje. - Może to zmęczenie. - powiedział szybko Ortha. Ta rozmowa nigdy nie powinna się odbyć. - Kiedyś, kilka lat temu, budziłem się w nocy w miejscach kompletnie mi nieznanych. Myślałem, że to lunatykowanie i zawsze wracałem do ciebie. Ale teraz to zdarza się nawet w dzień. Wydaje mi się, że tracę nad sobą kontrolę. - Ton jego głosu stawał się coraz bardziej płaczący. Chłopak był na skraju załamania psychicznego. - Zupełnie jakby coś sprawowało nade mną kontrolę. Dzisiaj, kiedy byłem na śniadaniu, Mars podszedł do mnie i powiedział, że bez mojej pomocy cała akcja mogła okazać się jednym wielkim niepowodzeniem. - wziął oddech. - Dowiaduję się prawdy o rzeczach, których nawet nie robiłem. Czynach, których świadomie nie popełniłem... Ortha. - spojrzał się w stronę chłopaka, a ten przerażony cofnął się do drzwi. - Co ty mi zrobiłeś? - zapytał cicho. - Co mi zrobiłeś?! - powtórzył głośniej.

Ortha wybiegł z pokoju. Przebiegł przez korytarz i w chwilę pokonał klatkę schodową. On miał się nigdy nie dowiedzieć o tym! Nigdy! To miało zostać tajemnicą, którą zamierzał zabrać ze sobą do grobu. Ortha wybiegł z budynku i popędził w okoliczne ruiny. Chciał się znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Musiał wszystko przemyśleć w samotności. Musiał przekonać sam siebie, że wszystko da się jeszcze naprawić.

Kilka lat wcześniej

*

Obaj chłopcy przeszukiwali zniszczony budynek ogromnego pałacyku. Dostali zlecenie na znalezienie drogiego pióra, do którego był szczególnie przywiązany ich zleceniodawca.

- Nie rozumiem was, ludzi. - Ortha mruczał chłopięcym głosem. - Zamiast martwić się o to, czy dotrwanie kolejnego dnia, wy zawracacie sobie głowę takimi pierdołami. - Przerzucał stosy kamieni w poszukiwaniu pióra.

- Przestań narzekać! - krzyczał Vourrin z odległego pokoju. - Jedyne, co umiesz, to narzekać, a masz dopiero czternaście lat... - dopowiedział ciszej. Szarpał się z zamkniętymi drzwiami. Przeszukał już kilka pokoi, a zamknięte drzwi pobudziły jego chłopięcą ciekawość. Próbował otworzyć je wytrychem, jednak nie udało mu się. Postanowił wyważyć je czymś ciężkim.

Ortha tymczasem zrobił sobie przerwę, aby rozprostować kości. Już miał powrócić do szukania pióra, kiedy nagle ogarnęła go błoga senność. Zdziwił się i potarł pięściami oczy, aby się rozbudzić. Jednak nic nie pomagało. Usiadł na ziemi pod wpływem nagłej fali senności. W głowie kręciło mu się okropnie, starał się ze wszystkich sił nie stracić przytomności jednak po chwili zemdlął, a w jego umyśle zaczął rozbrzmiewać obcy głos. Był niezwykle ciepły, ale i smutny.

Vourrin uderzył barkiem o drzwi. Drewno zatrzeszczało, a on odbił się od niego z obolałym ramieniem. Rozejrzał się po pokoju. W końcu chwycił oburącz duży głaz, zakręcił się kilkukrotnie i rzucił nim o drzwi. To podziałało. Kamień zrobił dużą dziurę w drewnie. Łucznik podszedł i otworzył sobie drzwi od wewnętrznej strony. Nagle usłyszał ze środka ciche warczenie. Nadstawił uszu przekonany, że to zwidy, lecz po chwili zrozumiał, co było źródłem dźwięku. Rzucił się do ucieczki, a Indaer w potoku czarnej mgły wypadł z pokoju. Vourrin zbiegł pośpiesznie po schodach, jednak potwór był szybszy i dogonił go. Rzucił mu

się na plecy i potoczyli się razem po szczątkach perskiego dywanu. Łucznik próbował dźgnąć stwora strzałą w oko, jednak kiedy wbił mu ją w czarny oczodół, ten wrzasnął tylko głośniej i rozwścieczony zaczął ciąć szponami po ciele chłopaka, który wołał rozpaczliwie Orthę.

Kilkanaście minut później po schodach zbiegł pospiesznie Ortha. Skoczył na Indaera, a ten przejechał pazurami po powierzchni jego maski, myśląc, że zada mu jakiś obrażenia. Białowłosy wykorzystał tę okazję i pozbył się potwora. Po chwili spojrzął na swojego przyjaciela leżącego w kałuży krwi, a jego tatuaże zaczęły splatać się ze sobą magicznie.

*

Zdjął maskę i schował ją do torby. Nikt go nie zobaczy więc po co mu ona? Mamrotał pod nosem cicho i szedł w byle jakim kierunku. Przez pył przebijała się duża ilość światła, więc musiało być południe. Spojrzął na daleki, czarny i nieprzenikniony horyzont. Może trzeba było tam zostać? Razem z Vourrinem bardzo dobrze przystosowali się do tamtejszych warunków, a w odosobnionych miejscach można było znaleźć prawdziwe skarby. Chłopak przetarł twarz ręką i wszedł do pozostałości okazałego budynku z kolumnowym wejściem. Przeszedł przez duży hol i skręcił w jeden z wielu korytarzy. Pod stopami chrzęściły kawałki szkła. Przy ścianach leżało kilka bardzo starych przedmiotów pokrytych kilkucentymetrową warstwą kurzu. Musiał znajdować się w byłym muzeum. Spędził kilka godzin, przemierzając zakątki budynku i zbierając co ciekawsze okazy. Znalazł zdobioną łyżeczkę, okrągłe, płaskie krążki, które mieniły się kolorami tęczy, jeżeli podstawiono je pod światło oraz kilka fotografii nagryzionych zębem czasu. Jedna z nich przedstawiała wysokie szklane budynki, a kolejna piękną gotycką budowlę z kamienia. Nie wiedział, ile mogą mieć lat. Sto? Trzysta? Wielka gorączka była tak dawno, a fotografie były z jeszcze wcześniejszych czasów. Zastanawiał się, jak tamtejszym ludziom musiało się żyć. Byli szczęśliwi? Ich życie też musiało być zatrute przez wojnę i śmierć. One zawsze towarzyszyły ludzkości. Słońce zaczęło powoli zachodzić. Niebo w miejscu, gdzie warstwa pyłu była najcieńsza, przybrało krwawą barwę. Spakował znaleziska do torby i ruszył na poszukiwanie dalszych okazów. Może kiedy już się stąd wydostaną, Vourrin sprzeda je wśród ludzi? O ile odezwie się do niego. Nagle szkło zachrzęściło cicho za nim, a on obrócił się błyskawicznie, wyciągając pistolet. Vourrin uniósł ręce w obronnym geście i błyskawicznie zacisnął oczy, kiedy przez ułamek sekundy spojrzął się w oczy Orthy.

- Daj spokój. - powiedział błagalnie. - Nie chcesz mnie chyba zabić? - dodał. Ortha opuścił broń i wyjął maskę z torby, po czym ją założył. Łucznik otworzył oczy i oparł się o ścianę.

- Gadaj. - powiedział. - To ma związek z tym? - poklepał się w bark. Białowłosy pokiwał potakująco głową.

- Pamiętasz tamten dzień, kilka lat temu, kiedy zaatakował cię Indaer, a mnie nie było? - jego głos był przytłumiony przez maskę, jednak Vourrin dał mu znak, aby kontynuował. - Byłeś na granicy śmierci, więc przywołałem duszę, która ciebie uzdrowiła.

- W zamian za co? - łucznik spytał z ciekawości. - Przecież dusza nie może opętać ciała bez zgody jego właściciela. Sam mi o tym kiedyś mówiłeś.

- Tak, ale to ze mną zawarto pakt. Po twojej śmierci dusza otrzyma twoje ciało. Nie zamienisz się w Indaera. - burknął.

- Czuję się wykorzystany. - powiedział Vourrin i przewrócił oczami. - A jaki jest twój udział w tym spisku?

„On”

- Jeżeli zginę wcześniej, to otrzyma ona moje ciało. Ze wszystkimi dodatkami. - odpowiedział. Spojrzał na łuczника. - Musiałem to zrobić. To był jedyny sposób, aby cię ożywić, nie zamieniając cię w Indaera. Gdyby nie ona już byłbyś martwy.
- Wiem, nie martw się. Jakoś przeżyję. - przechylił głowę i osunął się na podłogę, a Ortha usiadł kogoś niemu. Zastanowił się przez chwilę. - Jak to zginiesz? Jesteś bogiem, nie możesz sobie ot, tak zginąć, jak zwykły śmiertelnik.
- Oczywiście, że mogę. Poza tym nie jestem jeszcze bogiem. Może i mam umiejętności, których wasza rasa nie posiada, ale wciąż mogę zginąć. To ciało jest śmiertelne, ludzkie. Da się je zranić i pociąć, chociaż regeneruje się o wiele szybciej. Jeżeli nie zginę podczas rytuału, zawsze mogę paść ofiarą jakiegoś nożownika. - uśmiechnął się gorzko pod maską.
- Czyli jesteś Indaerem? - spytał Vourrin cicho.
- Nie w całości. - opowiedział Ortha po chwili zastanowienia.
- Zatem czym jesteś?
- Nie mogę odpowiedzieć ci na to pytanie. - odwrócił głowę. Zamilkł na chwilę. - Ponieważ sam nie znam odpowiedzi. - dodał. Atmosfera była ciężka i napięta.
- Wtedy, tamtego dnia, tak długo cię wołałem, a ty nie przychodziłeś. Dlaczego? - Vourrin zmienił temat.
- Straciłem przytomność i stanąłem przed nim twarzą w twarz. Po raz pierwszy. - odpowiedział.
- Jaki on jest? - zapytał ciekawsko łucznik.
- Jest zmęczony. - Ortha wziął głęboki oddech. - Zbyt długo patrzył na cierpienie ludzi, według niego już nie ma nadziei. Chce odejść w spokoju i zakończyć to wszystko.
- Jak to? Przecież to on nas stworzył. - Vourrin potarł ręką krzyżyk znajdujący się pod koszulką. - To wszystko dzięki niemu.
- On uważa was za swój najgorszy błąd. Jest przepelniony smutkiem, jego słowa są nasiąknięte goryczą. Zawiedliście go tak bardzo.
- To niemożliwe! W jaki sposób niby go zawiedliśmy?! Przetrwaliśmy tyle, odkryliśmy tyle rzeczy! - Vourrin podniósł się gwałtownie.
- A jak wygląda teraz wasz świat? Żyjecie jak karaluchy, poukrywani w ruinach, wybijając się bezmyślnie. Nie taki był jego plan. Ziemia była stworzona dla wszystkich. Dla zwierząt i dla was. Nie mieliście prawa doprowadzić do takiego zniszczenia. Wybiliście wszystkie gatunki, sialiście chaos wszędzie, gdzie się podzialiście. Nie mieliście do tego prawa. - powtórzył.
- To niemożliwe! - łucznik podniósł głos. - Należy nam się druga szansa. On na pewno jest w stanie wszystko zmienić!
- Już ją wykorzystaliście. On posłał już tego, który był przede mną na śmierć za wasze grzechy. Mieliście się nawrócić, zmienić swoje postępowanie. Teraz nie chce na was patrzeć. Nie popełni drugiego takiego samego błędu i nie da wam kolejnej szansy.
- Zatem co z nami będzie?
- Wasz los zależy ode mnie. On już nie ma żadnej mocy. To ja zostałem stworzony z jego potęgi i ja nią władam. Zadecduję o waszych losach, a jego unicestwię tak, aby mógł odejść w spokoju.
- To szaleństwo oddawać taką moc w ręce jednego człowieka. - Vourrin spojrzał w oczy Orthy.

- Nie jestem człowiekiem i nigdy nim nie będę. - białowłosy podniósł się powoli. - I to czyni mnie od was lepszym. Dostrzegam więcej niż wy, żyję tylko dla tego jednego zadania. Więc uwierz mi, ale jestem odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu.
- Niech żyje skromność. - mruknął łucznik.
- Wybacz, zapomniałem, że ludzie są bardzo drażliwi na przechwałki. - Ortha podrapał się z tyłu głowy zawstydzony.
- Dobra, oddaj mi tego człowieczego przyjaciela, bo ten pseudo bóg zaczyna mnie przerażać. - klepnął go lekko w ramię. - Jak już umrę, to nie pozwól, aby ten stwór zepsuł moją prezencję. W końcu może mój trup znajdzie sobie jakąś dziewczynę.
- Jasne. - Ortha uśmiechnął się. Nagle wyczuł ruch i obrócił się gwałtownie w stronę korytarza. Na końcu holu ciągnął się powoli Indaer. Nie wyglądał na wściekłego, nie okazywał agresji. Zachowywał się normalnie.
- Załóż gogle. - białowłosy poprosił Vourrina, a ten zrobił to po chwili. Nagle chłopak sięgnął ręką w stronę kołczanu.
- Czekaj... - Ortha powstrzymał go ruchem dłoni. - Pokażę ci sztuczkę. - Chwytał go za nadgarstek i pociągnął w stronę Indaera. Chłopak opierał się przez chwilę, po czym wyprzedził go zaciekawiony.
- Nie zaatakuj nas? - zapytał.
- Indaery nie atakują bezpodstawnie. Muszą zostać sprowokowane do tego. - mężczyźni znajdowali się na wyciągnięcie ręki od stwora. - Jest to dla nich znak, że człowiek nie chce im pomóc, więc uwięziona dusza niesiona agresją próbuje się zemścić. - Ortha odsunął się trochę, po czym poprosił łucznicę, aby ten stanął naprzeciw Indaera. Vourrin przyglądał się zaciekawiony tej przedziwnej postaci. Wychudzona czarna sylwetka, jakby niematerialna, ale jednak czarne puste oczy patrzyły się na niego z wyrazem bezsilności. Stwór nie ruszał się. Jego żebra unosiły się i opadały, a skrawki materiału falowały powoli. Indaer otulony był czarną mgłą, której języki wędrowały po jego ciele, wyglądając jak czarny ogień. Chłopak poruszył się niespokojnie.
- Nie powinienem być sparaliżowany? Setki razy widziałem, jak osoby, które złapały wzrok Indaera, nie mogły się ruszać.
- Masz na sobie gogle, które przysłaniają ci oczy. - Ortha skrzyżował ręce na piersi. - Indaer wyczuwa w tobie życie, jednak nie może zobaczyć twoich oczu, co potwierdzi fakt, że jesteś żywą istotą.
- Dziwne to wszystko.... - chłopak przechylił głowę. - Takie skomplikowane.
- Nic nie jest czarno-białe. - Ortha rozejrzał się po holu. W korytarzu nie było nikogo oprócz nich. Popatrzył się na stwora. W jego środku, tam, gdzie powinno znajdować się serce, błyskało bladoniebieskie światło. Migotało niespokojnie, rozjaśniając postać Indaera. Vourrin nie mógł jej zobaczyć. Widział tylko owiany czarną mgłą szkielet.
- Po co? - zapytał Vourrin nieufnie. - Jeszcze się wścieknie i poderżnie mi gardło.
- Zrób to, nie pytaj się. - Chłopak zrobił niepewnie krok w stronę Indaera, który stał spokojnie. Kiedy zbliżył dłonie do twarzy potwora, czarna mgła zaczęła chwytać i owijać się wokół jego rąk. Łucznik wykrzywił twarz w grymasie zniesmaczenia, jednak nie cofnął się. Po kilku sekundach zasłonił oczy stwora. Ten wziął głęboki wdech i zaczął rozpadać się na małe płatki, które spadały leniwie na podłogę. Mgła zaczęła znikać, a kupka popiołu rosła powoli. Wyglądało to jak spadanie czarnego śniegu. Ortha uśmiechał się pod nosem i

zobaczył, jak niebieskie światełko rozbłyska oślepiającym blaskiem, a potem znika. Kolejna dusza zaznała spokoju.

- I co, i to wszystko? - białowłosy wyrwał się z otępienia. - Nie rozumiem, kilkanaście tygodni temu krzyczałeś z bólu, kiedy Indaer, którego podpaliłem, zrobił dokładnie to samo.

- Vourrin zdjął gogle i spojrzał na towarzysza.

- To zależy od sposobu, w jaki Indaer zginął. - Ortha ukucnął i pogrzebał w kupce popiołu, po czym wyciągnął śliczną szmaragdową broszkę. - Miejsce mojej duszy wypełnia pierwotna energia, taka sama, w jaką zamienia się Indaer po śmierci. Zrywane jest połączenie ciała z duszą, więc człowiek może trafić przed sąd, a dusza, z którą zawieszono pakt, przemienia się właśnie w tę energię. Taką siłę bardzo trudno jest mi opanować. Kiedy następuje jej przyływ po śmierci Indaera, gwałtownie wzrasta moc, co powoduje u mnie ból. Jeżeli jej się poddam, to stracę nad sobą panowanie i Bóg wie co, mogę zrobić. Dlatego tak cierpię, aby nie stracić nad sobą panowania. Muszę oprzeć się jej i bólowi, jaki u mnie wywołuje. Poza tym związane to jest z moimi tatuażami. Kiedy następuje przyływ energii, tatuaże zaczynają się ruszać i splatać ze sobą, pochłaniając moje ciało. Gdyby tatuaże okryły mnie całego, to straciłbym nad sobą kontrolę, a do tego nie mogę dopuścić.

- Ale co ma z tym wspólnego ogień? - zapytał zniecierpliwiony Vourrin.

- Ogień wywołuje cierpienie. Śmierć następuje w mękach, zerwanie więzi jest gwałtowne, tak jak gwałtowny jest napływ energii, na który nie mam czasu się przygotować. Z trudem ją opanowuję, cierpiąc. Jeżeli zgon Indaera nastąpi poprzez zakrycie oczu, będzie to akt łaski. Stwór wyczekuje tego, więc jest to dla niego błogosławieństwo. Ja nie cierpię, mogę się przygotować na przyływ mocy, monstrum się nie wścieka i nie chce zamordować wszystkiego, co się rusza. Wszyscy są zadowoleni. - uśmiechnął się. - Patrz. - Odwinął rękaw kurtki i pokazał Vourrinowi przedramię. Czarne tatuaże chłopaka splatały się ze sobą i zmieniały kształty, ale robiły to powoli. Wyglądały jak malutkie węże.

- Fuj! Weź to, to obrzydliwe. - powiedział łucznik i odwrócił się. - Już nigdy nie zapytam cię o te twoje czary. - burknął zniechęcony. Po chwili obaj zaczęli się śmiać. Ortha schował broszkę do reszty swoich znalezisk i wrócili do obozu. Mrok ogarnął już niebo, więc robiło się niebezpiecznie. Białowłosy prowadził ich, kiedy łucznik zgubił drogę. Po kilkudziesięciu minutach wrócili do uczelni. Na spotkanie wybiegła im zdenerwowana Irin.

- Czy wyście poszaleli?! - krzyknęła. - Macie po pięć lat, aby, ot tak, uciekać? - poczekała, aż dojdą do niej, po czym wszyscy weszli przez główne drzwi budynku. W dużym holu po jedną ze ścian leżały trzy plecaki.

- To wszystko, co zabieramy. - wskazała ręką na owe bagaże. - Plus wasze torby.

- Nie mamy tego dużo. - odpowiedział Vourrin. - Właściwie to wcale. - dodał.

- Dobra, koniec tych przyjemności. - Irina zatrzymała się i rozciągnęła się. - Idźcie spać. Jutro opuszczamy to miejsce. - ziewnęła.

- A co z Bardasem? - zapytali równocześnie.

- Będę go pilnować na zmianę z Marssem. Wszystko jest pod kontrolą. - powiedziała i po chwili pożegnała się z nimi. Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. Kiedy mężczyźni weszli do swojego pomieszczenia, zobaczyli karabiny maszynowe i kilka paczek amunicji leżących na ich łózkach.

- No, no, sporo tego mieli. - powiedział Ortha i przeniósł się z powrotem do świata żywych.

Zmęczony zdjął maskę i na ślepo zrzucił broń z łóżka, na którym się wyciągnął.

Vourrin przebrał koszulkę i obaj po kilku minutach poszli spać. Godziny mijały spokojnie. Cały budynek pogrążony był w ciemnościach. Nagle Ortha obudził się zlany potem. Coś było nie tak. Wyczuwał to doskonale, tak jak wiszącą w powietrzu śmierć. Zdenerwowany przetarł dłonią twarz, by się otrząsnąć. Próbował wstać, ale nadepnął na papierowe pudełko amunicji, które rozerwało się, a naboje potoczyły się po całym pokoju, hałasując niemiłosiernie. Chłopak zamarł, czekał na jakiś dźwięk, jednak do jego uszu dobiegała tylko cisza. Podszedł do Vourrina i usłyszał, jak ten mamrocze coś przez sen. Poszturczał go w ramię, a ten obudził się zaspany.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał wściekły. - Daj mi spać. - próbował obrócić się plecami do niego, jednak Ortha uderzył go mocno. Łucznik oddał mu po chwili ciosem w brzuch.

- Jesteś nienormalny, czego chcesz? - mruknął.

- Coś jest nie tak. - zaczął białowłosy.

- Oczywiście, że coś jest nie tak. Jesteś cholernym bogiem, widzisz dusze zmarłych, a mnie opętała jakaś dusza. - cmoknął z dezaprobatą. - Co może być nie tak? - powiedział z ironią.

- Przestań gadać i podaj mi maskę. - Ortha macał rękami powietrze, bezradnie próbując zlokalizować jakiś przedmiot. Vourrin przeciągnął się i podał ją przyjacielowi. Podszedł małego do stolika i zapalił świecę. Pokój wypełniło nagle światło. Ortha założył maskę, po czym umarł. W świetle umarłych złe przeczucie stało się jeszcze mocniejsze. Wybiegł z pokoju, a Vourrin ruszył za nim, chwyciwszy po drodze łuk. Białowłosy biegł przed siebie, zeskakiwał ze schodów, a łucznik dreptał za nim, osłaniając dłonią płomień świecy.

- Zaczekaj do cholery! - szeptał co chwilę, jednak Ortha go nie słuchał. Przeskoczył kilka schodków i wpadł na pierwsze piętro. Zrobił kilka kroków i poślizgnął się na wielkiej plamie krwi. Szybko podniósł się na nogi i rozejrzał się po korytarzu. Pod ścianą leżały rozszarpane zwłoki jednej z kobiet. Wpadł do pokoju, ale nie znalazł w nim innych trupów.

Wrócił na hol i po kolei przeszukiwał następne pomieszczenia. W każdym z nich znalazł rozszarpane zwłoki kobiety albo dziecka, albo ich obojgu. Na ścianach pokoi znajdowały się krwawe kwiatki, a duża część podłóg zlana była posoką. Ortha wrócił na korytarz i obrócił się w stronę schodów, po których powoli schodził łucznik. Kiedy ujrzał plamy krwi, zaklą cicho i zwrócił się do Orthy.

- To Bardas? - białowłosy wzruszył ramionami. Nagle z przeciwległego końca korytarza dobiegł przeciągły jęk. Drzwi ostatniego pokoju wyleciały z zawiasów, a na hol zaczęła wylewać się czarna mgła. Z pomieszczenia wyszedł powoli Indaer, świdrując ich czarnymi oczyma. Ortha ugiął kolana i przygotował się do walki, natomiast Vourrin bezmyślnie przekładał kaganek z ręki do ręki, nie wiedząc, co zrobić. Białowłosy dał mu znak, aby się odsunął. Stwór po chwili ruszył z cichym charkotem w stronę Orthy. Kiedy znajdował się kilka metrów od niego, skoczył w stronę chłopaka z wyciągniętymi szponami. Ortha padł na ziemię i przeturlał się pod stworem. Skoczył na nogi i kopnął go z półobrotu w szczękę. Stwór cofnął się i jęknął przeraźliwie. Zaczęli krążyć wokół siebie. Po chwili potwór skoczył do przodu i zamachnął się ramieniem w stronę chłopaka. Ten schylił się i uniknął ciosu, jednak Indaer szybko zmienił tor i próbował przeorać mu pazurami plecy. Chłopak rzucił się w bok, a pazury stwora uderzyły w podłogowe płytki z hukiem. Indaer rzucił się w stronę Orthy, ale ten znajdując się przy ścianie, odbił się od niej i przeleciał nad monstrem. Kiedy lądował na ugiętych nogach Indaer odwrócił się gwałtownie i przeorał pazurami po masce chłopaka, która w towarzystwie potoku iskier pękła, a szpony stwora przejechały po

policzku mężczyzny. Ten próbował uchylić się od pazurów, jednak nadepnął na swoje sznurówki i poleciał do tyłu. Stwór padł na niego i próbował zranić go w twarz, ale ten chwycił jego szpony i zaczęli się siłować. Indaer raz po raz kłapał zębami próbując ugryźć chłopaka, jednak on odsuwał się w odpowiednim momencie. Nagle Ortha stęknął z wysiłku i odrzucił ręce stwora, najdalej jak umiał, a sam wolnymi rękoma chwycił się jego zębów i złamał mu szczękę. Czuł jak jego zęby, cienkie niczym igiełki, przebijają mu palce, z których zaczęła sączyć się krew. Stwór zaczął charczeć, a dolna szczeka opadała mu bezwładnie na pierś. Ortha podkurczył nogi, po czym wyrzucił kopnięciem stwora w powietrze, a sam podniósł się szybko. Stwór bulgotał cicho, podczas gdy czarny płyn spływał mu ze złamanej szczęki. Indaer poczekał chwilę, po czym skoczył ponownie na chłopaka. Ten padł na ziemię i przetoczył się pod jego dolnymi łapami. Skoczył na nogi i od tyłu zasłonił monstrum oczy. Ten w spazmie bólu wbił szpony w przedramiona chłopaka, po czym uspokoił się. Po chwili zaczął rozpadać się na drobne płatki pyłu. Ortha odetchnął, i wygiął się w łuk. Kości kręgosłupa strzyknęły mu głośno. Zdjął maskę i dotknął w miejscu, gdzie pazury Indaera ją przebiły. Zdołał ją teraz trzy długie szpary, a okoliczne łuski były albo nadłamane, albo kompletnie odkształcone. Nagle usłyszał za sobą cichy szmer. Odwrócił się gwałtownie gotowy do skoku, ale zobaczył tylko łuczника, który biegł w jego stronę, a za nim ciągnęła się zaspana Irina.

- Nadchodzę! - krzyknął. Ortha błyskawicznie założył maskę. Czuł, jak z rozdartego policzka sączy mu się powoli krew. Zignorował lekkie uczucie pieczenia i podszedł do towarzysza.

- Gdzie jest Bardas? - zwrócił się do Irin.

- Co tu się stało? Jesteś cały we krwi. - przerwała mu.

- Co z Bardasem? - zapytał ostrzej.

- Śpi. - odpowiedziała mu Irin oburzona tonem jego głosu. Chłopak odsunął się i zamarł przez chwilę. Nagle przepchnął się pomiędzy Iriną i Vourrinem.

- Już nie. - odparł zimno. - Zawołajcie Marsa. - dopowiedział i ruszył w stronę schodów.

Zszedł szybko po stopniach i skierował się do sali, w której leżał Bardas. Kilkanaście metrów przed salą zaczął biec, niesiony coraz większym niepokojem. Reszta próbowała nadążyć za nim, jednak chybotliwe płomienie świec uniemożliwiały im to. Ortha wpadł do sali i rzucił się w stronę łóżka. Bardas rzucał się na nim pod wpływem drgawek. Mężczyzna przywarł do niego i próbował przytrzymać jego ręce. Do sali wbiegł Vourrin i chwycił się nóg rudego. Białowłosey otworzył oko Bardasa. Było bardzo przekrwione, jednak wyglądało jak u normalnego człowieka.

- On się nie zamienia. - wydusił zdenerwowany.

- To przedśmiertelne spazmy. Zakażenie ogarnęło cały organizm. - do salki weszła Irin, osłaniając dłonią płomień świecy. Przerwał jej bolesny okrzyk Bardasa, który wygiął się w łuk. Mężczyźni przycisnęli go z powrotem do łóżka. Vourrin zaczął krzyczeć jego imię, ale ten nie ocknął się. Z kącika ust chłopaka popłynęła strużka krwi. Wciągnął płytko powietrze, po czym zaczął kasłać krwią. Jego drgawki zaczęły słabnąć, jednak z gardła wydobywał mu się charkot, który znaczył, że chłopak się dusi. Co jakiś czas z ust wylewała mu się większa ilość krwi, a twarz robiła mu się sina.

- Musimy go zabić! - krzyknął Ortha, podczas gdy Bardas złapał odrobinę powietrza i wrzasnął przeraźliwie. Po chwili wyrwał ramię z rąk Orthy i próbował go uderzyć, lecz ten

„On”

przytrzymał go mocniej. - Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje! Za chwilę może się przemienić w Indaera! - odpowiedział żałośnie.

- Postradałeś zmysły?! - krzyknęła Irin.

- On musi umrzeć! Jeżeli się przemieni, kolejna walka może się skończyć naszą śmiercią. - To jedyne wyjście! - spojrzał się przerażony na Irinę, a ta z bólem przytaknęła lekko głową. Przecież mówił, że nie uwierzy im! Obiecał to! - krzyknął przez łzy Vourrin. Irin podbiegła do jednej z licznych szafek i zaczęła w niej energicznie szperać. Po chwili wyciągnęła chirurgiczny skalpel. Podeszła do Orthy i wyciągnęła w jego stronę dłoń z narzędziem.

- Składałam przysięgę... - zaczęła, jednak białowłosy wyrwał jej skalpel i wbił go z całej siły w serce Bardasa. Kiedy ostrze przebijało materiał i zaczęło zagłębiać się w skórę chłopaka, ten nagle złapał jego rękę, po czym gwałtownie otworzył oczy. Jego białka były czarne jak węgiel. Ortha próbował z całej siły wbić głębiej narzędzie jednak Indaer był znacznie silniejszy. Wyrwał z uścisku drugą rękę i chwyciwszy go za łokieć, rzucił za łóżko. Irin przerażona cofnęła się kilka kroków, po czym wybiegła na korytarz. Indaer powoli wstał z łóżka. Czarna mgła zaczęła pochłaniać ciało, a skóra Bardasa zaczęła pokrywać się czarnymi plamami. Vourrin wyprostował się i stanął naprzeciw potwora. Monstrum jednym ruchem odrzuciło dzielące ich łóżko, które poleciało w stronę Orthy. Następnie zamachnęło się chudym ramieniem zakończonym ostrymi pazurami, łucznik uchylił się zręcznie, lecz kiedy próbował wyminąć potwora, ten chwycił jego drugą ręką. Podniósł go i rzucając, przebił nim ścianę. Uderzenie było tak silne, że zaparło Vourrinowi dech w piersiach. Leżał w sąsiednim pokoju pod warstwą tynku, pokruszonych cegieł i pyłu. Po kilku chwilach zaczął czuć okropny ból kręgosłupa, który promieniował do okolicznych kości. Chciał podnieść się, jednak kiedy próbował się wyprostować, nagła fala bólu zwała go z nóg. Krzyknął, a z oczu popłynęły mu łzy. Tymczasem potwór zrobił kilka kroków i znalazł się przy nim. Chłopak próbował odczołgać się od Indaera, jednak ten chwycił go za głowę i pociągnął za sobą. Zrobił krok w stronę dużego metalowego stołu operacyjnego. Puścił go, ale po chwili chwycił ponownie za kark. Kiedy podniósł go wysoko, chłopak krzyknął z bólu. Potwór zamachnął się i rzucił chłopaka na metalowy mebel. Nogi stołu skrzypnęły przeraźliwie, a blat odgiął się tak mocno, że dotknął podłogi.

Vourrin pod wpływem obrażeń i bólu stracił przytomność. Z rozciętej skroni ciekła mu posoka, a z kącika ust popłynęła strużka krwi. Leżał pośrodku złamanego stołu nieprzytomny. Nagle Ortha skoczył od tyłu na Indaera. Ten odwrócił się szybko i rzucił go z powrotem do pokoju, z którego wyskoczył. Ortha uderzył w ścianę, zostawiając w niej głębokie wgniecenie. Chmurka tynku oderwała się od ściany i spadła na niego, razem z kawałkami pękniętych kafelek. Potwór podszedł do niego i błyskawicznie chwycił go za kostkę. Białowłosy próbował się wyrwać. Wolną nogą kopnął z całej siły w szczękę stwora. Jego głowa odskoczyła szybko, jednak Indaer zacisnął zęby, a kości karku strzyknęły mu głośno. Nagle naprężył się i z sapnięciem cisnął chłopakiem w okno. Ortha rozbił plecami szybę i poleciał kilkanaście metrów. Jego lot zakończył się twardym lądowaniem w krzakach.

Noc była taka cicha i spokojna. Chłopak odwrócił się na plecy. Przez malutki obszar wyrwy można było dostrzec czarne niebo i małe świecące punkciki zawieszane w przestrzeni. Od kilku dni wyrwa zaczęła się zamykać. Nawet jeżeli pozostałoby tu dłużej, to za dwa, może trzy dni to miejsce pochłonęłaby pustka. Stałoby się na powrót zimne, opustoszałe i martwe. Orthcie bardzo chciało się spać. Był zmęczony przebywaniem w

zaświatach. Nie ze względów fizycznych. Po prostu nic nie chciało mu się robić, a dzisiejsza noc przyniosła zdumiewająco dużo intensywnych zdarzeń. Wokół niego nie było żadnych dusz, które podałyby mu pomocną dłoń. Wciągnął zimne powietrze do płuc i poczekał chwilę. Po kilku minutach podniósł się ociężale, a kawałki szkła wbiły mu się głębiej w ciało. Ktoś ich przecież musi ratować.

Tymczasem Indaer sapał ze złości. Miał skierować się w stronę nieprzytomnego Vourrina, jednak jego uwagę przykuł nagły ruch na korytarzu. Potwór wyszedł przed drzwi i poczuł zapach człowieka. Zaczął węszyć i drapać pazurami po płytkach. Zapach potu był intensywny. Wyczuwał też strach i wiszącą w powietrzu śmierć. Nagle kilka metrów od niego zapaliła się naftowa lampa. Indaer zobaczył tylko jaśniejącą rozmazaną plamę, jednak dobrze wiedział, że ktoś musi ją trzymać. Rzucił się w stronę Marsa, ale kiedy znajdował się na wyciągnięcie ręki, zatrzymał się gwałtownie. Próbował ruszyć na niego, jednak coś przeszkadzało mu. Jego zwierzęcy mózg opanował dziki strach. Rwał niespokojnie głową, wiedząc, że to wspomnienia człowieka, z którym dusza zawarła pakt. Zgon nastąpił tak niedawno, że Indaer nie zdążył wyzbyć się wszelkich wspomnień i uczuć związanych z żywotem Bardasa. Wyprostował się gwałtownie i wyszczerzył ostre zęby. Próbował rzucić się do przodu, rozedrzeć mężczyźnie gardło, jednak nie mógł tego zrobić. Mars patrzył się na Indaera, zastanawiając się, czy tam jeszcze jest jego przyjaciel. Podniósł lampę wyżej, aby obejrzeć paszczę stwora. Czarne oczy pały rządzą mordy jednak nie odważył się uchwycić jego spojrzenia. W nich już nie było osoby tak mu bliskiej. Tego, którego traktował, tak przybranego syna. Zamknął powoli oczy i odetchnął. Czekał na śmierć, jednak potwór nie ruszał się. Mężczyzna westchnął i cofnął się kilka kroków. Potwór zarzucił głową i wrzasnął głośno. Mars przeżegnał się i rzucił w potwora lampą. Monstrum otworzyło szerzej oczy i skoczyło do tyłu, jednak szkiełko lampki pękło, a gorąca nafta chlusnęła na niego, jednocześnie podpalając. Zaczął szarpać się w męczarniach trawiony żywym ogniem. Po chwili, wśród wrzasku i bólu, zamienił się w kupkę popiołu. Mars stał w oddali nieruchomo. Podszedł do szczątków stwora, omijając palące się kałuże nafty. Przykucnął i pogrzebał ręką w popiele. Po chwili wyciągnął z niej nieśmiertelnik ze słabo odbitymi napisami. Zbliżył się do ognia i spojrzał na zawieszkę. ” Oswald Clerenaut, pseudonim Bardas.” Mars zacisnął rękę i poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. To on powinien zginąć, nie ten chłopak. Był już stary, zmarnował swoje życie, a przed Bardasem stało całe. Mężczyzna podniósł się ociężale i poczuł, jak coś w nim pęka. Coś ukrytego głęboko. Odwrócił się, zrobił kilka kroków do przodu, do jego uszu dobiegały głośne krzyki z podwórka. Po chwili padł na kolana, zalewając się łzami. Stracił osobę, dzięki której jego życie wydawało się choć trochę wartościowe. Na zawsze.

Tymczasem Ortha wszedł leniwie do budynku. Plecy krwawiły mu obficie, nadziane kawałkami szkła. Czując, że Indaer jest martwy, poszedł sprawdzić, czy z Vourrinem wszystko w porządku. Wszedł do sali, w której kiedyś leżał Bardas, przeszedł przez wielką dziurę w ścianie i podszedł do złamanego stołu, na którym leżał luczniczka. Chłopak miał oczy otwarte, ale błędził nimi po suficie na wpół przytomny. Kiedy usłyszał kroki Orthy, poruszył się lekko i spojrzał się na swojego przyjaciela. Wyglądał okropnie. Unurzany w zlepkę ziemi i krwi, a beznadziei dodawała jeszcze maska z trzema wielkimi szramami na policzku. Uśmiechnął się głupkowato i wychrypiął.

- Wiesz, przynajmniej będzie więcej konserw dla nas. - powiedział radośnie i zemdłał. Ortha

przechylił głowę zdeorientowany, po czym poszturczał przyjaciela w ramie. Ten nie ruszył się. Chłopak wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz. Na podłodze paliło się kilka plam nafty, lecz resztę pochłaniała ciemność. Na szczęście on bardzo dobrze widział ciemności. Rozejrzał się po holu, po chwili podszedł do klęczącego Marsa. Mężczyzna zasłaniał twarz dłońmi.

- Zostaw mnie. - wyszeptał, zanim Ortha zdążył go dotknąć. Białowłosy nie wiedział, jak się zachować. Ludzie są tak drażliwi w niektórych tematach i nie wiedział, czy nie poruszy jednego z nich, jeżeli zareaguje. Próbował położyć rękę na ramieniu mężczyzny, widział jak kiedyś robili tak w jego starym obozowisku, jednak Mars warknął coś i odtrącił jego dłoń. Ortha zmarszczył brwi, zniesmaczony jego zachowaniem i odszedł od mężczyzny. Ruszył w kierunku odgałęzienia, w którym skryła się Irina. Skręcił w prawo, przeszedł kilka kroków i zobaczył ją siedzącą pod ścianą. Przykucnął koło niej.

- Wszystko w porządku? Już po całej akcji. - zaczął.

- Oczy ci się świecą.

- Co? - nie rozumiał tego, co powiedziała.

- Głupcze, zza szkiełek widać blask twoich oczu. - wzięła oddech. - Zrób coś z tym, inaczej Mars może się zorientować.

- Już mnie to nie obchodzi. - mruknął.

- Co, nagle przestało ci zależeć na twojej tajemnicy? - syknęła.

- To jest wrak człowieka, Irin. On już nie jest taki jak dawniej. To wszystko go zmieniło, nie stanowi żadnego zagrożenia.

- Ciekawą miarą oceniasz ludzi, na podstawie zagrożenia, jakie dla ciebie stwarzają.

- Tylko ona jest wartościowa. - wstał i podał jej rękę. - Tobie też przydałaby się taka miara, skoro ciągle uciekasz. - Irin uderzyła go w ramię.

- Stul pysk! Wracaj lepiej na ziemię, bo już mam ciebie dość.

- Stracę przytomność... - zaczął.

- O to mi właśnie chodzi. - powiedziała szybko.

- Eh... Zajmij się Marsiem. - powiedział i wrócił na ziemię. Momentalnie jego ciało ogarnęła fala bólu. Rany na plecach piekły go okropnie, a w głowie mu się kręciło. Po chwili zwałił się na ziemię nieprzytomny.

Obudził się dopiero rano, kiedy ktoś zaczął nerwowo potrząsać nim.

- Wstawaj, księżniczko. - głos Vourrina był głośny i drażniący. Ortha podniósł się z łóżka i przetarł dłońmi oczy. „Co ja to robię? I tak jestem ślepy, to nic mi nie pomoże” pomyślał.

Vourrin podał mu rękawicę, a białowłosy zapiął ją szybko. Po chwili przed oczami zaczęły rysować mu się bladoniebieskie obrysy otoczenia. Znajdował się w jednej z wielu sal, do której ktoś go pewnie zaciągnął. Przebrał koszulkę i wyszedł na korytarz, a łucznik podreptał za nim. Po chwili chłopak wyminął go i zaczął prowadzić. Zeszli razem na parter, a tam czekała na nich już reszta. Ortha zauważył kilka dodatkowych toreb.

- Zostawimy odrobinę zapasów w pobliżu, w razie gdyby ktoś z nas wrócił tutaj. - wyjaśniła Irin.

- Wątpię w to. - prychnął Vourrin. Irina spojrzała się na niego krytycznie i zarzuciła sobie na ramię jedną z toreb.

- Już czas. - powiedziała po chwili milczenia.

- Czekałem na ten moment od chwili, kiedy się tu pojawiłem. - Vourrin poprawił łuk,

kołczan i dziarsko pomaszerował w stronę wyjścia. Ortha wziął kilka toreb i podążył za nim. Przelotnie spojrzął na Marsa. Mężczyzna był cieniem dawnego siebie. Miał worki pod oczami, a w bokach twarzy rysowały się kości policzkowe. No i oczy-mętne, bez wyrazu. Zupełnie jak martwe. Chłopak odwrócił wzrok i skierował się do wielkich drzwi uczelni. Za nimi czekało na niego kolejne zadanie do wypełnienia. To, które rozsądzi losy tego świata.

*

Podróżowali już od kilku tygodni. Irina kierowała ich w coraz głębszą część pustki. Obszar ten był zimny i martwy, jednak Vourrin i Ortha czuli się tam jak w domu. Po kilkugodzinnym marszu postanowili rozbić obóz i zarządzić przerwę, jaką wyznaczałaby noc. Tylko że w tym miejscu noc była przez całą dobę. Skierowali się w stronę jednego z dawnych bloków mieszkalnych. Ortha zaproponował to miejsce, ponieważ tam prowadziły go dusze. Kiedy zbliżali się do miejsca, chłopak usłyszał chrzęst kamieni. Zatrzymał się gwałtownie, a reszta zrobiła to samo. Tylko Mars szedł dalej zamyślony. W końcu Irin zatrzymała go siłą. Mężczyzna spojrzął na nią, ale nic nie powiedział. Tak jak zwykle to robił, od czasu kiedy opuścili uczelnię. Próbowali z nim rozmawiać, zatrzeć w jego pamięci tragedię, jaka wydarzyła się w tamtym miejscu. Lecz wszystko na marne. Jadł i pił z nimi, jednak ich kontakty ograniczały się do prostych poleceń i półsłówek. Przez cały ten okres nie spotkali żadnego zagrożenia, więc intensywniejsza konwersacja nie była potrzebna. W końcu zostawili go w spokoju. Teraz jednak nawet on wyraźnie się ożywił. Podeszedł w kierunku stosu głazów, z których dobiegał szmer. Nagle z wnętrza kamieni wysunęła się okropnie chuda rączka. Mężczyzna skoczył przestraszony do tyłu, a o głaz oparła się druga, wyraźnie poraniona. Wszyscy czekali w napięciu, nie wiedząc co zrobić. W końcu po kilku minutach spod kupy kamieni wyczołgał się mały chłopczyk. A raczej to, co z niego zostało. Dziecko było w opłakanym stanie. Brudna skóra opinała się na wystających kościach, tworząc upiorną dekorację. Twarz miał poraną bruzdami, patrzył się na nich zaropiałym okiem, podczas gdy w miejscu drugiego ział pusty oczodół. Chłopczyk podciągał się do nich przy pomocy rąk, szurając zakrwawionym brzuchem po ziemi. Pomagał sobie ostalą nogą, która wygięta pod dziwnym kątem przypominała swoim wyglądem patyk. Zamiast drugiej kończyny miał tylko obgryziony kikut. Taki widok przyprawiał o dreszcze. Wszyscy cofnęli się obrzydzeni, nie wiedząc, co mają zrobić. W pewnym momencie dziecko wyciągnęło w ich kierunku wychudzoną rączkę, po czym zaczęło ruszać niemo ustami. Ortha słyszał wątły głos, jaki wydobywał się z jego gardła, jednak nie potrafił rozróżnić słów. Cała grupa stała nieruchomo i patrzyła się oniemiała na ten obraz nieszczęścia. Był to chłopczyk, którego zabrała grupa mężczyzn z uczelni. Kiedy walczyli w szpitalu, Ortha nie widział go nigdzie, jednak nie miał czasu, aby o nim wtedy myśleć. A teraz on czołgał się w ich stronę, przypominając swoim wyglądem personifikację śmierci. Nagle Mars zaczął grzebać w torbie i po chwili wyciągnął z niej manierkę wody i kilka sucharów. Domyślając się, co chce zrobić, Vourrin podeszedł szybko do dziecka, naciągnął cięciwę łuku i jednym strzałem przebił chłopcu czaszkę. Mars zatrzymał się w pół kroku, a jego twarz przybrała dziwny wyraz. Po kilku minutach wrzucił powoli prowiant z powrotem do plecaka i zaciśnął zęby.

- Musimy się rozłożyć. Obejmę pierwszą wartę. - powiedział szybko Vourrin wyjmując strzałę z czaszki chłopca. Kiedy pociągnął bełt, ten wyrwał się z cichym chrupnięciem. Po chwili oddalił się od nich szybkim krokiem. Kiedy przechodził koło Marsa, ten potracił go

ramieniem z całej siły. Chłopak zachwiał się, jednak odzyskał równowagę i przyspieszył kroku. Mars również odszedł, ale w przeciwnym kierunku. Wrócił dopiero po kilku godzinach. Zjadł trochę suszonego mięsa przy małym prowizorycznym ognisku i poszedł spać tak jak reszta. Po kilku godzinach Ortha usłyszał przez sen cichy szmer. Otworzył oczy i skupił się na dźwiękach, jednak nic więcej nie usłyszał. Do jego uszu dobiegały tylko dzięki powolnych oddechów jego towarzyszy. Zignorował więc swoje przeczucie, wmawiając sobie, że to tylko jego wyobraźnia płata mu figle. Po chwili zapadł w niespokojny sen. Rano okazało się, że Mars opuścił ich, zostawiając tylko pożegnalny list napisany nierównym niespokojnym pismem. Przeszukali okolicę, jednak poddali się po kilkunastu minutach. Gdyby Mars chciał, aby go znaleźli, zrobiliby to już dawno temu. Atmosfera była napięta. Nikt ze sobą nie rozmawiał, wszyscy szli oddaleni od siebie pogrążeni we własnych myślach.

- Irin, jesteś pewna, że idziemy w dobrym kierunku? - Ortha przerwał niezręczną ciszę.

- Tak, to jest ta sama droga, którą od nich uciekałam. - mruknęła. - To już niedaleko, poza tym, jeżeli wieczne dzieci będą chciały nas znaleźć, to nas znajdą. Prędzej czy później.

Nikt jej nie odpowiedział. Po kilku godzinach szybkiego marszu weszli na duży pagórek pokryty spróchniałymi drzewami. Widocznie były to pozostałości jakiegoś parku

znajdującego się w centrum miasta. W takich miejscach bardzo często kryły się Indaery, jednak tym razem Ortha, który teraz bez przeszkód mógł zakładać maskę, nie zauważył

żadnego. Zagłębili się pomiędzy drzewa z nadzieją, że może znajdą jakąś wiewiórkę albo

zającą, który będzie nadawał się do zjedzenia. Nagle wyszli na małą polankę, która

znajdowała się na skraju wzgórza. Kończyła się ona osłoniętą barierkami skarpą, która była

doskonałym punktem obserwacyjnym. W oddali, wiele kilometrów od tego miejsca dało się

dostrzec ogromną wyrwę, przez którą lśniły gwiazdy. Przypominały swoim wyglądem małe

kryształki, które migotały lekko.

- Co to jest? - zapytała z przejęciem Irina, wskazując palcem na niebo.

- Gwiazdy. - odpowiedział jej Ortha.

- Nie to. - cmoknęła zniesmaczona. - Ten szary łuk.

- To... - Ortha spojrzał się na nią z litością. - To jest księżyc.

- Głupia nazwa. - Vourrin prychnął i poprawił kołczan wiszący mu na ramieniu.

- Co to księżyc? - spytała Irina z ciekawością w oczach.

- Satelita ziemski. - zobaczył, że pozostała dwójka patrzy się na niego, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. - Taka mała planeta towarzysząca ziemi. - dopowiedział. Irina spojrzała się z

powrotem na gwiazdy, a Vourrin oparł się o barierkę rozmarzony.

- Nie wiedzieliście? - spytał Ortha cicho.

- Jak mieliśmy się dowiedzieć? - Irin odwróciła głowę w jego stronę. - Po raz drugi w życiu

widzę gwiazdy, a co dopiero inną planetę. Wątpię, aby ktokolwiek z obecnie żyjących ludzi

mógł zobaczyć te małe błyszczące punkciki, a co dopiero księżyc. - dopowiedziała cicho.

- To smutne... - Ortha potarł zmarznięte ramiona.

- Nawet nie wiesz jak. Najgorsza jest chyba świadomość, że żyjemy w świecie, który jest

tylko ruiną. Świadomość tego, że tyle cudów niedane nam było zobaczyć. Tylko dlatego, że

urodziliśmy się nie w tym miejscu i nie w tym czasie. - zwróciła głowę w stronę Vourrina. -

Ej, młody, wiesz, co to jest lew? - chłopak odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął się

złośliwie.

- Irin rozumiem, że kontemplujecie teraz nad sensem istnienia ludzkości, ale nie wymyślaj sobie słówek tylko po to, abym wyszedł na głupka. - zmarszczył brwi. - Odpowiem ci na pytanie. Nie, nie wiem, co to znaczy, ponieważ takie słowo nie istnieje. - Ortha rozchylił usta ze zdumienia, a lekarka spojrzała się na niego z kwaśnym uśmiechem. Po chwili otarła wierzchem dłoni łzę, która zawisła na jej rzęsach.

- Widzisz? Tak skończy ludzkość. - wyszeptła. Po kilku minutach zebrali się i zeszli ze wzgórza. Skierowali się wzdłuż głównej ulicy, która prowadziła do okazałego budynku ratusza miejskiego. Nagle Ortha dostrzegł postać stojącą nieopodal na dachu porzuconego samochodu. Mężczyzna ubrany był z długą ciemną szatą zakrywającą jego sylwetkę. Twarz przykrytą miał drewnianą maską z krzywymi oczami wyrysowanymi węglem. Zbliżył się do nich, a kiedy spostrzegł Orthę, uklęknął przed nim.

- Nasz mistrz oczekuje ciebie, panie. - powiedział niskim tonem i zaczął iść w kierunku, z którego przyszedł. Grupa podążyła za nim.

Po kilku minutach zaprowadził ich do gmachu ratusza. Jednak zamiast wejść przez główne, okazałe wejście, skierował się w stronę potężnego muru okalającego budynek. Przeszli kilkaset metrów wzdłuż ogrodzenia i stanęli przed mosiężną bramą. Mężczyzna w masce zaparł się i pchnął ciężką furtę. Ta odchyliła się z żalosnym jękiem, a po chwili koło niej znalazło się kilku innych wyznawców ubranych tak samo jak ich przewodnik. Pomogli otworzyć mu w pełni bramę, a kiedy wszyscy weszli za mur, zamknęli ją po cichu i związali grubymi łańcuchami.

- Względy bezpieczeństwa. - wyjaśnił mężczyzna w masce.

Wszyscy podążyli w kierunku bocznego wejścia. Blask księżyca wiszącego nad ich głowami oświetlał lekko kremowe ściany ratusza. Powyżej dało się zobaczyć marmurowe gargulce łypiące oczami na otoczenie. Stworki siedziały zgarbione na misternie rzeźbionych monumentach, nadszarpniętych zębem czasu. Weszli przez misternie zdobione drzwi i znaleźli się w pięknym, oświetlonym przez setki świec korytarzu. Na marmurowych podłogach leżały dywany, tłumiące odgłosy kroków. Wszyscy byli zdumieni jednak Ortha czuł się nieswojo w tym otoczeniu. Kiedy przechodzili do głównego holu, każdy napotkany wyznawca klękał przed nim i schylał głowę. Wszyscy ubrani tak samo, z takim samym wyrazem twarzy. Gotowi poświęcić swoje życie w imię fanatycznej religii. Kiedy znaleźli się na środku holu, otoczyli ich wyznawcy. Każdy z nich miał na policzkach wymalowane gliną oczy. Wyglądali jak jeden organizm, zbici i ściśnięci, a wrażenie to potęgował cień, w jakim się skrywali. Tylko oczy odbijały blask księżyca, który wpadał przez oszklony dach. Nagle wszyscy padli na kolana, Irina obracała głowę zaniepokojona. Po chwili z jednego z bocznych korytarzy wyszedł wysoki mężczyzna ubrany o wiele bardziej zdobnie niż reszta. Długie workowate rękawy wyszywane były karmazynową nicią, na szyi zawieszoną miał stułę, a twarz wytatuowaną. Pomimo warstwy tuszu dało się zobaczyć zmarszczki rysujące się w kącikach przebiegłych wąskich oczu. Podeszedł do nich i rozłożył ręce, a Irina padła na kolana.

- Witamy cię w naszym domu zbawco. - klęknął przed Orthą teatralnie. - Tak długo cię wyczekiwaliśmy. - dopowiedział.

Po sali rozeszły się ciche przytakiwania. Mężczyzna wstał chwiejnie, a jeden z wyznawców podał mu misternie rzeźbioną laskę. Trzon podpory wykonany był z mahoniowego drewna na kształt węża. Mistrz postukał nią kilkukrotnie, a wszyscy zebrani podnieśli się z kolan.

- Musicie mi wybaczyć, moja młodość już dawno przeminęła. - Obrócił się w stronę lekarki i uśmiechnął się gorzko. - Moje dziecko, po tylu latach wróciłaś do domu... - położył jej rękę na głowie. - Czyżbyś w końcu przejrzała na oczy? - kobieta wstała, ale głowę nadal trzymała pochyloną. - Niezwykle trudno było nam się pogodzić z twoim odejściem. Nikt nie lubi, kiedy młoda ptaszyna opuszcza przedwcześnie gniazdo. Twoja ucieczka była bardzo dobrze zaplanowana, wykazałaś się niezwykle inteligencją. Szukaliśmy cię bardzo długo, ale jak widać w końcu, sama do nas przysłaś. - jego głos przesiąknięty był jadem.

- Moja rodzina... Co z nią? - spytała cicho.

- Dobrze wiesz, jakie panują tutaj zasady. Złamałaś je, a oni ci w tym pomogli. - uśmiechnął się chytrze. - Spotkała ich zasłużona kara. - po policzku kobiety spłynęła łza, a starzec otarł ją wierzchem dłoni. Jego twarz przybrała litościwy wyraz. - Sądzę, że ta przygoda nauczyła cię czegoś i dała do zrozumienia, jakie prawa tu panują. - kobieta kiwnęła potakująco głową. - Mam nadzieję, że nigdy już nie popełnisz tak karygodnego czynu.

- Nie popełnię. - mruknęła.

- Dobrze... - jego lico rozpromieniło się. Wolną rękę uniósł do góry i zrobił nią kilka szybkich ruchów. - Nie będziesz miała nawet okazji.

Nagle jeden z mężczyzn wysunął się w stronę lekarki i zaszedł ją od tyłu. Kiedy był tuż za jej plecami, przytrzymał ją jedną ręką, a drugą dzierżącą nóż rozpruł jej brzuch. Kobieta krzyknęła i padła na podłogę. Vourrin ruszył się gwałtownie, jednak kilku mężczyzn przygwoździło go do podłogi. Tylko Ortha stał nieruchomo, patrząc się bezlitośnie na lekarke. Irin leżała na boku, a z rozciętego brzucha wylewały jej się trzewia. Kałuża krwi rosła z sekundy na sekundę, a lekarka rozpaczliwie wśród łez próbowała przytrzymać wnętrzności.

- Była zbrodnia, musi być i kara. - mistrz pochylił się, aby konająca kobieta go usłyszała. - Dobrze znasz nasze credo. Czystą głupotą było przychodzenie tu po twojej brawurowej ucieczce. - przechylił głowę. - Jednak muszę ci podziękować, bez ciebie poszukiwanie mesjasza zajęłoby nam o wiele więcej czasu. Jestem niezmiernie wdzięczny za twoją pomoc. - kobieta zaczęła lekko drżeć. Próbowwała coś powiedzieć, jednak z jej ust wydobył się tylko jęk. Ostatkiem sił spojrzała na Orthę. Jej oczy wypełniało cierpienie, ale też ulga. Po tylu latach mogła dołączyć do rodziny. Do tych, za którymi tak bardzo tęskniła. Po chwili zamknęła oczy i znieruchomiała, a dwójka wyznawców przysłoniła jej ciało czarnym sukniem i zabrała je. Po kobiecie została tylko kałuża ciemnoczerwonej krwi.

- To okrutne. - mruknął Ortha. Starzec odwrócił się w jego stronę.

- Znała prawa, jakimi się kierujemy. Gdyby nie chciała umrzeć, przysłałaby was tu samych i uciekła. Wiedziała, że poniesie karę. - odwrócił głowę w stronę Vourrina, który uderzał bezsilnie głową w posadzkę. Z oczu kapąły mu łzy, twarz miał czerwoną, a zęby zaciśnięte do granic możliwości. - Nie warto ronić łez, chłopcze. Śmierć była dla niej wybawieniem. - dał znak dłonią, a wyznawcy puścili łucznika i podnieśli go z ziemi. - Jak mniemam, musicie być zmęczeni. Każę zaprowadzić was do komnat, a sam osobiście dopilnuję, aby ciało Irin zostało pochowane z należyтым szacunkiem.

Wyznawcy wyprowadzili Vourrina, a Ortha rzucił przelotnie wzrokiem na plamę krwi i podążył za nimi. Po przebyciu wielkich spiralnie kręconych schodów i przejściu labiryntu korytarzy w końcu trafił przed drzwi swojego pokoju. Przekreślił powoli gałkę i wsunął się bezszelestnie do pomieszczenia. Komnata była bardzo przestronna i urządzona z

niezwykłym przepychem. Pod ścianą stało duże łóżko z satynowymi poduszkami, a obok niego mały stolik, na którym paliła się lampka, która dawało bardzo mało światła w porównaniu z dziesiątkami świec, oświetlających pokój. Poza tym w pokoju znajdowało się jeszcze kilka szaf, duża sofa obita czerwonym sukniem, bogato zdobione lustro i długi stół, na którym stał dzbanek wypełniony wodą i taca z jedzeniem. Nie wiedział, skąd sekta ma te wszystkie meble, tak samo, jak nie miał pojęcia, skąd biorą prąd. Widocznie ta mała społeczność nie była tak prymitywna, jak się zdawało z początku. Ortha wyjrzał przez łukowate okno. Na dworze nadal panowała noc, jednak pierwsze promienie słońca zaczęły rozjaśniać niebo wyrwy. Ortha zdjął maskę i wrócił na ziemię. Ostatnie zdarzenia bardzo zmęczyły jego i Vourrina. Łucznik przywiązywał się do tej trójki, którą poznali w gmachu uniwersytetu. Lecz teraz Bardas i Irina byli martwi, a on znajdował się na skraju załamania psychicznego. Ortha próbował sobie to wszystko logicznie poukładać. Przekonać się, że wszystko się ułoży, ale nie potrafił. Opanowało go przecucie, które mówiło, że kolejne dni przyniosą jeszcze więcej cierpienia. Przebrał się w dopasowaną koszulkę i czarne, luźne spodnie, które znalazł na kanapie i poszedł spać.

Obudziło go ciche pukanie do drzwi. Westchnął i zakopał się jeszcze bardziej w warstwę koców i poduszek. Pukanie ponowiło się, lecz też było bardziej stanowcze. Ortha zsunął się z łóżka i podszedł na oślep do drzwi. Po drodze uderzył kolaniem w mały stolik przy sofie. Zaklął cicho, a natrętne pukanie nie ustawało.

- Wejść. - warknął, rozmasowując rzepekę.

Po chwili usłyszał, jak do pokoju wchodzi kilka osób. Poruszały się niezwykle cicho, szybko. Doskonale wiedziały, co mają robić. W pewnym momencie czyjeś ręce chwyciły go za koszulkę i pociągnęły ją do góry. Chłopak wyrwał materiał z rąk służki i odskoczył jak poparzony.

- Sam się ubiorę, zostawcie odzienie na łóżku. - odpowiedział mu tylko cichy pomruk niezadowolenia. Nie wiedział, czy to z powodu, że kobiety nie mogły wykonać swojej pracy czy może liczyły na coś innego. Ortha zamknął oczy i umarł. Kiedy otworzył je ponownie, ujrzał świat w całej swej okazałości. Na stole spojrzał metalową tacę i kilka talerzyków wypełnionych jedzeniem. Podszedł do nich i powąchał potrawy, jednak od razu przed jego oczami pojawił się widok wychudzonego chłopca sprzed kilku tygodni. Momentalnie stracił ochotę na śniadanie. Podszedł do łóżka i wziął do ręki przyniesione ubranie. Wolałby swoje dawne rzeczy, jednak one były brudne i miejscami porwane. Odzienie było starannie złożone i pachniało czystością. Zdjął piżamę i założył bordowy podkoszulek i wojskowe spodnie. Na grzbiet narzucił szeroki płaszcz z dużym kapturem. Usiadł na skraju łóżka i założył swoje stare, wysokie buty. Poczul się niezwykle świeżo i aż zapragnął zobaczyć, jak wygląda. Podszedł do wysokiego lustra i stanął naprzeciw niego. Całe ubranie było czarne. Nie wiedział, czy to jakaś tutejsza moda, ale był pewny, że ten kolor będzie przyciągał słońce. Spojrzał na swoją szyję i zdziwił się. Na tchawicy rysowały się tatuaże. Nie wiedział, że aż tak się rozszerzyły. Za każdym razem, kiedy jego znamiona się ruszały, co było jednoznaczne z napływem pierwotnej energii i możliwością utraty panowania nad sobą, pokrywały trochę więcej miejsca niż poprzednio. Pojawiały się nowe albo tworzyły się inne odnogi. Jeżeli splecą się ze sobą na tyle gęsto, że pokryją czernią całe jego ciało, to straci nad sobą panowanie, lecz jeżeli dotrą do oczu, zostanie stracony. Miał coraz mniej czasu. Każda ingerencja w pierwotną energię wymagała od niego ogromnego pokładu siły,

aby nie oszaleć. Tatuże, które ją symbolizowały, dawały mu moc, jednak była ona dzika, nieokiełznana. Nawet jemu trudno było sprawować nad nią kontrolę. Im więcej run na ciele miał Ortha, tym większa była jego moc, jednak równocześnie stawał się słabszy i przy kolejnych razach coraz trudniej było mu okiełznać tę siłę. W końcu mu się nie uda i zamieni się w coś na kształt potężnego Indaera. Sam nie wiedział czym, dokładnie mógłby się stać, ale wiedział, że byłoby to bardzo potężne stworzenie, które z racji tego, że nie wypełnił swojej misji, będzie nękać obecny świat aż do końca. Potarł dłonią kark, a długa, szeroka na kilka centymetrów, czarna linia, która biegła od brody do podbrzusza, zafalowała lekko, a z jej krawędzi wysunęły się małe, cienkie linie, które powędrowały w stronę kącików ust Orthy. Chłopak skrzywił się i założył maskę. Wyszedł z pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Skręcił w najbliższy korytarz i wpadł na wyznawcę, który pokłonił się mu szybko.

- Mistrz, kazał przyprowadzić was do siebie. - mężczyzna wydusił przez zaciśnięte gardło.

- Gdzie jest Vourrin? - przerwał mu Ortha.

- Wasz przyjaciel nie był w pełni zdrowy, więc kazano go zabrać do medyka, aby ten go obejrzał. - powiedział.

- Jak to nie był w pełni zdrowy? - Ortha był dezorientowany. - Co mu dolega? - mężczyzna nie odpowiedział, ruszył tylko szybkim krokiem w stronę schodów. Białowłosy pobiegł za nim. Kiedy znaleźli się pod dębowymi, dwuskrzydłowymi drzwiami, wyznawca uklonił się przed nim z namaszczeniem i odszedł pośpiesznym krokiem. Ortha podążył wzrokiem za nim, jednak mężczyzna po chwili skręcił w jeden z setek korytarzy i chłopak stracił go z oczu. Pchnął jedno skrzydło drzwi i wkroczył do środka.

- I tak powinien wyglądać nasz zbawiciel. - przywitał go żywy głos staruszka. - Kazałem uszyć ten strój specjalnie dla ciebie. Jest jedyny w swoim rodzaju... - spojrzał się na pobrudzone buty Orthy. - Może poza tym szczegółem... - dodał.

- Dlaczego wszystko jest czarne? Wasze ubrania...

- Czarny jest kolorem żałoby, a ta trwa w naszym społeczeństwie od lat. W spokoju wyczekujemy zagłady i śmierci, jaką przyniesiesz. - Ortha zmarszczył brwi i spojrzał na rozmówcę. Staruszek był ubrany w taki sam czarny habit jak poprzednio. Jedną ręką podtrzymywał się bogato zdobionej laski, a w drugiej trzymał kieliszek czerwonego wina. Światło wpadające przez szyby na dachu nagrzewały ubranie jego i Orthy. - Oczywiście i dobrym znaczeniu tych słów. Czekamy na ten moment z utęsknieniem, ponieważ, żal ogarnia nasze serca, kiedy zmuszeni jesteśmy patrzeć na resztki, jakie pozostały z naszego świata. Chodź, pokaże ci coś, na co pewnie czekasz. - dodał po chwili milczenia.

Mężczyzna podszedł do ściennej biblioteczki, którą wypełniały stare i poniszczone grzbiety książek. Ostatnie relikty dawnego świata. Starzec odłożył na biurko kieliszek z alkoholem i przesunął niewidoczną dźwignię. Białowłosy usłyszał metaliczny dźwięk koła zębatego i przekładni. Jednak z półek odsunęła się w lewą stronę, a starzec podniósł przedmiot, który znajdował się we wnęce i położył go na blacie biurka. Odpiął zatrzaski i uniósł szklaną kopułkę. Orthy na widok tego przedmiotu przyspieszyło tętno. Ruszył żwawym krokiem w stronę sztyletu, ale kiedy wysuwał dłoń, aby go chwycić, starzec gwałtownie opuścił szkło, odgradzając sztylet od Orthy. Chłopak podniósł na niego wzrok.

- Jeszcze nie czas. - powiedział starzec w odpowiedzi na pełne oburzenia spojrzenie mesjasza. - Od dnia, kiedy cię ujrzałem, nęka mnie pewna sprawa... - przesunął dłonią po szklanej gablotce. Ortha skrzyżował ręce na piersi. - Czy ty jesteś prawdziwy? - pytanie

brzmiało niedorzecznie. Mistrz, spostrzegłszy zmieszanie na twarzy Orthy, wyjaśnił pośpiesznie. - Wiesz, od jakiegoś czasu wśród naszej młodzieży panuje niepokojąca moda. Wybielają sobie chemikaliami włosy, tak aby uzyskać czystą biel, jaką odznaczają się twoje. Nadmiernie tatuują swoje ciała. Robią sobie znaki, które nie są wymagane i nie mają większego znaczenia. Niektórzy są zdolni nawet pozbawić się wzroku, a to wszystko dla twojej chwały.

- Skąd niby wiedzą, jak mają wyglądać, aby się do mnie upodobnić? - przerwał mu Ortha.

- Twoją osobę opisano już kilkaset lat temu. Nie są nam obce twoje cechy szczególne. W przeciwnym razie znalezienie mesjasza, który wygląda jak normalny mężczyzna, graniczyłoby z cudem. Nie uważasz tak?

- Jest w tym trochę racji. - przytaknął.

- Młodzież upodabnia się do ciebie, a ci, którzy wykażą się nadzwyczajną sprawnością fizyczną i odwagą, są w stanie wiernie cię odwzorować, ale jest jeden szczegół, którego nie są w stanie podrobić... - zamilkł na chwilę i pociągnął łyk wina. - Twoje oczy. - Ortha odsunął ciężkie krzesło o lwich nogach i usiadł na nim, zakładając nogę na nogę. - Nie te ślepe, pokryte bielmem. Te straszne, w których tęczówki mienia się czerwonym blaskiem, białka są pokryte czarnymi żyłami, a źrenice dzikie, jak u gada. Ich nie są w stanie zdublować, nawet parząc sobie oczy kwasem i wstrzykując atrament. Nasuwa się więc pytanie... Czy jesteś tym, o którym mówią legendy? Tym, który ma zbawić nas, niszcząc nasze doczesne żywota? - zapytał.

Ortha przechylił głowę, nie czując powagi, jaką zawierały w sobie słowa starca. Podniósł rękę do twarzy, popatrzył na nie, następnie przeniósł wzrok na nogi, którymi zamachał w powietrzu.

- Hmm... Trudne pytanie, jednak wydaje mi się, że jestem sobą. - odrzekł drwiąco.

- Głupcze. - wysyczał starzec tak cicho, że te słowa mógł usłyszeć tylko on. - To, że ty o tym wiesz, bardzo mnie cieszy, jednak ja jako głowa tej społeczności muszę myśleć racjonalnie. Prawda, jesteśmy zaślepieni religią, ale skąd mam wiedzieć, że twe słowa to tylko bełkot szaleńca, skoro nie zobaczyłem niczego, co świadczyłoby o twojej mocy? Skąd mam wiedzieć, że nie oszukujesz mnie twoim zamiarem nie jest wykorzystanie naszej wiary, a nawet szpiegowanie naszej grupy?

- Mogę pokazać ci moje oczy. - Ton głosu Orthy stał się poważny, zaczął zdejmować powoli maskę, odsłaniając dolną część twarzy. Na ustach zagościł mu szyderyczy uśmiešek. Mistrz zakrył szybko oczy szerokim rękawem. Ortha zaczął rechotać.

- Boisz się mnie! - śmiał się rozbawiony całą sytuacją.

- Niestety, nie mam pewności do niczego, co jest z tobą związane. Równie dobrze możesz okazać się oszustem, jak naszym prawdziwym zbawcą, przed którym muszę bić pokłony. - wymamrotał starzec. - Doskonale, wiem co stanie się ze mną, jeżeli spojrzę w twoje oczy, kiedy ty będziesz w świecie umarłych. Dlatego mam propozycję. - powiedział głośnie, chcąc sprawić wrażenie panującego nad sytuacją.

- Słucham. - Ortha z powrotem zakrył twarz maską.

- Posiadamy Indaera, który znajduje się w czasie hibernacji. Był to jeden z moich podopiecznych, jednak zmarł trawiony gorączką. Chcę, abyś pozbawił go życia w sposób, jaki opisują księgi. Wtedy okaże się, czy jesteś łgarzem, czy osobą, przed którą powinienem bić pokłony.

„On”

- Po co wam Indaer? Nawet w stanie hibernacji są niebezpieczne. - Ortha wydawał się tą kwestią naprawdę zainteresowany.
- W celach obronnych. Jeżeli nasza defensywa zawiedzie, wypuścimy go, aby pozbył się niechcianych gości, bez znaczenia, ilu z naszych wyznawców straci życie. Nie pozwolę nikomu odkryć prawdy o księgach, w których jesteś przepowiedziany, a tym bardziej o sztylcie. - przerwał gwałtownie. - Odpowiedz na pytanie.
- Jaki to ma być sposób?
- Nie dana mi została szansa, bym poznał tę wiedzę. Ponoć tylko ty znasz ten sposób, nawet księgi nie opisują go w dokładnie. Pojawia się wzmianka o nim i koniec. - odłożył pusty kieliszek i oparł się o krzesło. - Jeżeli z twoich ust płynie kłamstwo, zostaniesz zabity, jeżeli prawda. - westchnął. - Będę twoim najwierniejszym sługą.
- A, jeżeli ta metoda rozwścieczy Indaera? - Ortha chciał sprawdzić, czy starzec wie, o czym mówi.
- Ona nie ma ingerować w przestrzeń cielesną przemienionego. Ma być bezbolesna i szybka. Jak już mówiłem, nie posiadam za dużej wiedzy na ten temat, jednak jeżeli jesteś tym, na którego tyle czekaliśmy, nikomu krzywda się nie stanie. Co ty na to?
- Powiedz, kiedy i gdzie. - warknął Ortha zniecierpliwiony gadaniną starca. Rozumiał jego niepokój, jednak nie podobał mu się sposób, w jaki mu to przekazał. Mąci, zwoździ i sprawa wrażenie wszechwładnego wodza, który nie boi się niczego i nikogo.
- Każę przygotować monstrum, przyślę po ciebie za kilka godzin. - schował szybko sztylet do wnęki i przekręcił kolejną dźwignię, która wróciła szafkę na pierwotne miejsce. - Do zobaczenia. - syknął, a Ortha opuścił jego gabinet. Wychodząc z pomieszczenia, wpadł na jednego z wyznawców. Ten widocznie czekał już na niego, ponieważ dygnął sztywno i zaprowadził go w kierunku komnat.
- Wasz mistrz... od kiedy sprawuję tutaj władzę? - Ortha chciał przerwać niezręczną ciszę, ale także dowiedzieć się czegoś o starym człowieku.
- Nie wolno mi z wami rozmawiać panie. - chłopak spojrzał się z błogością w oczach na niego.
- Ale właśnie to robisz. - białowłosy powiedział zirytowany. Wyznawca uśmiechnął się pod nosem. Był młodszy od Orthy, jednak nie dużo. Był chudy, ale bardzo wysoki. Czarny habit z okiem wyszywanym czerwoną nicią, umiejscowionym na łopatkach sięgał mu do kostek i odsłaniał sportowe buty.
- Nikt nie zna jego przeszłości, od zawsze był i będzie. - wyszeptał chłopak, bojąc się, aby nikt go nie usłyszał. - Tak jak ty. - powiedział z namaszczeniem.
- Wszyscy przemijamy, a szczególnie wy, ludzie. On nie jest żadnym wyjątkiem. - mruknął Ortha. Podążał za chłopakiem, który bezbłędnie orientował się w labiryncie korytarzy. Szli bez słowa, omijając przechodzących obok wyznawców, którzy schylali głowy na widok Orthy.
- To bardziej skomplikowane niżli mogło się wydawać, panie. - chłopak odparł po chwili milczenia. - Tutaj panuje ścisła hierarchia, każdy z nas zna swoje miejsce i nawet jeżeli ktoś chciałby sprzeciwić się mistrzowi, wytknąć mu błędy, to zostanie stracony.
- Dlaczego?
- Stary stoi najwyżej w hierarchii. Mamy za zadanie go słuchać bez względu na to jak głupie byłoby to, co mówi. - chłopak wyraźnie rozluźnił się i stracił zainteresowanie wszystkimi

tytułami, które miał obowiązek wymawiać.

- Nie ma wśród was osoby trzeźwo myślącej? Nawet ja zauważyłem, że staruszek nie jest w pełni zdrowy.

- Ciężko powiedzieć, jest jeden wyznawca. Mężczyzna o wielkiej mądrości, jednak co ma zrobić, jeżeli większość naszej społeczności bezmyślnie słucha mistrza? Czasami nawet największy umysł nie da sobie rady ze zidiociałą masą. Swoją drogą... - spojrzał z zawadiackim uśmiechem na Orthę. - słyszałem jak, stary mówił o modzie, jaka wśród nas zapanowała. Muszę przyznać, że sam poddałem się jej wpływowi i wybieliłem sobie włosy.

- Ortha skrzywił się. Oczywiście zza maski nie było widać wyrazu jego twarzy, jednak rozmówca jakby wyczuł zmieszanie białowłosego. Ortha spojrzał się przez czerwone szkiełka maski na twarz chłopaka. Spod głębokiego kaptura nie mógł zobaczyć jego czupryny, lecz brwi miał ciemnobrązowe, nie białe.

- I co? - odparł.

- Wszystkie mi powypadały, na szczęście odrosły bardzo szybko. - zdjął z głowy kaptur, odsłaniając kasztanowe lekko kręcone pukle. - Widocznie nie były mi przyrzeczone białe włosy. - prychnął zadowolony sam z siebie. Skręcili gwałtownie w jeden z szerokich korytarzy, przeszli całą jego długość i znaleźli się pod pokojem Orthy.

- Chciałbym poznać tego człowieka. Tego, o którym mi mówiłeś. - szepnął białowłosey.

- To niemożliwe. - odparł wesoło chłopak. - Z wyrazami najwyższego szacunku panie, ale nie mogę zgodzić się na to spotkanie. - dopowiedział.

- Dlaczego?

- Ciężko mi to mówić, ale jesteś obserwowany. Cały czas. Mistrz kazał kontrolować każdy twój ruch, więc spotkanie mogłoby zostać odebrane jako próba zamachu stanu. Podobno starzec uważa, że możesz być oszustem.

- A ty co sądzisz? - Ortha rzekł beztrąsko.

- Tak jak twój wygląd mógłby zostać podrobiony w najmniejszym szczególe, tak przyrzekam, na swoje życie, że jesteś tym, za którego cię uważamy. - jego głos przybrał poważniejszy ton.

- Ale przecież nie masz żadnej pewności. - Ortha zaśmiał się.

- Zgadza się, nie mam żadnych dowodów, jednak unosi się wokół ciebie aura smutku, cierpienia. Mógłbym rzec śmierci. Żadna istota, która została zrodzona w naturalny sposób, nie jest w stanie czegoś takiego dokonać. Przynajmniej żywa. - chłopak rzucił mu pogodny uśmiešek i odszedł szybko, nie kłaniając się. Ortha stał osłupiały jeszcze przez chwilę, po czym wszedł do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Przyszli po niego kilka godzin później. Słońce zabarwiło niebo widoczne przez wyrwę na kolor krwi. Ostry blask wpadał przez szyby, oblewając wszystko złocistym blaskiem. Służki przyniosły Orthcie nowe ubranie, w które obowiązkowo miał się przebrać. Wykonał to niechętnie, wydając pomruki niezadowolenia. Założył czarne workowate spodnie, wysokie buty sięgające kolan, i przewiązał się grubym, szerokim pasem, a jego koniec, na którym wyszyto takie samo oko jak na całunie, który zgubił kilkanaście lat temu, zwiślał pomiędzy jego nogami. Nie dostał żadnego odzienia, które zakryłoby jego tors. Był niezadowolony, robiło się coraz zimniej, a on chodził półnagi. Stał przed lustrem i zrobił kilka wymachów, aby rozprostować kości. Cały czas nosił maskę, która pozwalała mu sprawować kontrolę nad tym, co się dzieje wokół niego. Potarł ramiona pokryte runami i wyszedł na

zewnątrz. Przyszło po niego dwóch wyznawców. Wśród nich nie było chłopaka, z którym rozmawiał kilka godzin wcześniej. Cała ta sytuacja zaczynała robić się niezwykle irytująca. Zaprowadzili go do wielkiej sali, w której zgromadzili się wszyscy wyznawcy. Kiedy przechodził przez główne drzwi, większość z nich machinalnie uklękła, tylko starzec stał na podwyższeniu nieruchomy. Ortha przeszedł przez salę i stanął przed podwyższeniem.

- Nie ukloniłeś się przede mną. - powiedział tak cicho, aby tylko starzec mógł go usłyszeć.

- Nie będę kłaniać się oszustowi. - syknął. Ortha zdziwił się. Czy nie przekonał go dotychczas? Wyglądał autentycznie, księgowo opisy zgadzały się co do joty, a jego tatuaże, które teraz mogły być podziwiane w całej swej okazałości, budziły niepokój u ludzi.

Wzruszył ramionami. Chciał to mieć już za sobą. Starzec wykonał dłonią kilka gestów.

Wyznawcy odsunęli się na dużą odległość od Orthy, który chodził i ruszał barkami, aby się rozgrzać. Mierzył wszystkich wzrokiem, ukrytym za maską. Nagle usłyszał poruszenie z tyłu podwyższenia. Starzec odszedł w towarzystwie kilku barczystych wyznawców. Ortha został sam. W pewnej chwili z tylnego przejścia wysunął się jakiś chłopiec. Szedł tyłem uważnie, patrząc na wlokącego się za nim Indaera. Kiedy monstrum przystawało na moment, chłopiec podchodził do niego, aby ten ponownie poczuł żywą istotę. Wtedy zaczynał poruszać powoli stopami. Indaery w czasie hibernacji są bardzo spokojne.

Funkcjonują jak normalne, tylko że ich działania są strasznie powolne. Jeżeli nie otrzymają gwałtownego bodźca, pozostaną takie aż do czasu, kiedy ktoś ich nie zrani. Wtedy ogarnia je szal i niesione furią zabijają wszystko, co żyje i napatoczy się w ich okolicę. Ortha wyprostował się gwałtownie. Nawet w towarzystwie uśpionego Indaera trzeba zachować czujność.

- Zatem zaprezentuj nam to, na co wszyscy czekamy. - krzyknął z oddali starzec. Jego głos przepełniała ironia, jakby był pewny, że tam, obok Indaera stoi oszust. Ortha zignorował jego słowa i wskoczył na podwyższenie. Zbliżył się do monstrum, które obróciło się leniwie w jego stronę. Już miał zakryć potworowi oczy, jednak usłyszał cichy ruch dochodzący z jednego z balkonów. Odsunął się gwałtownie od stwora, w którego wbiła się ze świstem płonąca strzała. Ogień ogarnął Indaera, który zaczął dziko wyć i rzucać się po podwyższeniu. Ortha padł do tyłu, a jego ciało ogarnął paraliżujący ból. Złapał się za głowę i zaczął krzyczeć. Czuł się, jakby w czaszkę wwiercało się dziesiątki pretłów, a w ciało wbijały się setki igieł, które napełniając je trucizną, wyzerały od środka. Oczy go paliły, trzewia krzyczały bólem, mięśnie były targane spazmami, a skóra paliła rozrywana wyimaginowanymi szponami. Runy na jego ciele tańczyły dziko, splatając się ze sobą i pokrywając jego ciało czernią. Chłopak próbował podnieść się na czworaka, jednak nagła fala bólu powaliła go na ziemię. Cierpienie napływało i rosło coraz bardziej, a Ortha próbował znaleźć jego źródło. Tymczasem w piwnicach ratusza, kilkunastu strzelców regularnie podpalało uśpione Indaery. Kilka minut wcześniej dostali odgórny rozkaz od samego mistrza, który kazał im uśmiercić poprzez podpalenie wszystkie stwory, jakie trzymali w głębinach budynku. Prawdziwego celu nie znali. Musieli wykonać każdy rozkaz mistrza. Bez znaczenia jak absurdalny by on nie był.

Ortha był w coraz gorszym stanie. Agonia nie ustawała, a on słabł z minuty na minutę. Obraz przed oczami zamazał się, latały po nim małe czarne punkciki. Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi. Zaciśnął zęby z całej siły, a żyła na skroni naprężyła mu się. Resztką sił zerwał maskę i stanął na chwiejnych nogach. Wszyscy wyznawcy padli na

podłogę, zasłaniając sobie oczy. Nawet oni wiedzieli, co ich czeka, jeżeli uchwycą jego wzrok. Ortha rozejrzał się po sali. Ciało paliło go, nie czuł rąk ani stóp. Szum w jego głowie narastał i obezwładniał go coraz bardziej. Orta dłonią krew kapiąca mu z brody. Tatuaze szalały na jego skórze. Trudno było odnaleźć na niej miejsce niepokryte kłębiskiem run. Jednak Ortha stał na wpół przytomny. Nie upadał, nie siadał, stał tylko, chwiejąc się z nogi na nogę. Wiedział, że jeżeli teraz upadnie, to już nie wstanie jako normalna osoba. Tymczasem w zakątkach ratusza rozbrzmiewało żalosne wycie palących się Indaerów. Mężczyźni postrzelili ostatnie sztuki i zamietli pył, jaki z nich powstał. Raz po raz z kupki popiołu dało się dostrzec wystający przedmiot, który był szczególnie ważny dla człowieka, który zawarł pakt z duszą. Ortha potarł głowę obolałymi rekoma. Zacisnął powieki, aby pozbyć się mroczków. Ból zaczął słabnąć. Pochylił się, założył ponownie maskę i stanął pewniej na nogach.

- Myślałeś, że tego nie przetrwam? - wydusił słabo, drżącym głosem w stronę widowni. Wiedział, że gdzieś tam pomiędzy tymi ludźmi siedzi skulony mistrz. - Jestem o wiele silniejszy niż mgliscie to sobie wyobrazić, głupcy! - warknął. Wyznawcy podnieśli się gwałtownie i zaczęli opuszczać salę w pośpiechu. Ortha usiadł na skraju podwyższenia i chwycił się za głowę. Ból ustawał, jednak pozostawił po sobie trwałą ranę, którą ciężko będzie wyleczyć. Chłopak siedział zgarbiony, powstrzymując się od wymiotów, krew ciekła mu z kącików ust, spływała po brodzie i skapywała na ciężki, bawełniany pas, którym przepasał się w biodrach. Starzec grał z nim w kotka i myszkę. Sądził, że przechytry go tą sztuczką i sprawi, że Ortha straci nad sobą panowanie z racji bólu, jaki sprawi mu podpalenie Indaerów. Myślał, że kiedy przyjdzie pora, aż białowłosa zmieni się w to coś, zapanuje nad nim i będzie mógł zrealizować swoje chore plany. Jednak Orthcie jedna rzecz nie dawała spokoju. Dawno temu, kiedy stanął twarzą w twarz z najwyższym, owej feralnej nocy, kiedy zawarł pakt z duszą która miała przejąć ciało Vourrina, stwórca powiedział mu o tym, czym może się stać, kiedy straci nad sobą kontrolę. Powiedział mu też, jak kontrolować to coś, czym się stanie. Nie można było zapanować nad nim jak nad zwykłym zwierzęciem. Ortha stałby się czymś równie nieprzewidywalnym co Indaer, lecz wielokrotnie silniejszym. Nie pamiętał, co potrzebne było, aby przejąć nad nim kontrolę. To było coś niezmiernie ważnego i ściśle powiązanego z jego osobą. Podniósł się ociężale i zaczął kuśtykać w stronę wyjścia. Raz po raz spluwał krwią i dysząc ciężko, zaczął biec. Vourrin wcale nie był u tutejszego lekarza. A przynajmniej nie w celach zdrowotnych. Biegł poprzez korytarze prowadzony przez dusze. Zawsze pojawiały się nie w porę, o wiele spóźnione. Patrzyły się na niego błagalnie, jakby chciały wyprosić od niego przebaczenie. Białowłosa nie spotkał nikogo. Korytarze były puste, nie licząc dusz. Świece paliły się powoli i w towarzystwie krawozłotego światła słonecznego nadawały ratuszowi demonicznego wyglądu. Ortha zbiegał ze schodów, potykając się raz po raz. Musiał dostać się do piwnicy najszybciej jak potrafił. Niespodziewanie noga obsunęła mu się ze schodka, a chłopak runął jak długi. Uderzył twarzą o posadzkę, lecz podniósł się szybko. Siły zaczynały mu wracać, czuł pieczenie ramion, a nos zalała mu fala ciepła, która wypłynęła z niego pod postacią krwi. Kiedy dobiegł wreszcie do sali, w której przetrzymywano Vourrina, zaczął szarpać za klamkę. Drzwi były zamknięte, a Ortha nie był pewien czy nie zostały również zaryglowane. Uderzył barkiem o drewno, drzwi skrzyknęły żałośnie, jednak nie ustąpiły. Chłopak nie miał żadnego narzędzia, którym mógłby sobie pomóc. Rozejrzał się po

okolicy, dusze patrzyły się na niego spokojnie. Białowłosy cofnął się, wziął rozbieg i z całej siły wywarzył drzwi. Drewno pękło, drzwi wyrwały się z framugi, a zamki ustąpiły. Ortha wpadł do sali o ścianach surowych, pokrytych betonem, a podłódze przyozdobionej w kafelki o wyblakłych pożółkłych wzorach. W pomieszczeniu panował półmrok, pod sufitem wisiały nawisy kabli spiętych ze sobą jakimiś sznurami. Biegły wzdłuż ściany i rozchodziły się do różnych maszyn. Te, które sięgały najdalej, znikwały w dziurze wykutej w ścianie. Na twarz Orthy padło ostre oślepiające światło. W jego stronę zwrócił się mężczyzna odziany w poplamiony krwią fartuch chirurgiczny. Na głowie miał czepek lekarski, a twarz zasłaniała mu plastikowa maska z przymocowaną latarką. Zaczął mówić coś niewyraźnie, lecz chłopak nie mógł rozróżnić poszczególnych słów. Podeszedł do mężczyzny, który trzymał wielkie metalowe nożyce. Takie, jakimi rozcina się brzuchy trupów. Koło niego na metalowym stole leżał nieprzytomny łucznik. Ortha nie mógł zobaczyć, w jakim jest stanie. Widział jednak, że nadgarstki i kostki ma przywiązane grubymi pasami. Mężczyzna zrobił agresywnie krok do przodu. Ciachnął kilka razy w powietrzu wielkimi ostrzami i skoczył. Wykonał szybki ruch i próbował wbić ostrza nożyc pomiędzy żebra Orthy, jednak ten chwycił metal ręką. Mężczyzna stał, pchając nożycy, które coraz bardziej rozcinały dłoń Orthy. Jednak łopatka wbiła mu się pomiędzy serdeczny, a środkowy palec. Druga natomiast oparła się o jego kciuk i wbiła się aż do kości. Z dłoni zaczęła lać się krew, jednak białowłosy nie zważał na to. Mierzył się wzrokiem z chirurgiem, którego szczurze wylupiające oczka patrzyły na niego zawzięcie. W końcu Ortha wykręcił poranioną dłoń, doktor przechylił się w lewo, a chłopak wolną ręką chwycił go za gardło. Uniósł go wysoko, tak aby ten zaczął się dusić. Ścisnął jego gardło z całej siły, która mu została. Mięśnie naprężyły się, a chłopak po chwili usłyszał ciche chrupnięcie. Lekarz wygiął się w spazmie, a kiedy Ortha puścił go, ten zwałił się na ziemię ze złamanym karkiem. Białowłosy wyciągnął narzędzie ze swojej dłoni i podeszedł do Vourrina. Łucznik leżał krzyżem na stole, nieprzytomny. Wzdłuż mostka miał wyrysowaną czarnym markerem grubą przerywaną linię. Wzdłuż żeber znajdował się szereg małych ranek, z których sączyła się posoka. W nadgarstki wbito małe igły, a do piersi podłączono holter. Na lewym ramieniu Vourrin miał wydarte trzy paski okalające jego biceps. W miejscu gdzie skóra została wyrwana, błyszcząły czerwone mięśnie. Ortha spojrzał się na swoje ramię, na którym znajdowały się identyczne pasy, tylko że pod postacią tatuażu, nie żywej tkanki. Chłopak rozciął pasy i uwolnił przyjaciela. Rozejrzał się przez chwilę po pomieszczeniu. Blisko stołu znajdowała się mała przesuwana półka, na której błyszcząły zimnym blaskiem pozostałe narzędzia martwego doktora. Niektóre były zakrwawione, inne utopione z jakiejś cieczy lub ubrudzone gruboziarnistą pastą. Reszta, wysterylizowana, leżała w idealnym porządku odgradzona od swoich chaotycznych braci. Pod metalowym blatem znajdowała się również wysuwana szuflada. Ortha pociągnął ją ręką, chcąc ujrzeć, co kryje. W jej wnętrzu leżało kilkanaście strzykawek, różnej długości i szerokości. Niektóre były napełnione tylko w połowie, inne pełne, a w jeszcze kolejnych pozostała tylko reszta cieczy. Jednak we wszystkich znajdowała się kolorowa ciecz, różniąca się między sobą odcieniem i mętnością. Ortha usłyszał cichy szmer. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że przez framugę wchodzi kilku wyznawców. Podeszli blisko niego, jednak nic nie zrobili. Wyglądali dziwnie. Bili się z myślami, z jednej strony stawiając swojego wodza, a z drugiej fanatyczną religię, której bóg stał przed nimi, wyglądając niczym demon z czeluści piekieł.

Niektórzy zbledli, innym trzęsły się ręce. Nagle jeden z nich, ten z najbardziej zażartym wyrazem twarzy ruszył, w kierunku Orthy gwałtownym krokiem. Wyciągnął w jego stronę swoje wielkie, mięsiste łapska, chcąc złapać go jak małego dzieciaka. Chłopak uchylił się przed dłońmi wielkoluda i stając koło jego boku, wbił mu nożyce w pierś. Narzędzie wgrzyzło się w ciało z oporem, jednak po chwili koniec ostrza ukazał się w plecach mężczyzny. Wyznawca zaczął charczeć i krztusić się. Oczy odpłynęły mu, a twarz wykrzywił grymas zdziwienia. Po chwili upadł na podłogę martwy, a z rany zaczęła wypływać obficie krew. Ortha stał, patrząc się na resztę. Widocznie nie zamierzali ruszyć się z miejsca. Jeden z nich cofnął się i zatopił w cieniu, a Ortha odwrócił głowę w jego stronę. W tej samej chwili poczuł na skórze zimny metal igły, która wbijała mu się w kark.

Po kilku sekundach jego umysł ogarnęła niesłychana senność. Słaniał się na nogach, próbując odzyskać świadomość. Mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa i zaczęły drżeć. Chłopak upadł na kolana. Obraz przed oczami zalewała mu ciemność. W uszach zapanował ogłuszający pisk. Jego oddech stał się płytki. Jeden z wyznawców, który zaszedł Orthę od tyłu chwycił go pod pachy i wyciągnął z pomieszczenia. Drugi podszedł do leżącego łucznika i zarzucił go sobie na ramię. Reszta wyznawców posprzątała ciała, uporządkowała narzędzia i opuściła salę w grobowej ciszy.

Obudził się dopiero w swojej komnacie, rzucony na łóżko niczym worek ziemniaków. Przetarł zaspane oczy i zsunął się z łoża. Trzęsąc się z zimna podszedł do kanapy i założył koszulkę, która leżała na jej oparciu. Pas obcierał mu nieznośnie biodra, a jego końcówka plątała się między nogami. Doszedł chwiejnym krokiem do stołu i spostrzegłszy dzbanek wody, wypił łączywie jedną trzecią jego zawartości. Kiedy chłód oblał jego ciało od środka, Ortha rozbudził się na dobre. Dopiero teraz spostrzegł, że w rogu pomieszczenia stoi jeden z wyznawców. Po wroście rozpoznał chłopaka, z którym rozmawiał kilka dni temu. Spojrzał na niego wymownie, a tamten wyłonił się z cienia.

- Mistrz oczekuje cię, panie. - powiedział pogodnym tonem i podszedł skocznym krokiem do Orthy.

- Która jest godzina, jaki mamy dzień, co z Vourrinem i po cholere była ta cała szopka? - białowłosemu plątał się język. Wyjrzał przez okno. Na zewnątrz panował półmrok, jednak przedzierały się już pierwsze promienie słoneczne. W oddali, na horyzoncie rozciągała się plama czerni charakteryzująca obszary pustki.

- Jest bardzo wcześnie, na granicy nocy i świtu. Twój przyjaciel znajduje się pod dobrą opieką, a co do dnia nie jestem pewien. To pewnie jedno z tych, w których zmarli płaczą, a ziemia wydaje jeszcze jedno, agonalne tchnienie. - dodał melancholijnie i rozmarzył się.

- Wczoraj też miał być pod dobrą opieką... - wydusił Ortha głosem przesiąkniętym jadem. - Okazało się, że jakiś doktor chciał go pokroić.

- Cóż poradzić... - odparł beztrąsko wyznawca. Jego szczupła twarz uśmiechnęła się lekko.

- Po co mam iść do tego starca? Nie dość mu emocji?

- Pragnie spożyć z tobą śniadanie. - wyjaśnił.

Po chwili wyszli z pokoju. Na korytarzach kręciło się kilku wyznawców, jednak ratusz wydawał się opustoszały. Jakby wszyscy specjalnie kryli się przed wzrokiem białowłosego. Ortha nie przeniósł się do świata umarłych, więc wyznawca musiał ciągnąć go za rękę i prowadzić jak ślepeca, którym był. Na wszelki wypadek wziął ze sobą maskę, która dyndała z tyłu spodni. Szli przez kolejne korytarze, zeszli po okazałych kręconych

schodach i ponownie pochłonał ich labirynt ścieżek.

- Nie chcesz znać mojego imienia? Dosyć często ze sobą rozmawiamy. - zagadnął go w pewnym momencie wyznawca.

- Imiona są ulotne, po śmierci człowieka przepadają, tak jak pamięć o nim. Nie warto poświęcać im czasu, szczególnie teraz, kiedy ważniejsza jest rola przetrwania, a nie rozwodzenia się nad setkami nazw otaczających nas osób. - wydukał Ortha. - Istotą człowieka są jego czyny, a nie zlepek sylab, jakie nadali mu rodzice.

- Ditmas. Moje imię to Ditmas. - powiedział spokojnie chłopak.

- Źle czynisz. Wszystkie osoby, których dźwięk imion zapadł mi w pamięć, zginęły okropną śmiercią. Chciałbym ochronić przed tym końcem choć jednego człowieka. - Ditmas nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko szeroko zadowolony z komplementu. Zwolnili kroku, zbliżali się do sali, w której czekał mistrz. W końcu Dimtas zatrzymał się i otworzył drzwi przed Orthą. Chłopak wszedł powoli do środka, nasłuchując każdego dźwięku. Strzec wstał i podszedł do przeciwległego końca dębowego stołu. Odsunął ze skrzygnięciem krzesło, a Ortha zlokalizował je i podszedł w jego stronę. Kiedy zajął swoje miejsce, mistrz usiadł po drugiej stronie stołu.

- Me oczy radują się na twój widok, panie. - zaczął spokojnie staruszek.

- Do rzeczy. - Przerwał mu Ortha. - Skoro jesteś pewny, że jestem, tym na którego tak długo czekałeś, to już teraz możesz sobie poderżnąć żyły, bo na nic mi się nie przydasz.

- Ale skąd tyle wrogości? Jad na wskroś przesiąka twoje słowa. Ranisz mnie, sądząc, że jestem bezużyteczny. - odpowiedział starzec z udawaną skruchą w głosie. Nagle po salki weszło kilku ludzi. Postawili przed nimi talerze z jedzeniem, napełnili kieliszki winem i zapalili świece, które miały oświetlać pokój. Ortha schylił głowę w stronę talerza. Gorąca para buchała mu w twarz, niosąc ze sobą zapach jajek, pieczonego chleba i warzyw. Spomiędzy zniewalających woni dało się wyczuć nikły zapach, który drażnił jego nozdrza. Dla zwykłego człowieka byłby niewyczuwalny, ale Ortha miał wyczulone zmysły, które dawały mu przewagę. Oparł głowę o dłoń i czekał, bawiąc się w powietrzu widelcem.

- Dlaczego nie jesz? - chłopak słyszał odgłosy przeżuwania starca i szcęk sztućców o porcelanowy talerz. - Specjalnie kazałem upiec chleb na dzisiejsze śniadanie.

- Jedzenie jest zatrute. - ruch sztućców ustał. Ortha usłyszał, jak starzec bierze głęboki oddech.

- Przecież trucizna nie jest w stanie cię uśmiercić. - ton jego głosu zmienił się diametralnie. Był chłodny i oschły.

- Ale metalowe opiłki, które rozetną mi gardło, już tak. - wysyczał Ortha i usłyszał cichy rechot mistrza.

- Dobrze więc, jesteś bardziej czujny niżli się zdawało. - mężczyzna oparł się o krzesło i postukał kilkakrotnie drewnianą laską o nogę stołu. Do pokoju weszło pośpiesznie kilku ludzi, którzy zabrali jedzenie i zastawę. - Musisz mi wybaczyć, podczas tamtego zdarzenia sprawy wymknęły się spod kontroli. - Ortha nie odpowiadał, patrzył się na niego spode łba. - W obrębie naszej posiadłości znalazło się kilka Indaerów, których musiałem się pozbyć. Nie spodziewałem się, że wywoła to na ciebie tak duży wpływ. W pewnym momencie zacząłem martwić się o twoje zdrowie, jednak poradziłeś sobie. Na chwałę Najwyższego udało ci się przezwyciężyć ból.

- A co jeżeli straciłbym nad sobą kontrolę? Stał się czymś, czego twój wąski umysł nie jest

w stanie pojąć? Co byś wtedy zrobił? - Ortha wstał z krzesła. Starzec nie odpowiadał. - Czyż nie po to potrzebny był ci mój przyjaciel? Aby za pomocą jego krwi zapanować nad stworem, w którego bym się przemienił? Sądziłeś, że nie dam rady wytrzymać cierpienia, jakie przyniesie ogromny napływ energii? Że kiedy będzie po wszystkim, użyjesz ludzkiej posoki, aby zafundować moim umysłem?! Jednak nie wziąłeś pod uwagę opcji, w której wytrzymam ból, prawda? - Ortha uderzył pięścią w blat stołu.

- Razem jesteśmy w stanie dokonać wielkich rzeczy. - mistrz zmienił temat. - Połączenie twojej siły i mojego rozumu da nam przewagę nad resztą ludzkości... Czyż nie tego chcesz? Pławić się w chwale twoich wyznawców, ludzi, dla których twoje spojrzenie jest warte więcej niż całe ich dotychczasowe życie... - mężczyzna rozłożył ręce we władczym geście. - Możemy dokonać wielkich rzeczy, w księgach nie jest napisane, że musisz podjąć decyzję w tak młodym wieku. Możemy przeżyć wiele lat, kładąc świat u naszych stóp! Współpracuj ze mną, a posiadasz cały świat w swoim władaniu!

- Głupcze! Sądzisz, że nabiorę się na twoje lichy obietnice? Twoje słowa są warte mniej niż pył, który okala tę planetę. Przysięgasz mi władzę, podczas gdy to ty będziesz ją sprawować. Życie ludzkie nie jest dla ciebie nic warte, to przez takich jak ty życie w ruinach, w truchle świata, jaki niegdyś tu panował. Jesteś martwicą, śmiertelną chorobą. Omamiłeś moich wyznawców, czyniąc ich żywymi kukłami! Naprawdę sądzisz, że przeciągniesz mnie na swoją stronę? Myślisz, że będąc ślepym, nie dostrzegłem jeszcze zła, którym jesteś?!

- Ile warte jest ludzkie życie dla ciebie? - mistrz odparł kąśliwie. - Zabijałeś niewinnych ludzi, odmawiałeś im pomocy. Czy zasługujesz na miano boga, jakim się staniesz?! W twoich rękach mamy pokładać nasze przeznaczenie?! - starzec podniósł głos do słabego krzyku. - Jak jeden człowiek może zawrzeć losy ludzkość w swojej irracjonalnej decyzji?!

- Nie jestem człowiekiem! - krzyknął Ortha. - I nigdy nim nie będę. - dodał ciszej. - Właśnie dzięki temu jestem jedyną osobą zdolną podjąć tak ważną decyzję. Nie myślę jak wy, nie czuję jak wy. Dostrzegam więcej, niż możecie to sobie wyobrazić, nie kierują mną ziemskie zachcianki. Zabijałem ludzi, dla których i tak już nie było nadziei. Tylko to łączy mnie z waszą rasą. Chęć mordu, przetrwania. - Ortha chwycił stół i go wywrócił. - Otwórz oczy starcze, twój plan nie wypalił. Stoję przed tobą, lecz twoje kłamstwa nie omamiły mojego umysłu. Przeszkodzę ci w działaniach. Jednak muszę ci przyznać pewną rację. Odbieranie życia w sposób okrutny, tak jak czyniłem, jest wielkim błędem. Więc ugnij przede mną kark, przysięgaj mi posłuszeństwo, a obiecuję, że twoja śmierć będzie szybka i bezbolesna. - Zaczął powoli iść w stronę starca. Ten cofnął się i uderzył plecami o ścianę. W jego oczach malował się lęk, ale też obłąkanie. Ścisnął dłoń trzymającą laskę tak mocno, aż pobielaly mu knykcie. Spojrzał się z furią w oczach na Orthę.

- Po moim trupie! - syknął.

- To da się załatwić. - Ortha wyszczerzył zęby w szorstkim uśmiechu. Słyszał świszczący oddech starca, więc doskonale wiedział, że tamten stał, podpierając się o ścianę. Ruszył na niego szybkim krokiem. Jednak starzec był już gotowy na walkę. Wcisnął przycisk znajdujący się pod rączką laski, a drewniana część podpory odpadła, ukazując lśniąco ostrze. Zamachnął się nim w kierunku Orthy, aby rozciąć jego brzuch, lecz chłopak wychylił się do tyłu. Nagle zamknął gwałtownie oczy, a kiedy je otworzył błyszczące czerwienią tęczęwki odznaczyły się pośród bladego świtu. Ortha złapał ostrze dłonią, a

metal zaczął zagłębiać się w jego skórę. Drugą ręką chwycił starca za habit i podniósł do góry. Mistrz nie zdążył zamknąć powiek i uchwycił wzrok białowłosego. Zamarł z półsłowem na ustach. Ortha uśmiechnął się szeroko. Trzymał starca do momentu, aż z ust chlusnęła mu krew. Puścił go a mężczyzna runął na ziemię. Ortha nie wiedział, co można zobaczyć w jego oczach. Wielokrotnie patrzył w oczy swojemu odbiciu w lustrze, jednak nie otrzymywał takiego efektu jak ludzie. Od czasu do czasu bolała go głowa, jednak to nie mogło się równać cierpieniu, jakiego doznawał człowiek patrzący mu w oczy. Kilkakrotnie zastanawiał się co wywołuje ból i obrażenia. Jednak nigdy nie dane mu było poznać tej tajemnicy. Znały ją tylko osoby, które spojrzały w jego „martwe” oczy. Staruszek zaczął dławić się krwią. Ortha starał się nie mrugać by nie tracić kontaktu wzrokowego z mistrzem. Wtedy cierpienie by ustało, a starzec umarłby w wyniku obrażeń wewnętrznych. Ale on nie zasługiwał na taką łagodną śmierć. Białowłosa patrzył się więc mu w oczy bardzo długo. W końcu kanaliki łzowe mężczyzny zaczęły krwawić, a białka nabrały bordowego koloru. Błądząc w umyśle starca, Ortha zobaczył jego dawne życie w jednej z pomniejszych grup. Mistrz urodził się dawno temu, ale nie dostatecznie, aby pamiętać okres wielkiej gorączki i zagłady ziemi. Aby to pamiętać, człowiek musiałby mieć kilkaset lat. Był niedocenionym pisarzem, który próbował ocalić siebie i rodzinę poprzez świadczenie poetyckich i filozoficznych usług. Nie wyszło mu to zbyt dobrze. Znalazł się na skraju życia. Zamordował swoją rodzinę, aby dostać resztkę jedzenia i wody. W końcu, w niezwykle starej bibliotece, odnalazł manuskrypty mówiące o pojawieniu się Orthy i jego roli. Wtedy to założył sektę, którą rządził niepodzielnie przez osiemdziesiąt lat. Chłopak w końcu zamknął oczy i utracił połączenie ze starcem. Ten wśród drgawek wyzionął ducha.

Ortha założył maskę i postanowił rozejrzeć się po pomieszczeniu. Kiedy podszedł w kierunku okien, zauważył mały korytarz wiedzący w prawo. Miejsce było bardzo zaciemnione, jednak on widział w ciemności. Poszedł jeszcze kilka kroków i wszedł do gabinetu, w którym rozmawiał ze starcem kilka dni temu. Zauważył biurko, krzesło, na którym siedział i biblioteczkę, która rozpościerała się na wszystkich ścianach. Tętno mu podskoczyło. Podbiegł do ściany znajdującej się równoległe do biurka i zaczął obmacywać ją dłońmi, aby znaleźć przycisk, który uruchamiał szafkę. Wyjmował książki z półek i odkładał je delikatnie na podłogę. Nie mogły się zniszczyć, były ostatnią ostoją dawnego świata. W końcu natrafił na mały pstryczek umieszczony pod tabliczką z numeracją. Nacisnął go, a najbliższa szafka przesunęła się automatycznie w lewą stronę. Chłopak rzucił się w kierunku schowka i zaczął grzebać w nim. Po chwili wyjął delikatnie szklaną gablotkę ochraniającą sztylet. Podstawił ją na biurku i zaczął szukać sposobu, by ją otworzyć. Wiedział, że jest to możliwe, ponieważ starzec zrobił to przy nim, jednak nie mógł sobie przypomnieć w jaki sposób. W końcu podenerwowany podniósł szkło nad głowę i cisnął nim o podłogę. Gablotka roztrzaskała się na małe kawałeczki, a sztylet poleciał pod krzesło stojące naprzeciwko biurka. Ortha rzucił się na ziemię i drżącymi rękoma podniósł sztylet. Broń była pięknie wykonana. Czarne lśniące ostrze, długości przedramienia, na którym wypalone były tajemnicze znaki dostrzegalne tylko, jeżeli oglądało się je przy blasku słońca. Trzon z mleczej kości, której grzbiet wyrzeźbiony był na kształt kręgosłupa. Dół rękojeści ozdobił owalny rubin, poprzetykany czarnymi żyłkami. Pomimo ciepła, jakie panowało w pomieszczeniu, sztylet był zimny, jakby ktoś trzymał go w bryle lodu. Ortha z namaszczeniem włożył broń do kieszeni spodni, ostrzem do góry, tak aby nie rozerwał

materiału, i wrócił przez ciasny korytarz do jadalni.

Teraz potrzebny był mu już tylko całun, który znajdował się w rodzinnym obozie Vourrina. Kiedy dotarł na miejsce, chłopak przesunął nogą ciało staruszka, która przykrywało drewnianą łaskę. Podniósł ją, a ostrze nakrył drewnianą częścią tak, aby znowu wyglądała jak bezpieczna podpora. Stał na chwilę nieruchomo. Musiał coś wypróbować. Uderzył trzy razy łaską o drewnianą nogę stołu. Po kilku sekundach drzwi sali otworzyły się, a w nich stanęła służka z wazą parującej zupy w dłoniach. Spojrzała się na niego z odrętwieniem, lecz kiedy kątem oka dostrzegła cało mistrza leżące przy jego nogach, upuściła porcelanę i z krzykiem wybiegła. Naczynie pękło z charakterystycznym dźwiękiem, a zupa rozlała się po dywanie. Chłopak wyszedł za nią przed korytarz i prawie wpadł na Ditmasa, który wyszedł mu na spotkanie.

- Niezła robota. - Ortha cofnął się gwałtownie przestraszony, a wyznawca stał nieruchomo.

Kiwnął głową w kierunku truchła. - Wiedziałem, że między wami nie iskrzy, ale żeby od razu zabijać? Dla takiego boga to ja mogę umierać. - powiedział z uznaniem w głosie.

- Sprowadź tego mężczyznę, o którym mi mówiłeś. Niech sprzątnie jego ciało i przekaże wiadomość reszcie z was. Od dzisiaj on tu zarządza. - powiedział szybko.

- Niebezpiecznie tak oddawać komuś władzę, jeżeli nie widziało się tej osoby ani razu. - odparł z przekąsem Ditmas.

- Jeżeli okaże się kolejnym psychopatą, wymorduję was wszystkich. Profilaktycznie. -

Ortha zaczął iść wzdłuż korytarza i nie przestawał mówić. - Zaprowadź mnie do Vourrina.

Przygotuj rzeczy, jutro opuszczam z nim to miejsce. Każ wszystkim trwać w wierze, przygotuj mi mapy okolicy, a także znajdź człowieka, który potrafi wskazać mi kierunek, w którym znajduje się obóz „Heaven”. Oraz do, cholery, każ przynieść mi jakieś normalne ubranie. - szarpnął z irytacją za sztywny pas okalający go w biodrach.

- Panie?

- Tak?

- Do Vourrina w przeciwną stronę. - powiedział wyznawca powstrzymując się od śmiechu.

Ortha zatrzymał się gwałtownie, zawrócił i poszedł zrezygnowany za Ditmasem.

Rozchylił delikatnie drzwi. Przez szparę owiało go ciepłe, duszące powietrze niosące zapach stęchlizny. Wszedł do pokoju i odciągnął kotary przysłaniające okna. Kiedy ostre światło padło na Vourrina, ten skrzywił się i zacisnął oczy.

- Daj spokój, było tak przyjemnie. - mruknął.

- Doprowadź się do porządku, wyglądasz jak jedno wielkie nieszczęście. - powiedział Ortha i skrzyżował ręce na piersi.

- Oni coś mi podali, byłem niepotomny. Potem się obudziłem, a jakiś facet rysował mi po klatce czarnym markerem. Co to było?

- Zbyt długo trzeba by było tłumaczyć.

- Wcale nie, usłyszałem, jak mówią o mnie. Ortha, oni chcieli napić cię moją krwią! - wydukał.

- Wiem. - westchnął. - Lecz wszystko jest pod kontrolą, już nic nam nie grozi. Po prostu do tego nie wracajmy.

- Jak to mam nie wracać? Oni chcieli mnie pokroić! Wypompować ze mnie całą krew! Kiedy leżałem na tym stole, co chwilę wstrzykiwali mi jakieś płyny, wydzielali mi paski skóry... - potarł dłonią ramię w miejscu gdzie, wydarto mu trzy pasy. - Miałem zostać ich

królikiem doświadczalnym, chcieli zobaczyć, jak dużo bólu człowiek może wytrzymać przed śmiercią. Rozumiesz to?! - podniósł głos i wstał z jednoosobowego łóżka. - Chcieli mnie zarznąć jak psa, wykorzystać w do swoich chorych eksperymentów! A to wszystko w imię twojej chwały!

- Uspokój się, już nigdy nie dopuszczę do takiej sytuacji. - Ortha próbował przywołać Vourrina do porządku.

- Jak mam być spokojny?! Na każdym kroku czeka na mnie śmierć, podczas gdy ja uciekam od niej, pchając się w łapska jakichś psycholi. - opadł z powrotem na łóżko. - Mam dość, Ortha. Tego jest za dużo. Ostatnie miesiące to pasmo cierpienia i zdarzeń, które nigdy nie powinny mieć miejsca. - mówił cicho. - To jest droga do nikąd...

- Naprawdę tak sądzisz? Przecież mamy cel...

- Ty masz cel! Ja tylko krocę twoimi śladami w nadziei, że nadążę za tobą i że tym razem śmierć nie zdoła mnie dogonić. - powiedział smutno. - Moje życie nie ma celu. Opiera się na zdarzeniach, których jestem uczestnikiem i które nie wynikają z mojej własnej woli. Jestem tym wszystkim zmęczony, tak bardzo zmęczony... - ostatnie zdanie wypowiedział jakby sam do siebie. Ortha miał pewność, że łucznik nie wytrzyma już długo. - Ale... Skoro całe życie kroczyłem ścieżką wytyczoną przez, ciebie to czemu i teraz tego nie zrobić? Przynajmniej ty wiesz, jaki masz cel, więc mogę ci pomóc w osiągnięciu go. - jego lico rozpromieniło się lekko. Białowłosy wiedział, że za tym uśmiechem krył się smutek i żal.

Następnego dnia opuścili ratusz. Ditmas przygotował wszystko, o co poprosił go Ortha, przy okazji wysuwając swoją kandydaturę na towarzysza wyprawy. Vourrin na dźwięk tych słów zaczął kłać pod nosem. Białowłosy poznał również człowieka, w którego ręce przekazał władzę nad sektą. Był to stanowczy mężczyzna około pięćdziesiątki z inteligentnym błyskiem w oku. Wyrażał się zdawkowo, jednak jego słowa były precyzyjne i przemyślane. Uzgodnili razem dalsze kroki. Ortha z Vourrinem mieli udać się do byłego obozu i zdobyć całun, którego potrzebował do rytuału. Dowodzący mężczyzna zapewnił ich, że kiedy będzie po wszystkim, stawią się na miejscu o właściwej godzinie. Łucznik wyraził swoje oburzenie niedorzecznością jego obietnicy i spytał, skąd niby będzie wiedział, kiedy to nastąpi. Mężczyzna odpowiedział tajemniczo, że ma swoje sposoby. To zamknęło usta Vourrinowi. Zanim ruszyli, Ortha chciał jeszcze zobaczyć manuskrypt. Ditmas zaprowadził go pośpiesznie do małego pokoiku kryjącego się za ciężkimi drzwiami. W pomieszczeniu paliło się kilka świec jednak wyznawca nacisnął mały guzik i włączył lampy elektryczne znajdujące się na suficie.

- Macie tutaj prąd? - zapytał Ortha szczerze zdumiony.

- W piwnicach znajduje się kilka agregatów na benzynę, a w okolicy udało nam się znaleźć pokaźnych rozmiarów skład tejże cieczy. Poza tym nie używamy urządzeń elektrycznych za często. Mógłbym rzec wcale. Jednak to pomieszczenie i kilka innych jest podłączonych do elektryczności. Rytm dnia zwykle wyznacza nam noc i dzień. Nie narzekamy zbytnio.

- Żyjecie tu jak w średniowieczu. - mruknął Ortha.

- Co prawda moja wiedza na temat tego odległego okresu w dziejach ludzkości jakże jest szczątkowa, jednak dzięki książkom martwego mistrza mogę stwierdzić, że tak, podobieństwo jest znaczne. - białowłosy uśmiechnął się pod nosem, słysząc powagę w głosie wyznawcy, który z przejęciem opowiadał o codziennym życiu. - Jednak nie jesteśmy, aż tak zacofani. Posiadamy obszerny składzik broni na ostrą amunicję, która... - Ortha

podniósł dłoń na znak, aby zamilkł. Ten zamarł z otwartymi ustami, chcąc dopowiedzieć to i owo. W końcu zainteresowali się księgą. Wyznawca otworzył gablotę, w której była skryta i małym kluczykiem otworzył żelazny zamek, jaki zabezpieczał karty księgi.

- Chcesz poznać przepowiednię? - zapytał podekscytowany, a Ortha skinął głową. Chłopak otworzył z nabożnością księgę na losowej stronie, po czym zaczął przewracać jej karty tak długo, aż odnalazł właściwy fragment. Pismo było bardzo ozdobne, pochylone. Kartki nadgryzł zębami, jednak zachowały się w bardzo dobrym stanie. Ortha pochylił się nad manuskryptem i zaczął czytać: "Ten, którego oczy niczym rubiny krwawią, który jak śnieg pośród czerni jaśnieje, a powłoka, która go skrywa, zamalowana jest śmiercią i przeznaczeniem, nadzieje, aby jak ludzie żyć, jednak tak od nich różny, spojrzeniem karać ich będzie. Lecz kiedy nadzieja zgaśnie, ta, która czyniła go człowiekiem, on upadnie, a życie spłynie pomiędzy czernią i zimnem. Wtedy nie będzie już nic, granice zatracą się, a wszyscy staniecie jak równy z równym. Jak zwierzę z człowiekiem. Jak zmarły z żywym."

- Zawył tekst. - powiedział Ortha spokojnie.

- Bardzo interesujący, zresztą jak sama księga. - odparł z podnieceniem Ditmas. - Zawsze staram się jak najdokładniej przestudiować tekst, ponieważ dostęp do niej mamy niezwykle ograniczony, co jest nadzwyczajnym okrucieństwem. - Ortha przesunął powoli karty księgi. Ostatnie kilkadziesiąt stron zapisane było bardziej niechlujnym pismem. Jego kolor był rdzawobrunatny, a na rogach papieru pojawiły się małe kółeczka pleśni.

- Co to za tusz? Różni się od poprzedniego. - spytał Ortha i potarł dłonią powierzchnię karty.

- Najprawdopodobniej krew. - wyznawca poprawiał coś przy długich rękawach, a kiedy podwinął materiał, oczom białowłosego ukazały się przedramiona pokryte niezgrabnymi tatuażami.

- Co?

- Krew. - powtórzył Ditmas.

- Po co ktoś miałby spisywać manuskrypt krwią? - głos białowłosego wyrażał niedowierzanie.

- Nie kieruj do mnie tych pytań, bo nie wiem. - Ditmas poprawił swój głęboki kaptur. Jego dłonie również były zamalowane. - Ludzki organizm to piękne narzędzie. W razie potrzeby można wykorzystać niektóre z jego darów.

- Idiotyzm. - prychnął Ortha.

- Twoje słowa, twoje poglądy. - skwitował go wyznawca. Mesjasz zamknął księgę, a Ditmas odłożył ją do gabloty. Po chwili zgasił światło i razem opuścili pokój. Skierowali się w stronę bocznego wejścia, gdzie czekał zniecierpliwiony Vourrin.

- Będę wyczekiwać cię, panie. - powiedział w pewnym momencie Ditmas, ale Ortha nie odpowiedział mu. Nie mógł zapewnić, że spotkają się ponownie.

Swoje kroki skierowali ponownie w stronę pustki. Wyznawca przygotował im minimalistyczną mapę prowadzącą do ich rodzimego obozu. Zaznaczył na niej kilka charakterystycznych obiektów, miejsca, w których ostatnio widywano Indaery, a w połowie drogi do obozowiska „Heaven” narysował duży okrąg, w porównaniu do którego inne budynki wydawały się mikroskopijne. Ortha nie wiedział, co oznacza to kółko. Przekonał się o tym kilka tygodni później.

Kiedy dotarli na skraj przepaści, widok zapał im dech w piersiach. Kółko na mapie

charakteryzowało ogromną wyrwę w ziemi, która przypominała swoim kształtem owal. Pomimo wiecznej nocy, jaka panowała w pustce, czerń zionąca z trzewi przepaści była najciemniejszym elementem okolicy. Widok ten przypominał im wielkie morze. Ledwo mogli dostrzec ruiny drapaczy chmur znajdujących się po drugiej stronie. Kilkanaście wieżowców leżało zwalonych, wisząc nad przepaścią, a ich szkielety przypominały wyszczerbione mosty. Z pewnością wyrwa pochłonęła ogromną ilość betonowych konstrukcji. Wokół niej zamierał dźwięk. Każdy ruch, działanie traciło naturalnie towarzyszący mu odgłos. Kiedy wrzucili głaz w wielką paszczę dziury, ten nie wydał żadnego dźwięku podczas odbijania się o kamienne ściany. Nie słychać było również uderzenia o dno krateru. Pośród wszechogarniającej ciszy do uszu mężczyzn dobiegały ledwo słyszalne szepty, ciche niczym powiew wiatru, a czasami także stłumione krzyki. Jeden z nich był tak wyraźny i głośny, że Ortha opuścił ciało, aby przeszukać okolice. Niczego jednak nie znalazł.

Postanowili zrobić sobie kilkugodzinną przerwę na sen. Siedzieli w jednym z wielu szkieletów drapaczy chmur. Wieżowiec leżał na boku, a połowa jego długość wystawała nad przepaść. Mężczyźni uprzątnęli kawałki metalu i szkła, wznieśli małe ognisko i osłonili się przed chłodem. Nie rozmawiali ze sobą od kilku dni. Obecność wyrwy pognębiła ich nastrój, który i tak był już podły. Odzywali się do siebie zdawkowo, używając półsłówek i prostych komunikatów. Ortha wielokrotnie próbował przerwać tę ciszę, jednak Vourrin ani razu nie odpowiedział na jego zaczepki. Był nieobecny. Chodził zamyślony, patrząc się w dal, jakby szukając czegoś. Kiedy białowłosy zaczynał się denerwować, ten uśmiechał się tylko ciepło do niego i wracał do swoich myśli. W końcu, kiedy usiedli razem przy ognisku, aby spożyć posiłek, odezwał się.

- Już nie mogę się doczekać. - powiedział Vourrin żywo. - Zobaczę stare twarze, dom i swoją matkę. - zrobił przerwę. - O ile jeszcze żyje.
- Wiesz, że prawdopodobnie będziemy musieli wejść tam siłą? - Ortha wziął głęboki wdech.
- Oni się zmienili, i to diametralnie. Ta grupa mężczyzn z uczelni to byli ich zwiadowcy. Widocznie zapuścili się o wiele za daleko, jednak to byli ci sami ludzie. Widziałeś ich zachowanie. Gdyby twój ojciec żył, nigdy nie dopuściłby do tego.
- Moja matka zawsze powtarzała mi, że inność jest istotą ludzkości. Że to dzięki niej różnimy się od zwierząt. - przerwał mu. Vourrin mówił jakby sam do siebie, nieobecny, pograżony we własnych myślach. - Stawiała cię jako najlepszy dowód. Jako dzieci tak bardzo się różniliśmy. I to uważała za wyjątkowe. - poruszył niespokojnie oczami. - Byłeś dla niej cudem, dziełem natury. Ty i te twoje tatuaże. Stanowiłeś nierozwiązywalną zagadkę, którą znalazła podczas jednego z wypadów. A ja tak ci zazdrościłem. - chłopak skulił się, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. - Tak bardzo pożałowałem uwagi, jaką tobie poświęcała. A przecież nie byłeś jej rodowitym synem. Tak bardzo chciałem wyglądać, jak ty, wyróżniać się, być innym. Być tym, którego ona uważała za niespotykane zjawisko, coś wartego zainteresowania, a nie tylko zwykłym dzieckiem z czarnymi włosami. Jej dzieckiem. - Ortha spojrzął się na niego z niedowierzaniem. Metalowe łuski maski odbijały dziko tańczące płomienie. Oczy łucznika były nieobecne, lecz szeroko otwarte. Skulony przypominał chłopca, jakim kiedyś był. Z rozwianą czarną czupryną i oczami, które błyskały jak małe węgielki. - Całe życie spędziłem w twoim cieniu... - łucznik mówił teraz tak cicho, że Ortha musiał się wysilać, aby cokolwiek usłyszeć. W końcu białowłosy

popchnął go z całej siły, a Vourrin spojrzął się na niego osłupiały. - Przepraszam, zamyśliłem się... Będziemy uważać na nich, jakkolwiek by nie zmienili swojego zachowania. - powiedział i uśmiechnął się słabo. - Jestem zmęczony, chodźmy spać. - powiedział łucznik i nakrył się kocem. Ortha przygasił ognisko, tak aby lekko tliło się tylko kilka drewniaków. Po chwili zapadł w niespokojny sen.

Vourrin otworzył powoli oczy. Jego przyjaciel spał spokojnie, a on zdjął z siebie pled i wstał. Po upewnieniu się, że białowłose go nie słyszy, odszedł od niego. Ominął skruszoną ścianę i wyszedł na otwartą przestrzeń. Czerń pochłaniała horyzont, jednak kiedy obejrzał się za siebie mógł dostrzec malutki, jaśniejący punkcik. Był to obszar wyrwy, w której zasięgu był ratusz, teraz odległy o wiele mil i tygodni drogi. Łucznik zrobił kilka kroków, aby rozprostować nogi. Powietrze stało nienaruszone, zimno próbowało dostać się pod jego ubrania, a cisza omamiała umysł. Spojrzął się w kierunku krateru, którego czerń buchająca ze środka przypominała mu wielką nicość, która go pochłonie, jeżeli będzie zbyt zuchwały.

Ominął szerokim łukiem fragment budynku, w którym spał Ortha i zaczął wspinać się po stalowym truchle wieżowca. Belki konstrukcyjne były na tyle szerokie, aby mógł po nich przejść. Kroczył tak długo, aż dotarł na część wiszącą nad przepaścią. Tu stawiał stopy ostrożniej, czasami rozglądał się na boki, lecz dostrzegł tylko resztki szkła pozostałe w oknach. Doszedł do końca drogi. Tu metal kończył się powyginanym kikutem, a dalej była tylko przepaść. Chłopak przykucnął i wychylił się. Znajdował się prawie na środku wyrwy. Otaczała go wyłącznie wolna przestrzeń.

Patrzył się we wnętrze krateru, a myśli zalewały jego głowę. Zastanawiał się, co powie matce, jeżeli zobaczy ją po tylu latach. Zastanawiał się, czy pobiegnie ona najpierw do niego, czy do Orthy? Już kiedy byli mali, traktowała białowłosego jak tego jedyne syna, którym nigdy nie był. Jego też kochała, tylko nie okazywała tego w sposób tak wylewny, jak Orthcie. Zresztą była to dziwna kobieta. Surowa, ceniąca sobie inne wartości, rządząca męską ręką. Niepodobna do reszty matek, ale też dzięki temu na swój sposób wyjątkowa.

Nagle Vourrin zachwiał się i poleciałby do przodu, gdyby nie rura, której się złapał. Jego ciało wychyliło się niebezpiecznie nad przepaścią, a jemu samemu podskoczyło ciśnienie. Podciągnął się i wstał na nogi. Myślał nad tym, gdzie zatracił optymizm, który był jego nierozłącznym kompanem. Kiedy to się dokładnie stało? Nie mógł tego powiedzieć, jednak czuł, że było to związane z Orthą. Zresztą jak całe jego życie. Ta myśl zasmuciła go. Całe życie wiódł, idąc w ślad za swoim przyjacielem i wykonując to, co on. Mordował, kradł, oszukiwał. A, gdyby Ortha zniknął? Zmieniłoby się całe jego życie. Straciłby sens i cel, którego i tak nie posiadał, a jedynie podzielał ten białowłosego. Co stałoby się natomiast, gdyby to on zniknął? Pewnie nic. Ortha jest przyszłym bogiem, dla niego ludzkie życie jest podrzędną wartością, którą musi poświęcić. On ma swoje przeznaczenie, wie, co ma zrobić. A Vourrin? Po śmierci jego ciało nie zazna spokoju przez pakt, którego nawet osobiście nie zawarł. Czy tak miało się skończyć? Jego istnienie? Stał tak, pogrążony w smutku i bił się z myślami. Żal coraz bardziej ogarniał jego serce. Ile jeszcze będzie musiał wycierpieć? W końcu ktoś zabije go przypadkiem, tylko dlatego, że zna Orthę. Zostanie kolejnym zapomnianym ogniwiem, matka zatraci pamięć o nim. Czym będzie jego życie przez następne miesiące? Agonią człowieka nękanego przez duchy tych, których zabijał z zimną krwią. Łza spłynęła po jego policzku. Był cieniem dawnego siebie, duszą, która

została doszczętnie zniszczona przez ostatnie miesiące. Sumienie nękało go nieustannie, a mimo to szedł posłusznie śladami Orthy, próbując za nim nadążyć. Jednak niedługo nie będzie w stanie tego zrobić, a wtedy on zostawi go jak nieprzydatne narzędzie. Chłopak zachwał się niebezpiecznie. Czerń ziejąca z głębi wyrwy wyglądała tak kusząco. Otulała go, mąciła mu zmysły. Tak bardzo chciałby mieć jakąś wartość. Znaczyć coś w tym świecie, który zostanie niedługo zniszczony przez jego przyjaciela. Chwał się na krawędzi metalu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wstrząsnął nim szloch. Nie miał do czego wracać, nie miał czego budować, jego przyszłość była, stracona tak jak całe jego życie. Był tylko kolejnym, którego uderzenia serca odliczały sekundy do śmierci. Kolejnym, który zapomniał, jak to jest być szczęśliwym. Tym, który zatracił życie w zapomnieniu. Chłopak odwrócił głowę w kierunku miejsca, w którym spał Ortha. Po chwili zrobił krok do przodu, a ciemność pochwyciła go w swoje objęcia. Na zawsze.

Dwa czerwone punkciki świeciły się załamane pomiędzy wszechogarniającą czernią. Ortha siedział skulony pod ścianą. Po raz pierwszy w jego życiu, serce ogarnęło mu poczucie winy, a umysł zaćmił smutek.

Następnego dnia białowłosey siedział na wielkim głazie, nerwowo wyczekując. Spakował rzeczy swoje i Vourrina. Od wielu godzin słyszał cichy chrobot wydobywający się z wyrwy. W końcu na krawędzi krateru pojawiły się dwie białe ręce, a po chwili przed Orthą stanęła dusza, która przejęła ciało Vourrina.

- Długo kazałeś na ziebie czekać. - rzekł białowłosey oschle i zmarszczył brwi.
- Nie sądziłem, że ta dziura jest tak cholernie głęboka. - duch sapał ze zmęczenia, koszulkę miał przepoconą, a pod oczami sine wory. Podszedł do Orthy i pokazał mu końce palców, z których została krwawa miazga.
- Weź to ode mnie. - mesjasz odwrócił wzrok.
- Kiedy się zrosną? - zapytała dusza, dysząc ciężko. Palce miała obdarte ze skóry, paznokcie połamane, a w niektórych miejscach tkanka odsłaniała kości.
- Nie zrosną się. - rzekł błogo Ortha. Był zadowolony z cierpienia duszy.
- Jak to?! - skrzeknął Vourrin. - Nie zamierzam mieć miazgi zamiast palców.
- Nie zrosną się, dopóki nie zaczniesz pić krwi. - Ortha podniósł się i rzucił stworowi torbę należącą do Vourrina. - Reszty nie wiem i nie chcę wiedzieć.
- Skąd ja niby wezmę krew do cholery?! - zaczął rzucać głową na boki, lecz po chwili spojrzał się wygłodzonym wzrokiem na białowłosego.
- Jeżeli to zrobisz, odetnę ci głowę, a przed tym poćwiartuję ciało. - syknął Ortha. - Ruszaj się. - dodał i zaczął iść w kierunku, który wskazywała mapa. Duch po chwili podbiegł do niego, patrząc bezradnie na swoje palce.
- Nie martw się, niedługo będziesz miał wiele okazji do zaspokojenia pragnienia. - mruknął mesjasz.

Po kilku dniach natrafili na ślad grupy pochodzącej z ich rodzinnego obozu, a raczej z obozu Orthy, ponieważ prawdziwy Vourrin był martwy, a koło niego szła jego wydmuszka opanowana przez potępioną duszę. Od czasu kiedy łucznik popełnił samobójstwo, Ortha ani razu nie odważył się umrzeć. Bał się przejścia do świata umarłych oraz, tego, co może tam zobaczyć. Duch wytropił ślady butów poszukiwaczy, a kilka godzin później znalazł ich samych, idących w oddali. Obaj skryli się za budynkami, na tyle daleko, aby ludzie ich nie usłyszeli, ale dostatecznie blisko by nie stracić ich z oczu.

- To co teraz? - dusza wydawała się podekscytowana i wyszczerzyła kły w krzywym uśmiechu. Ortha cieszył się, że Vourrin ma na sobie gogle, inaczej widok twarzy potwora mógłby przyprawić go o mdłości.

- Będziemy ich śledzić, aż zaprowadzą nas do obozu. - szepnął Ortha. - Tak długo, ile to będzie potrzebne.

- Chyba żartujesz. - potwór wydawał się rozczarowany. - Nie możemy złapać ich i siłą zmusić do zaprowadzenia do obozu? Mogliby posłużyć jako nasze wtyki i wpuścić nas w noc, kiedy reszta będzie spać.

- Ci ludzie są za bardzo posłuszni tamtejszym rządzącym. Prędzej zabiją się aniżeli pomogą komuś z zewnątrz. - spojrzał się wymownie na duszę. - Nawet jeżeli ten ktoś, jest chodzącym trupem. - z gardła potwora wydobył się cichy rechot, który miał przypominać śmiech.

- Będzie ciekawie. - dusza śmiała się niskim, gardłowym śmiechem, który przypominał mu głos demona z piekieł.

Śledzili mężczyzn przez kilka dni. Znajdowali się już blisko obozu, jednak pewnego dnia zgubili ich trop. Ślady urywały się gwałtownie, jakby zwiadowcy wyparowali. Ortha kłął pod nosem ze złości, a dusza w ciele Vourrina biegała rozpaczliwie po okolicy, próbując odzyskać trop. W końcu przybiegła zziębnięta do białowłosego.

- Nie mogę nic znaleźć! - wydusił. - Przecież byliśmy ciągle za nimi! - złapał się za głowę i wychrypiął. - To niemożliwe!

- A jednak. - mruknął Ortha. - Do cholery, bardzo możliwe. - syknął i dał spojrzeć na mapę potworowi. Ten wyrwał mu ją z ręki i mrucał przez chwilę pod nosem.

- Kto dał ci tę mapę? - powiedział po chwili milczenia.

- Wyznawca. - stwór zaniósł się cichym rechotem.

- Ładnie cię zrobił, połowa budynków z tej okolicy już dawno zamieniła się w gruz, więc nie są żadnymi charakterystycznymi punktami. - pomachał kartką w powietrzu, po czym znowu zaczął rechotać. Ortha słyszał szelest gnieczonego papieru.

Nagle z prawej strony usłyszał chrzęst kamieni zgniatanych podeszwą buta. Naprężył ciało i przygotował się do ucieczki. Tak bardzo nie chciał przenosić się do świata umarłych. Przynajmniej nie teraz. Dusza prawdopodobnie również usłyszała niepokojące dźwięki.

- Indaery? - zapytał Ortha nie widząc niczego.

- Nie sądzę... - Vourrin wymamrotał cicho, obracając głowę gwałtownie i nasłuchując otoczenia. - Co do... - nie dokończył, a Ortha usłyszał chrupnięcie kości, kiedy kij bejsbolowy uderzył duszę w skroń. Vourrin zwałił się na ziemię, charcząc. Białowłose rzucił się w bok, aby uniknąć ukośnego cięcia nożem. Skoczył na nogi i uchylił się do tyłu, a nóż myśliwski przeciął powietrze tuż nad jego twarzą. Słyszał świst ostrza, czuł zapach potu agresora i słyszał, jak wali mu serce. Mężczyzna wznosił broń, aby wbić mu ją w bark, lecz Ortha zrobił piruet i uniknął ciosu. Złapał mężczyznę za łokieć i wykręcił go tak mocno, aż poczuł, jak kość łamie się, przebijając skórę zwiadowcy i ukazując się światu. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie, a chłopak uderzył go z całej siły kolaniem w brzuch. Agresor padł na ziemię i skulił się z bólu. Tymczasem dusza w ciele Vourrina nie chciała się tak łatwo poddać. Na wpół przytomna po mocnym uderzeniu kijem chwyciła się nogi człowieka, który ją uderzył i zaczęła ją gryźć ostrymi zębami. Mężczyzna próbował go odrzucić, jednak stwór dodatkowo wbił mu szpony w mięsień udowy, co było dodatkową

zaporą. Ciszę przerywały siarczyste przekleństwa. Ortha poruszył się niespokojnie, w oddali usłyszał głosy reszty bandy, którą śledzili. Biegł w ich kierunku, aby wspomóc swoich przyjaciół. Białowłosy rzucił się do ucieczki w przeciwnym kierunku. Kilku mężczyzn pobiegło za nim. Dzięki rękawicy mógł jako tako zorientować się w przestrzeni. Biegł najszybciej jak umiał, aż w końcu nie nadążał z rejestrowaniem otoczenia. Obrisy okolicy pojawiały się błyskawicznie i znikły, lecz nowe nie wytwarzały się tak szybko, jak on biegł. W pewnym momencie miał przed sobą wielką plamę czerni. Wtedy to potknął się o nadkruszony krawężnik i poleciał do przodu, szorując brzuchem po zwirowatym podłożu.

Kamyczki przecinały mu ubranie, a następnie skórę. Jednak po chwili skoczył ponownie i wpadł do ruin budynku, który znajdował się najbliżej. Biegł korytarzami, próbując znaleźć inną drogę ucieczki. Niektórzy zwiadowcy zaczęli doganiać go. Wbiegł na klatkę schodową i wciągnął się na górne piętro, ponieważ stopnie schodów były zawałone. Zaczął rozpaczliwie szukać jakiegoś przejścia. Miejsce było zagracone ogromną ilością biurek, starych krzesel oraz innych mebli, które dodatkowo spowalniały jego ucieczkę. Widocznie musiał wbiec do byłego biura. Kiedy odnalazł kawałek pustej przestrzeni, puścił się biegiem, lecz gdy skręcił w odnogę korytarza, uderzył twarzą w zardzewiały automat do kawy. Nos zaczął boleć go niemiłosiernie, a sama maszyna przewróciła się na bok, wnosząc w powietrze tumany pyłu. Zwiadowcy, usłyszawszy ten hałas, zaczęli krzyczeć do siebie komendy. Biegali z latarkami, jednak Ortha nie mógł zobaczyć ich blasku. Ominął maszynę i pobiegł w stronę czegoś, co wydawało mu się oknem. W duchu modlił się, aby za chwilę nie uderzył w betonową ścianę. Wpadł z rozpędem w szybę i roztrzaskał ją. Wśród potoku szkła spadł na małą uliczkę przy budynku, aby zneutralizować upadek przeturlał się przez lewe ramię. Jeden z mężczyzn stał na krawędzi piętra, nie wiedząc, czy skakać. Ortha zaciskał kurczowo powieki, aby małe okruszki szkła nie poraniły mu oczu. Przyszła pora, aby przeniósł się do świata umarłych. Zacisnął oczy jeszcze mocniej i poczuł jak cały ból odpływa, a jego ciało wypełnia nowa energia. Tatuże na jego ciele poruszyły się delikatnie.

Kiedy otworzył oczy, a w ciemności zaświeciły się dwa czerwone punkciki, zamiast uciec przed zwiadowcami, stanął jak wryty. Próbował się ruszyć, jednak był zbyt oszołomiony. Kilka kroków od niego, otoczona bladą poświatą rysowała się sylwetka jego przyjaciela. Oczywiście nie wyglądała tak jak Vourrin, jednak chłopak czuł, że to on. Podeszedł bliżej niego. Bał się spojrzeć mu w twarz, aby nie ujrzeć otwartych oczu duszy. Po chwili zrobił to. Podniósł wzrok na Vourrina i odetchnął z ulgą. Dusza chłopaka przymykała spokojnie oczy. Ortha uśmiechnął się pod nosem. Przynajmniej on zaznał spokoju. Jednak na jej twarzy nie rysowało się szczęście, a raczej zamyślenie, melancholia.

Białowłosy wydusił z zaciśniętego gardła niezrozumiałe słowo, a dusza poruszyła niespokojnie głowę. Nie chciała, aby mesjasz przerywał jej spokojny żywot. Mężczyźni napłynęły do oczu łzy. Tak bardzo żałował. Wiedział, że dało się tego uniknąć. Jednak on nie zdobył się na tak ludzkie uczucia, aby uratować łucznika. Pomimo jego wielkiej mocy, nie mógł uchronić przyjaciela od śmierci. Po chwili jego umysł zaczęła ogarniać ciemność.

Nogi uginały mu się pod ciężarem ciała, a głowa była ciężka, jakby wypełniona ołowiem. Zaczął osuwać się powoli na ziemię, jednak ktoś podtrzymał go i wyciągnął mu z szyi strzałkę napełnioną środkiem usypiającym. Ortha nie zamierzał walczyć. Oni zaprowadzą go do celu, tam, gdzie i tak musiałyby dostać się siłą. Poza tym był odporny na trucizny, nie na zwierzęce środki nasenne. Ocknął się, kiedy skórzana rękawica nabijana

ćwiekami przejechała po jego policzku, przy okazji rozcinając go. Chłopak poruszył niespokojnie głową i próbował okryć zmarznięte ciało rękoma, jednak te przywiązane były łańcuchami do dwóch słupków. Zimny wiatr owiał mu plecy, chociaż poczuł również ciepłe promienie słoneczne. Dlaczego ludzie zawsze go rozbierają?! Tak bardzo chcą zobaczyć go półnagiego czy może pooglądać sobie jego tatuaże, które były najokazalsze właśnie na torsie?

- Wstawaj, księżniczko. - krzyknął mężczyzna do jego ucha.

- Ciszej, do cholery... - mruknął. Mężczyzna nakrył jego twarz metalową maską, którą zawsze zakładał. „Bardzo dobrze” pomyślał Ortha i momentalnie umarł. Zobaczył mężczyznę, który go uderzył. Nie patrzył za długo na jego szczurzą twarz. Małe oczka, odstające oczy, coś na kształt rzadkiej brody okalającej szeroką szczękę. Co się tu porobiło przez ten cały czas? Gdyby ojciec łucznik nadal żył, to miejsce byłoby nową nadzieją na odrodzenie ludzkości. Lecz on był martwy, a obecna sytuacja coraz bardziej denerwował Orthę. Obrócił głowę i zobaczył ciało Vourrina, które szarpało się w kaftanie bezpieczeństwa. Dusza strzelała nerwowo oczami, próbując przegryźć materiał. Raz po raz jeden ze zwiadowców przywracał go do porządku silnym kopnięciem w brzuch. Ortha przechylił leniwie głowę w stronę przywódcy obozu.

- Nie żebym miał coś do ciebie. Moim zdaniem mógłbym cię wypuścić po małych torturach, lecz jest tu ktoś, kto bardzo chciałby cię zobaczyć. - mężczyzna musiał pochylić się, aby spojrzeć klęczącemu Orthcie w oczy. Wyprostował się, a po chwili na plac znajdujący się pośród osiedla bloków mieszkalnych weszła matka Vourrina. Kobieta niezwykle zmieniła się przez te lata. Jej włosy pozostały złociste, lecz twarz miała pomarszczoną, smutną, a sylwetkę wychudzoną, żylastą. Nie przypominała wysportowanej siebie sprzed dwunastu lat. Tylko hardy wyraz twarzy pozostał taki sam. Była to jedyna rzecz, która oprócz włosów pozostała niezmienną. Ortha zdziwił się szczerze. Nie mógł przypomnieć sobie, ile kobieta ma lat, lecz nie była to jakaś ogromna liczba. Jej wygląd był raczej skutkiem przeżytych zdarzeń, a nie upływających dni. Podeszła do Orthy i przysunęła twarz do jego twarzy tak blisko, że chłopak poczuł zapach alkoholu wydobywający się z jej ust.

- Gdzie... jest... mój... syn? - wypowiedziała każde słowo powoli, jakby Ortha miał nie zrozumieć tego, co powiedziała. Chłopak zmrużył oczy i z lekceważącym uśmiechem kiwnął głową w stronę stwora, który szarpał się w kaftanie.

- Przywitaj się. - syknął.

Kobieta rzuciła się w stronę byłego syna i poczęła szlochać. Chciała dotknąć twarzy Vourrina, jednak dusza odsuwała się od niej przerażona. Nie rozumiała, kto to jest i miała do tego prawo, ponieważ kiedy Ortha przywołał ją, już kilka lat znajdowali się na wygnaniu.

- Co ty mu zrobiłaś?! - krzyczała, zalewając się łzami. W końcu dorwała się do Vourrina i zaczęła obejmować jego głowę ramionami, głaszcząc go po włosach. Dusza patrzyła się szeroko otwartymi oczami przerażona to na kobietę, to na Orthę. Czarne żyłki w oku rozszerzyły się, źrenica przybrała wygląd cienkiej kreseczki, jednak nie było to oznaką wzruszenia a jedynie przyływem adrenaliny.

- Co ty mu zrobiłaś?! - kobieta powtórzyła pytanie. Jeden ze zwiadowców próbował odciągnąć ją od ciała Vourrina, lecz kiedy kobieta stawiała znaczący opór, szarpała ją siłą.

Matka łucznika skuliła się i przyłgnęła do przywódcy. „I wszystko jasne” pomyślał Ortha.
- Zabijcie go... To czarownik, diabeł, demon! - mamrotała kobieta, a język plątał jej się.
- Zdecyduj się na coś. - rzekł Ortha beztróskim głosem przytłumionym przez maskę.

Nagle od tyłu podeszło do niego dwóch mężczyzn. Chłopak próbował wykręcić głowę w ich kierunku, jednak nie udało mu się. Po chwili zaczęli okładać go i bić. Jeden z nich miał zwykły kij bejsbolowy, lecz drugi dzierżył coś na kształt morgenszternu, czyli maczugi nabijanej metalowymi kolcami. O ile po zwykłym uderzeniu kijem na skórze pojawiał się fioletowy siniak, tak morgensztern rozrywał skórę, a czasami wrywał kawałek ciała, rany natomiast krwawiły obficie. Tego rodzaju broń mężczyzna używał rzadziej i uderzył go tylko dwa razy. Pierwszy raz trafił go bark, a krew zalała Orthę plecy i klatkę piersiową. Następne trafienie powędrowało w żebra i odebrało mu dech w piersiach. Ból był tak silny, że poczuł go nawet w świecie umarłych. Dusza zamieszkująca ciało Vourrina również go poczuła.

Cała ta sytuacja zaczęła nudzić białowłosego. Ludzie patrzyli się z przerażeniem w oczach na krwawiące ciało Orthy. Przywódca stał niewzruszony, a matka łucznika uśmiechała się słabo widocznie zadowolona z jego cierpienia. Głupia nie wiedziała, że on nie czuje bólu w świecie umarłych. Ortha pociągnął łańcuchy, aby sprawdzić, jak dobrze się trzymają. Były bardzo głęboko wbite w ziemię, więc jedynym wyjściem było zerwanie ich. Łatwa robota. Białowłose skupił się przez chwilę, a tatuaże na jego ciele zaczęły poruszać się i splatać między sobą. Czas zaczerpnąć mocy, przed którą tak się wzbraniał. Chłopak zaczął napinać z wielką łatwością metalowy łańcuch. Ten po chwili pękł, a mężczyźni bijący go odsunęli się zdziwieni. Ten z maczugą zamachnął się na niego brawurowo, jednak Ortha złapał broń i jednym sprawnym uderzeniem roztrzaskał głowę mężczyzny. Drugi agresor upadł do tyłu, jednak błyskawicznie wstał i wepchnął się w tłum ludzi otaczających ich kołem. Białowłose rozprostował ramiona, by trochę się rozruszać. Matka łucznika ożywiła się, a na jej twarz nabrała wyrazu z wątpienia. Chłopak ruszył w jej stronę.

- Ani mi się waź! - krzyknął szczerowaty przywódca i zastąpił mu drogę. - Chyba, chłoptasiu, nie myślisz, że... - nie dokończył, ponieważ Ortha chwycił go za głowę, jednym szybkim ruchem zrzucił sobie z twarzy maskę i spojrzał się czerwonymi ślepiami prosto w jego oczy. Mężczyzna zeszytniał momentalnie, po chwili z ust popłynęła mu krew, a z gardła wydobył się cichy bulgot. Wtedy to chłopak puścił go i pozwolił mu odejść w agonii. Podeszedł do Vourrina i rozerwał materiał. Uwolniona dusza zaryczała triumfalnie i poczęła siać zamęt. Rzuciła się na pierwszych lepszych ludzi, którym rozerwała gardła pazurami i zaczęła chleptać krew. Kiedy zaspokoila już pragnienie, ruszyła w stronę reszty mieszkańców, którzy rozpiechli się po całym obozie. Zabijała ich ot tak. Dla zabawy.

Ortha poszturchał czubkiem buta ciało mężczyzny, który umierał w mękach. Nagle usłyszał świst powietrza i jedną ręką złapał kij, który wycelowany był w jego głowę. Trzymała go matka Vourrina, patrząc się dziko w bok. Nie była tak głupia, aby uchwycić jego wzrok. Przynajmniej nie teraz. Ortha złamał kij, a ona opadła bezwładnie na kolana. Zniosła się histerycznym płaczem, jaki może wydać z siebie tylko matka na wieść o śmierci własnego dziecka.

- Wszyscy jesteście tacy sami. - zaczął powoli Ortha. - Z zewnątrz piękni, sprawiedliwi. Inni od tych, których potępiacie. Wy, ludzie, wywyższacie się nad złodziejami, mordercami, traktując ich jak członków gorszej kategorii, a tak naprawdę sami nimi jesteście. Mrok,

który śpi głęboko w was, tylko czeka, aż pozwolicie mu się wydostać i zapanować nad waszym umysłem. - chłopak przykucnął przy kobiecie. - I nie macie nic przeciwko temu. Zanika wasze poczucie sprawiedliwości, wasza mentalność, kultura. Stajecie się zwierzętami. Niczym więcej. - kobieta zasłaniała sobie twarz dłońmi. - A to wszystko pod wpływem emocji. - Ortha przechylił głowę, świdrując kobietę oczami. Chciał złamać jej wolę, sprawić, aby spojrzała mu się w oczy.

- Co mu się stało? - powiedziała słabo.

- Długo by opowiadać. - skwitował chłopak i wzruszył ramionami.

- Czy on... - kobietą wstrząsnęła nagła fala płaczu. Białowłosy słyszał w oddali krzyki ludzi mordowanych przez ciało jej syna.

- Nie martw się. - podniósł się z kucków. - Otrzyj łzy. Stań się znowu kobietą, która mnie uratowała i która zasługiwała na mój szacunek. - matka łucznika nie słuchała go. Ton głosu Orthy był zimny i obojętny. - Twój syn jest teraz w lepszym miejscu. Wierz mi. - kobieta pociągnęła kilka razy nosem i zaczęła wstawać. Ortha wyminął ją i stanął do niej plecami, aby w końcu mogła podnieść wzrok. - Całun, który mi zabrałaś. Gdzie on jest? - zapytał. Kobieta wskazała palcem dom, w którym niegdyś mieszkali. Chłopak zaczął iść w danym kierunku, jednak zatrzymał się po kilku krokach.

- Nie lękaj się! - krzyknął. - Niedługo do niego dołączysz. - wziął oddech. - Wasz koniec jest bliski.

Wpadł do pokoju i zaczął przeszukiwać wszystkie miejsca, w których mógł być schowany całun. Rozrzucał ubrania, wywracał meble, a po chwili nad dnem jednej z szafek znalazł go. Upragnioną, wyczekiwaną rzecz, bez której nie wypełni swojego przeznaczenia. Potarł palcami kawałek materiału. Był delikatny, jednak dało się wyczuć zdobienia wyszyte na nim. Kiedy kierował się do wyjścia, na biurku znalazł stare, pożółkłe zdjęcie oprawione w ramkę. Szkło rozbił pięścią, fotografię, która przedstawiała jego i Vourrina, gdy byli małymi szczeniakami, zgiął i schował do tylnej kieszeni spodni. Po kilku minutach znalazł się na placu. Dusza czekała tam na niego, z błogim uśmiechem szczerząc kły. Była unurzana w krwi, lecz widocznie taki stan rzeczy jej odpowiadał.

- Znalazłeś? - zapytał stwór.

- Tak... - mruknął Ortha i zamyślił się.

Po chwili obaj skierowali się do głównego wyjścia przez mur okalający obóz. Nie interesowały ich łupy, broń czy pożywienie. Wiedzieli, że niedługo pojawią się tu wyznawcy i splądrują to miejsce. Kiedy Ortha przecisnął się między ciężkimi betonowymi drzwiami, przywitał go wesóły głos Ditmasa.

- Miło cię znowu widzieć, panie. - uśmiechnął się szeroko. Za jego plecami stała kilkunastoosobowa grupa wyznawców dzierżących przeróżne bronie. Wszyscy byli ubrani inaczej niż ratuszu. Mieli na sobie bardziej odpowiednie ubrania. Kurtki, wojskowe spodnie, a nie habity. Tylko Ditmas chciał zachować się tradycyjnie i pod kamizelką kuloodporną miał czarną, bardzo luźną koszulkę, która z uporem chciała przypominać jego dawne ubranie. Chłopak machnął ręką, a reszta grupy wyminęła Orthę i weszła do obozu.

- Zdobyłeś całun, jak mniemam? - podszedł spokojnym krokiem do mężczyzny, a po chwili zmierzył wzrokiem ciało Vourrina. - Ty chyba wyglądałeś inaczej. - zmarszczył brwi.

- Długa historia. - burknął białowłosy, a dusza uśmiechnęła się szyderczo.

- Zatem co teraz? Czy życzysz, sobie, panie powrócić do bazy i zregenerować siły? - rzekł

wyznawca, krzyżując ręce na piersi.

- Nie, chce to mieć już za sobą. - obrócił się w stronę obozu, który przeszukiwali wyznawcy.

- Najlepiej by było, gdybyśmy wyruszyli od razu. - mruknął.

- Jak sobie życzysz, jednak musimy zebrać trochę pożywienia. Niewiele mogliśmy wziąć ze sobą, ponieważ w ratuszu zostało wielu ludzi.

- Wiesz, gdzie mam się skierować? - przerwał mu Ortha. Dusza kopnęła jakiś kamyk znudzona i mruczając pod nosem, poszła w losowym kierunku. Mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem.

- Udało mi się znaleźć fragmenty w księdze, które dotyczyły obrządku rytuału. - wyjął z kieszeni pociętą kartkę. - Mówi ona o miejscu, w którym wyznawano twojego poprzednika. W katedrze, która znajduje się na krańcu obecnie nam znanego świata, jest ukryta tajemnica.

- Kraniec świata?

- Wnioskując po tym, jak ograniczone są nasze możliwości transportu oraz zdolność poznawania dalszych obszarów. Nasz kraniec świata wyznaczają obrzeża miasta, w którym się znajdujemy. - Ditmas wzruszył ramionami. Gwizdnął głośno, po chwili zza betonowych drzwi wyłoniła się reszta bandy z torbami albo plecakami wypełnionymi przydatnymi rzeczami. - Ruszamy! - krzyknął.

Spędzili na wędrówce kilka dni. Z każdym przebytym kilometrem temperatura obniżała się, a otoczenie pogrążało się w coraz gęstszej czerni. Kilka razy zdarzyło się, że musieli zapalić pochodnie, ponieważ nie mogli nic zobaczyć. W końcu postanowili zatrzymać się w budynku warsztatu samochodowego, który jako jedyny był w stanie ochronić ich od wiatru i zimna. Grupa rozeszła się, aby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma żadnych Indaerów. Ditmas towarzyszył Orthcie, ponieważ dusza przepadła gdzieś kilka dni temu. Białowłosey szedł przodem, a w zupełnej ciemności zza szkiełek maski dało się dostrzec słaby blask jego oczu. Zeszli do czegoś, co wyglądało na podziemny garaż. Dimtas wyjął latarkę, zasilaną światłem słonecznym i poświecił nią po suficie. W pewnym momencie skierował snop światła w jego róg.

- Mieli tu coś na kształt generatora prądu. - pomachał latarką po pomieszczeniu. - Jeżeli działa na benzynę, to byłbym w stanie go uruchomić. - dodał zamyślony.

- Masz benzynę ze sobą? - Ortha rozejrzał się po pomieszczeniu. Pod ścianami stały wielkie pudła, beczki i plastikowe skrzynie. W rogu pomieszczenia, pod stertą papierów i tynku znajdował się wielki, bliżej nieokreślony kształt. Już zamierzał pójść w jego kierunku, kiedy nagle Ditmas krzyknął triumfalnie. Po chwili Ortha usłyszał krzątanie chłopaka i ciche przekleństwa, a także mechaniczny dźwięk pokręteł i rzucanych kabli. Nagle lampy na suficie zaczęły mrugać dziko, lecz po kilku sekundach zaświeciły się równomiernym światłem. Wyznawca wrócił z pobliskiego pomieszczenia dumny ze swojej roboty. Ręce miał ubrudzone jakimś smarem, a kiedy niczego nieświadomy otarł wierzchem dłoni twarz, zostawił na niej smugę.

- Musimy się tu rozejrzeć, w byłych warsztatach można znaleźć bardzo ciekawe relikty dawnego świata. - zatarł ręce podniecony na tę myśl. Nagle z zewnątrz dobiegł ich dziki krzyk człowieka. Wybiegli z podziemnego garażu. Ditmas zdjął z pleców karabin snajperski, a Ortha przygotował się do walki. Kiedy dotarli do źródła krzyków, ujrzeli dwie postaci tarzające się po piaszczystym podłożu. Wyznawcy otoczyli walczących, celując do nich z broni. Mężczyźni przestali się tarzać i zamarli, siłując się na ręce. Jednak dusza był

silniejsza od wyznawcy i kiedy wykręciła mu nadgarstki, błyskawicznym ruchem dopadła szyi mężczyzny. Zaciśnięła dłonie, a mężczyzna próbował uderzyć ją w twarz, jednak ta uchylała się co chwilę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął Ortha do Vourrina i przepchnął się pomiędzy ludźmi. - Puść go!

- Nie! - wrzasnęła dusza i z zawziętością zaczęła dusić mężczyznę, którego przygniotła do ziemi. Ten zaczął sinieć na twarzy. Ortha podszedł do Vourrina szybkim krokiem i z całej siły kopnął go w bok żeber. Dusza zawyla żałośnie i padła na bok. Duszony wyznawca wciągnął szybko powietrze i zaczął kasłać gwałtownie.

- On zabrał mi moje trofea! - zawodził stwór, rozmasowując ciało, w miejscu, gdzie trafił go butem białowłosa.

- Jakie trofea? Co ty bredzisz?!

- Przyniósł dwa szczury w początkowym stanie rozkładu. - wychrypiał mężczyzna i podniósł się z ziemi.

- No właśnie...! - jęknęła dusza przepełniona żalem. Ditmas zaczął śmiać się cicho.

- Opanuj się! - Ortha podszedł do niego, złapał go za ubranie i krzyknął mu do ucha. Vourrin wyszczerzył kły złowrogo.

- Proponuję, aby wszyscy się opanowali. - rzekł pokojowo Ditmas. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni, przebyliśmy długą drogę. Skoro w pobliżu nie ma żadnego zagrożenia... - obrócił szybko głowę w stronę mężczyzny stojącego na uboczu. Ten kiwnął potakująco głową. - to sądzę, że możemy udać się na zasłużony odpoczynek. - dokończył. Odpowiedział mu pomruk, który rozszedł się pomiędzy resztą grupy. Chłopak skrzywił się i westchnął. Razem z Orthą wrócili do garażu. Po wyznaczeniu wart mieli kilka godzin snu. Postanowili wykorzystać tę szansę od razu. Rozłożyli sobie prowizoryczne pośłania i poszli spać. Orthę zbudził dwie godziny później cichy odgłos krzątania. Otworzył oczy i ręką wymacał maskę. Założył ją i umarł. Ostre światło lamp zakuło go w oczy. Obrócił się i zobaczył Ditmasa, który przerzucał kartony przykrywające duży przedmiot. Białowłosa podszedł do niego i bez słowa pomógł mu w pracy. Kiedy podłogę pokrywała gruba warstwa wszystkiego, co nadaje się do przykrycia, Ortha jednym szarpnięciem zrzucił pled. Ich oczom ukazał się sportowy samochód zachowany w bardzo dobrym stanie. Obu mężczyznom głos utknął w gardle. Pojazd odznaczał się drapieżną linią. Był niski jednak wyposażony w szeroko rozstawione opony. Przednie światła przypominały oczy wykrzywione we wściekłym grymasie. Linie boczne wiły się i urywały gwałtownie, aby jak najbardziej zwiększyć aerodynamiczność pojazdu. Lakier samochodu był lodowato biały, jednak kiedy światło słabło, przybierał bladoniebieski kolor. Ditmas rzucił się w kierunku auta. Zaczął gorączkowo szarpać za klamkę, a kiedy ta puściła, wpadł do środka samochodu jak huragan. Ortha również zbliżył się do pojazdu. Był ciekawy jego mechaniki.

- Nie ma kluczyków. - mruknął wyznawca. - Ale... to... nic... - powiedział i po chwili dało się słyszeć trzask łamanego plastiku.

- Zgłupiałeś? Chcesz zniszczyć tak luksusowy samochód? - syknął Ortha i próbował wyciągnąć chłopaka z fotela kierowcy, lecz ten chwycił się kierownicy i przywarł do niej.

- Wiem, co robię! Zdajesz sobie sprawę, co będzie, jeżeli uda mi się odpalić ten samochód?

- język plątał mu się, a serce waliło jak oszalałe. Po chwili wypadł ze środka samochodu i zaczął siłować się z maską. Po chwili otworzył ją delikatnie, a przed oczami objawiły mu

się wnętrzości samochodu. Ortha zajął miejsce kierowcy i pogładził dłonią powierzchnię fotela, który obity był niezwykle delikatną, śnieżnobiałą skórą. Ditmas pobiegł do szaf znajdujących się pod ścianami pomieszczenia i zaczął wyciągać z nich przeróżne narzędzia. Wrócił do samochodu i rzucił to wszystko obok auta. Razem z Orthą wypchnęli samochód na środek garażu, aby mieć do niego łatwiejszy dostęp. Ditmas wsunął się pod spód pojazdu i zaczął coś grzebać przy nim. Ortha nie miał ochoty na zabawę w mechanika. Usiadł pod ścianą, a jego głowę zaprzętały myśli związane z nadchodzącymi dniami. Nagle Ditmas leżąc na deskorolce, wysunął się spod samochodu. W dłoniach trzymał duży sześcienny przedmiot. Obracał go w dłoniach, zaciekawiony, do czego może służyć.

- Akumulator. - wyjaśnił Ortha.

- Nie znam tego urządzenia. - poprawił okulary, które miał na nosie. - W starych podręcznikach, które udało mi się ocalić, były co prawda ogniwa, które zasilają samochody, jednak wszystkie były elektryczne i wyglądały kompletnie inaczej. - podrzucił przedmiot. - Ten „akumulator” pochodzi widocznie z jeszcze dawniejszych czasów. - mruknął zamyślony.

Ortha miał przeczucie, że coś jest nie tak. Został obdarzony w pamięć o dawnych czasach, nawet tych najstarszych. Tam ludzie używali tego typu urządzeń, jednak wiązały się one z pewnym niebezpieczeństwem. Nie mógł przypomnieć sobie z jakim. Zamknął oczy i pochylił głowę, aby lepiej się skupić. Nagle Ditmas przewrócił akumulator w dłoniach, a z dotąd niewidocznej dziury chlusnął mu na twarz kwas siarkowy. Krzyk wypełnił pomieszczenie. Chłopak rzucił w bok urządzenie i chwycił się za twarz. Ortha podbiegł do niego, jednak nie wiedział, co zrobić w takich sytuacjach. Wyznawca podniósł się na kolana i pochylił głowę, aby część kwasu skapnęła z jego twarzy razem z łzami. Trząśnięcie, rozpaczliwie powstrzymując się od krzyku.

- Woda... plecak. - wydusił i przygryzł rękę, aby nie wrzeszczeć pod wpływem nowej fali bólu. Białowłosy rzucił się kierunku toreb. Po chwili wrócił z manierką wody, a Ditmas wyrwał mu ją i wylał całą zawartość na swoją twarz. Po upłygnięciu kilku minut upuścił ją i objąwszy się ramionami, zaczął się kiwać w przód i tył, aby opanować drgawki. Oczy miał szeroko otwarte i całe, tylko dzięki temu, że okulary zatrzymały kwas. O reszcie twarzy nie można było powiedzieć tego samego. Skóra była spalona do żywego mięsa. Krew sączyła się z tkanek, na których zaczęły pojawiać się małe pęcherzyki z płynem. Po szyi chłopaka popłynęło kilka kropel posoki. Skóra z lewego policzka i części nosa zeszała, całkowicie odsłaniając czerwone mięso. Reszta twarzy była również w opłakanym stanie. Trudno było znaleźć na niej niespalone kwasem miejsce. Chłopak podreptał na czworaka w stronę swojego plecaka. Wyjął z niego grube zawiniątko bandaży i zaczął obwiązywać sobie nimi twarz. Ręce drżały mu, lecz zdołał dokończyć robotę. Następnie padł na plecy, dysząc ciężko. Biały materiał oplatał całą głowę, pozostawiając tylko dwie dziury, przez które patrzyły się bystre, lecz przepelnione cierpieniem oczy.

- Wszystko dobrze? - zapytał Ortha, nie wiedząc, jak zareagować. Ditmas prychnął prześmiewczo i jęknął boleśnie, a z oczu popłynęły mu łzy. Nie odpowiedział.

- To może pójdziemy spać? - wyznawca pokazał mu kciuk uniesiony w górę. Białowłosy rzucił na płamę kwasu losową szmatkę, która zaczęła cicho skwierczeć. Popatrzył się na nią przez chwilę, po czym podszedł po koc i przykrył nim towarzysza, który leżał na plecach, nie mając zamiaru się ruszyć. Wodził tylko za nim wzrokiem, obserwując jego ruchy. Po

chwili zamknął oczy i zaczął miarowo oddychać, a Ortha naciągnął na głowę kaptur i zwinął się w kłębek pod ścianą.

Obudził się kilka godzin później, kiedy przyszli po niego wyznawcy. Oznajmili, że przyszła pora na dalszą wędrówkę. Widocznie nie widzieli jeszcze Ditmasa, ponieważ zachowywali się normalnie, wręcz swobodnie. Ortha również go nie widział, ponieważ kiedy się obudził na ziemi leżał tylko pogięty koc. Postanowił go poszukać, zważywszy na to, co mu się przytrafiło. Zajrzał do bocznego pomieszczenia, w którym buczał cicho generator, dławiąc się co chwilę, co było oznaką kończącego się paliwa. Wyszedł na korytarz i miał zamiar wyjść z piwnicy, jednak kiedy szedł w kierunku schodów, po lewej stronie napotkał uchylone drzwi, prowadzące do magazynu. Wsunął się do pomieszczenia, które było pochłonięte w ciemności. Ominął kilka regałów wypełnionych pustymi pudłami, kilka metrów przed nim zobaczył wąły snop światła latarki. Poszedł szybkim krokiem w jej kierunku i ujrzał Ditmasa siedzącego bez życia pod ścianą. Chłopak w jednej ręce trzymał duży kawałek lustra, a drugą kurczowo ścisnął chirurgiczny skalpel. Szyję obleczoną miał zakrwawionymi bandażami. Chłopak odwrócił twarz w jego stronę i uśmiechnął się lekko. Do twarzy miał przyszytą nierównym szwem skórę. Pokrywała ona cały obszar spalonego mięsa, które zostało mu po poparzeniu, zostawiając trochę oparzonej tkanki na oczodołach. Poza tym cały owal twarzy z wyjątkiem dużych dziur okalających oczodoły pokrywała mu zdrowa ludzka skóra. Pytanie tylko-czyją? Odpowiedz na to pytanie znalazł kilka metrów dalej, gdzie w kałuży krwi leżał właściciel jego nowej twarzy. Teraz on pozbawiony skóry. Ditmas zachichotał cicho i zaczął przewiązywać sobie twarz bandażem. Zrobił to niedbale, w niektórych miejscach dało dostrzec się grube szwy łączące nową twarz ze skórą głowy. Kiedy skończył, popatrzył się na Orthę. Ten westchnął, podszedł do niego i próbował podnieść go za ramię, jednak chłopak zrobił jeden chwiejny krok i upadł na kolana. Kolejne próby postawienia go do pionu kończyły się tylko chwiejnymi upadkami. W końcu Ortha przerzucił sobie chłopaka przez bark, a wychodząc, kopnął szklaną butelkę. Zatrzymał się gwałtownie i odprowadził wzrokiem toczące się szkło. Kiedy przyjrzał się dokładniej, pod jednym z regałów leżało kilka identycznych, opróżnionych z wysokoprocentowego alkoholu. Białowłose wyrócił oczami, nie zwracając sobie głowy, czy wyznawca wykorzystał spirytus do dezynfekcji, czy do czegoś innego.

Kiedy wyszedł z nim przed budynek, wyznawcy spojrzeli się na niego zdziwieni. Ortha położył powoli Ditmasa na ziemi, który zaczął patrzeć się na wszystkich wesołym wzrokiem. Mężczyźni spojrzeli się podejrzliwie na mesjasza. Ten zagestykulował niepewnie, próbując wyjaśnić wszystko, lecz po chwili machnął tylko ręką przegrany.

- Długo by gadać. - burknął. Po chwili usłyszał świst powietrza, a gwałtowny podmuch zimnego wiatru smagnał go po ciele. Na dłoniach poczuł ostry piasek, który niósł ze sobą wichur. Ditmas skrył głowę w ramionach, widocznie zachowawszy w pewnym stopniu trzeźwe myślenie.

- Co teraz? - spytał się jeden z wyznawców. Wiatr wzmagął się. Ditmas zacisnął powieki, aby piasek nie dostał mu się do oczu.

- Zabierzcie go to ratusza. Nie może kontynuować wędrówki. - Nikt nie sprzeciwił mu się. Wszyscy widzieli, w jakim chłopak był w stanie. Kiwnęli potakująco głową. Ditmas, który siedział na ziemi, zaczął machać rękoma, aby wyrazić swój sprzeciw. Jeden z wyznawców, ten, który był najlepiej zbudowany, podszedł do chłopaka, aby go zabrać.

Kiedy podszedł do niego, Ditmas próbował kopnąć go, lecz ten złapał jego nogę i zaczął ciągnąć kilka metrów po żwirowym podłożu. W końcu jednym szarpnięciem podniósł go, a chłopak stanął chwiejnie na nogach. Ortha podszedł do niego i przykrył mu twarz swoją maską. Metal chronił od teraz chłopaka przed piaskiem, który niósł dla niego niebezpieczeństwo zakażenia ran. Wszyscy spuścili wzrok, aby przypadkiem nie spojrzeć Orthcie w oczy, lecz ten powrócił po chwili na ziemię. Grupa podzieliła się, jedna część miała odprowadzić Ditmasa do ratusza i tam zostać, a Ortha w towarzystwie duszy i trzech mężczyzn miał znaleźć katedrę i zakończyć to wszystko. Kiedy wyznawcy odchodzili z drogą powrotną, chłopak szarpał się, a kiedy najsilniejszy mężczyzna potrząsnął nim z niesłychaną siłą, ten wydał głośny pomruk niezadowolenia.

Do świątyni dotarli kilka dni później. Trzech wyznawców poszło przodem. Stańli, patrząc się na okazałą budowlę, która musiała mieć około tysiąc lat. Ortha dał szybki znak duszy. Po chwili zaszedł jednego mężczyznę od tyłu i jednym ruchem poderżnął mu gardło. Pozostałą dwójką zajął się stwór.

- Możesz wyjaśnić mi, po co to właściwie zrobiliśmy? - wychrypiał Vourrin.

- Nie chcę mieć publiki. - mruknął Ortha, a stwór wybuchł śmiechem. Mesjasz zmarszczył brwi i spojrzał się z oburzeniem na duszę. - Ciebie też się pozbędę, jeżeli będziesz mi przeszkadzać. - dodał ostro.

Zbliżyli się do kościoła. Wielkie, mosiężne drzwi sprawiały wrażenie niedostępnych, strzeliste wieże górowały nad okolicznymi budynkami, a gargulce, które przycupnęły na zdobionych cokółach, łypały na nich kamiennymi ślepiami. Ortha szarpnął skrzydło drzwi.

Otworzyło się, jednak rozchylić je było niezwykle trudno, ponieważ dół zaryty był w piachu. Dusza pomogła mu po chwili gapienia się i razem zdołali na tyle rozsunąć drzwi, aby wślizgnąć się do środka. Kiedy kroczyli środkiem, nozdrza wypełniał im zapach stęchlizny oraz starego papieru. Mijali połamane ławy, pod ich butami chrzęściło szkło z rozbitych witraży. Ortha czuł, jak jakaś energia ciągnie go w stronę głównego ołtarza. Kiedy wszedł na podwyższenie, przeniósł się do świata umarłych, aby móc coś zobaczyć.

Wspiął się na marmurowy ołtarz i przyłożył dłonie do ogromnego, nieczytelnego teraz malowidła. Czuł ogromny napływ energii, która wołała go z oddali. Poruszał rękoma, aby znaleźć ukryte przejście. Kiedy zbliżył dłoń do grubej, połączanej ramy obrazu, poczuł na skórze lekki powiew powietrza. Złapał ramę oburącz i pociągnął ją z całej siły. Drewno pękło, a chłopak rzucił je za siebie. Po chwili oderwał resztę obramowania. Ciąg powietrza nasilił się. Zdecydowanymi ruchami zaczął zdzierać malowidło, które niegdyś było uważane za bardzo wartościowe. Obecnie było tylko przegniłym płótnem, śladem pozostałym po dawnej religii. Kiedy wyrwał w płótnie dużą dziurę, jego oczom ukazało się kilka desek przybitych gwoździami. Ortha wyjął z pochwy nóż i począł podważać metalowe mocowania. Po kilku minutach ostatnia ze starych desek padła na podłogę z charakterystycznym dźwiękiem. Białowłosey czuł teraz wiatr bardzo wyraźnie. Pod deskami, w granitowej ścianie znajdowały się małe kamienne drzwiczki, grube na kilkadziesiąt centymetrów. Ortha pchnął je z całej siły, a te leniwie cofnęły się. Powietrze buchnęło mu w twarz, niosąc ze sobą zapach wilgoci i śmierci. Chłopak spojrzał w ziejącą czarną dziurę i czuł, jak tajemnicza moc wzywa go do środka. Zrobił krok do przodu, schylił się, aby zmieścić się w malutkim otworze i zeskoczył kilka metrów w dół. Dusza po chwili krzątający uczyniła tak samo. Nie musieli zapalać żadnego światła. Oboje widzieli na tyle

dobrze w ciemnościach, aby poruszać się w labiryncie korytarzy bez problemów. Mesjasz szedł wiedziony instynktem, a pod podszewkami butów chrzęściły mu czaszki i kości. W końcu weszli do obszernego pomieszczenia, którego strop podpierały postaci rodem z najgorszych koszmarów. Zdeformowane ciała, pyski wykrzywione w grymasach agonii, ciała, na których wyryto dłutem przeróżne runy. Ortha poczuł, że serce zaczyna bić mu coraz szybciej. Wszedł na środek krypty i stanął pośród podwyższenia w kształcie wielokąta. W jego powierzchni wyryte były setki kanalików, które łączyły się ze sobą i opadały na niższe warstwy kamienia. Więc to tu wszystko miało się zakończyć... Nagle chłopak ujrzał na końcu krypty duży głaz. Podeszedł do niego, a wysuszona ręka chwyciła go błyskawicznie za koszulkę. To, co pierwotnie miało być kamieniem, okazało się starcem, który przypominał żywą mumię. Miał kilkaset lat, trwał tu w letargu od początku wielkiej gorączki, cierpliwie wyczekując nadejścia mesjasza, a teraz ten stał przed nim, patrząc się na niego oszołomiony. Starzec obrócił się w jego stronę. Był niski, niezwykle garbaty. Pod cienką szatą rysowały się kręgi kręgosłupa powyginane w niezwykle sposób. Ciało miał wychudzone, można by powiedzieć, że stworzone tylko z kości i skóry, która opinała jego szkielet. Długie, szponiaste dłonie miał przyozdobione ostrymi, haczykowatymi pazurami. Głowę jego skrywał głęboki kaptur, lecz twarz miał niezwykle starą. Powieki opadały mu na czarne oczy, a wyschnięte wargi skrywały rzędy ostrych ząbków. Szpiczastą brodę przykrytą miał niezwykle długą, ale rzednącą brodą.

- Podjąłeś decyzję? - wyszeptał ledwo słyszalnym głosem staruszek.

- Już dawno. - odpowiedział Ortha. Nagle mężczyzna wbił mu paznokcie w policzek, a drugą ręką nakreślił znak na czole. Paznokieć ciął skórę, ciągnąc za sobą kropelkę krwi. Najpierw nakreślił długą pionową kreskę, a potem przeciął ją u dołu kolejną, poziomą i o wiele krótszą. W tym momencie ryknął potępieńczym śmiechem i cofnął się pod ścianę, po chwili jego ciało rozpadło się w proch.

Orthę zalała fala bólu, jednak, czuł jak jego moc wzbiera i chce się wydostać. Zrzucił z siebie koszulkę, a na jego ciele dziko tańczyły tatuaże. Z trudem można było znaleźć miejsce niepokryte czernią. Wszedł na sztywnych nogach na podwyższenie, a krypta zaczęła trząść się w posadach. Z sufitu spadały kamienie, sypał się pył. Ortha wyjął z torby sztylet i całun, którym drżącymi rękoma nakrył sobie głowę. Poczuł, jak materiał zaczyna palić go, jakby zrobiony był z żywego ognia. Krzyknął z bólu, a ziemia zatrzęsa się gwałtownie. Budynki na całej planecie waliły się pod wpływem wstrząsów. Ziemia zaczęła pękać i rozsuwać się, pochłaniając wszystko. Księżyc zakrył niebo, a ciemność ogarnęła całą planetę. Przez głowę Orthy przelewały się potoki myśli. Czy dobrze wybrał? Był tego pewien. Przez kilkanaście lat zrozumiał rolę ludzkości. Mieli niszczyć, zabijać, być chorobą, która toczyła te ziemie od zarania dziejów. Sprowadzili na nią zagładę. Przez dwadzieścia jeden lat starał się znaleźć nadzieję, coś, co pozwoliłoby mu uwierzyć, że oni potrafią się zmienić. I znalazł ją. Jednak ona zginęła w męczarniach, a jej ciało stało w rogu pomieszczenia, patrząc się dziko na niego. Nie było niczego, co mógłby uratować. Ludzie sami stracili wiarę w swoje odkupienie, trwali w beznadziei przez wiele wieków, podporządkowując świat swojej woli. Lecz teraz nikt nie był w stanie wygrać tej walki.

Ziemia była truchłem, które dobili ludzie w ostatnich momentach jego życia. Nie było już nic. Oni zatracili swoje człowieczeństwo, stając się zwierzętami... W niczym nie odbiegali od Indaerów. Byli tak samo martwi, jak stwory, przed którymi próbowali się

bronić.

Lecz nadszedł czas, kiedy przyjdzie odkupienie. Wtedy to oni wszyscy odpłacą się życiu. Zatracą się w swoim nieszczęściu, a on stworzy nowy świat. Idealny. Piękny, zbudowany na fundamencie ludzkiego życia. Wynagrodzi tysiące lat cierpienia, temu, co nie mogło się bronić, temu, co upadło pod ludzkim jarzmem. A on stanie na straży. Pogrzebie Najwyższego i zasiądzie na jego miejscu, aby sprawować pieczę nad nowym światem. Tak nastąpi nowy początek. Nowa jutrzienka wszędzie, aby siać nadzieję. Na śmierci odrodzi się życie.

Chłopak zbliżał sztylet do swojego serca. Każdy ruch sprawiał mu ogromne cierpienie, tak samo, jak cierpiał świat. Na zewnątrz budynku zgromadziły się dusze. Były ich tysiące, miliony. Stały zbite w jedną masę, wyczekując na odkupienie, które nigdy dla nich nie nadejdzie.

Nagle stwór poruszył się niespokojnie i rzucił się w stronę Orthy. Ten wyprostował rękę w jego kierunku, a niewidzialna siła wbiła w stwora w ścianę. Dusza opadła bezwładnie na kamienną posadzkę, a z kącika ust popłynęła jej czarna krew.

- Co zrobisz... jeżeli pojawi się nowy gatunek? - wychrypiął stwór słabnącym głosem.

Strzaskany kręgosłup uniemożliwiał mu poruszanie się. - Co, jeżeli pojawią się istoty podobne do ludzi?! - wrzasnął ostatkiem sił.

- Wtedy... przyjdę... - Ortha wypowiedział słowa z trudem, ledwo przytomny. Moc zalała go i ogarnęła jego umysł. Czuł się wszechpotężny, eteryczny. - i osobiście je zgładzę. - wydusił i szybkim ruchem wbił ostrze w serce. Ziemia wydała ostatnie agonialne tchnienie. Świat rozpadł się na kawałeczki, które Ortha ułożył w nową układankę życia. Padł martwy, a jego krew zaczęła spływać kanalikami w posadzce, tworząc szkarłatną mozaikę. Ogromny snop światła rozproszył przez chwilę czerni, która okryła ziemię. Świat umarł, a potem nastąpiła ciemność.